

CZEGO NIE BĘDZIE MÓGŁ RZĄD TUSKA

**PiS w opozycji, czyli wielka
mniejszość blokująca**



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 45/552 6-12 LISTOPADA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

**Czy Korwin-Mikke zaszkodził
Konfederacji? - analizuje Warzecha**



**FIAT 126p – ZASKAKUJĄCE KULISY
URUCHOMIENIA PRODUKCJI
„SAMOCHODU DLA KOWALSKIEGO”**

**Homoseksualny problem
Kościoła katolickiego**

ŚLEDZTWO „DO RZECZY”

Kto czyha na niepodległość Polski



**BERLIN PRÓBUJE PRZEJĄĆ PEŁNIĘ WŁADZY
W UNII EUROPEJSKIEJ**



TANI
PARKING



WYGODNY
DOJAZD



DARMOWY
BUS

CIAO RADOM, CIAO RZYM

LOTNISKO
WARSZAWA-RADOM

KOMFORT NA STARCIE

LEĆ NA
NEKERA.PL

 **NEKERA**



Moralny szantaż i jego granice



PAWEŁ LISICKI

Jednym z najbardziej szokujących obrazów, jakie mogli zobaczyć widzowie stacji telewizyjnych w związku z konfliktem na Bliskim Wschodzie, było wystąpienie ambasadora Izraela przy ONZ, Gilada Erdana, na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa. „Gdy żydowskie dzieci płonęły w Auschwitz, świat milczał. Teraz sprawię, że będziecie pamiętali o wstydzie swojego milczenia za każdym razem, gdy spojrzycie na mnie” – mówił ambasador, który z tej okazji wpiął w kłapę marynarki żółtą gwiazdę Dawida, dokładnie taką, jaką Żydom podczas drugiej wojny światowej kazali nosić Niemcy. Trudno o bardziej wyrazisty przykład instrumentalizacji Holocaustu do celów politycznych. Zbrodnia Niemców na Żydach zostaje wykorzystana do uzasadnienia bezlitosnej i okrutnej rozprawy z Arabami mieszkającymi na terenie Autonomii Palestyńskiej.

Oczywiście ambasador Erdan wykonuje polecenia premiera Beniamina Netanjahu. 24 października, podczas spotkania z prezydentem Francji, Emmanuelem Macronem, Netanjahu, komentując atak Hamasu, powiedział, że „był to najgorszy akt przemocy antysemickiej od Holocaustu [...]”. Jak Anna Frank żydowskie dzieci ukryły się w piwnicach przed tymi bestiami, zostały znalezione i zmasakrowane”. Wcześniej Netanjahu porównał działania Hamasu do masowego rozstrzeliwania Żydów w Babim Jarze w 1941 r.

Porównania te nie tylko są historycznie fałszywe, lecz także moralnie odpychające. To, że Hamas dopuścił się zbrodni na niewinnych, musi zostać potępione. Ale w żadnym razie nie wolno zrównywać tej akcji z planowym, zimnym i masowym zabijaniem Żydów przez Niemców. Zestawianie tych zdarzeń ma konkretny cel: chodzi o pozbycie się wyrzutów

sumienia podczas prowadzonej przez Izrael akcji pacyfikacyjnej w Gazie. Widząc w sobie niedoszlę ofiary Holocaustu, Żydzi uważają, że nie wiążą ich żadne uniwersalne reguły prowadzenia wojny i że mogą posuwać się do czynów powszechnie uważanych za zbrodnie wojenne tylko dlatego, że zawsze występują jako ci, którzy bronią się przed zagładą.

To, że Izrael ma prawo do obrony, nie ulega wątpliwości, podobnie jak to, że jego odpowiedź na atak powinna mieć charakter proporcjonalny. Otóż projekt masowego wysiedlenia milionów Palestyńczyków na Synaj i nieustanne ataki na cele cywilne, co spowodowało już śmierć co najmniej 10 tys. ofiar, w tym znaczną liczbę dzieci, z pewnością wykraczają poza proporcjonalną odpowiedź. Cokolwiek by na ten temat mówił premier Netanjahu, Izraelczycy to nie Żydzi podczas drugiej wojny, a Palestyńczycy to nie hitlerowcy. To Izrael dysponuje gigantyczną przewagą militarną i finansową, a Palestyńczycy są w tej rozgrywce pariasami i zachowują się często tak jak pariasi, wyładowując rozpacz na potężniejszych od nich panach.

Jednak odwoływanie się do Holocaustu nie tylko pozwala pozbywać się Izraelowi wyrzutów sumienia. Może on też w ten sposób zapewniać sobie bezwarunkowe poparcie największego światowego supermocarstwa, a także próbować moralnie szantażować wszystkich innych. Doskonałe pokazała to wizyta amerykańskiego sekretarza stanu Antony'ego Blinkena w Jerozolimie. Najpierw wspominał o tym, że sam jest Żydem, który pośrednio ocalał z Holocaustu, następnie zasugerował podobieństwo działań Hamasu i nazistów, a na koniec złożył jednoznacznie deklarację: „Jesteście wystarczająco silni, żeby się sami bronić. Ale tak długo, jak istnieje Ameryka, nigdy nie będziecie mu-

sieli tego robić. Zawsze będziemy u waszego boku”. Nawet biorąc pod uwagę specyficzne okoliczności i nastroj, była to deklaracja wielce osobliwa. Raz, że praktycznie uniemożliwiła ona realne negocjacje pokojowe. Jak USA mogą być wiarygodnym organizatorem wielostronnych rozmów, skoro są stroną? Dwa, słowa te, jeśli odczytywać je dosłownie, oznaczałyby, że to Izrael decyduje o polityce amerykańskiej, a USA są jego instrumentem. Istnienie Ameryki zostało przez sekretarza stanu USA podporządkowane obronie Izraela.

Z tym większym zaskoczeniem i uznaniem, muszę powiedzieć, patrzeć na zachowanie polskiego ministra spraw zagranicznych. Kilka dni temu Zbigniew Rau napisał na Twitterze (X): „Obie strony konfliktu w Gazie powinny natychmiast zaprzestać działań wojennych i pozwolić ludności cywilnej na bezpieczne opuszczenie Strefy Gazy”. Inaczej niż tyłu innych dyplomatów nie dał się zaszantażować i wskazał na to, jak powinien się zachowywać cywilizowany świat. Nic dziwnego też, że jego słowa spotkały się z historycznym atakiem niejakiego Jonny'ego Daniela, nieoficjalnego rzecznika interesów Izraela w Polsce. „W normalnych zachodnich demokracjach ministrowie byli zwalniani za wzywanie do zawieszenia broni, ponieważ jedyne, co takie słowa osiągają, to wzmacnianie Hamasu-ISIS i narażanie większej liczby Żydów na śmiertelne niebezpieczeństwo. W Polsce to linia rządowa! Polsko, stoicie po złej stronie historii” – to słowa człowieka, który przez lata funkcjonował jako główny przyjaciel Polski i brylował na politycznych salonach prawicy. Bardzo bym chciał, żeby następca ministra Raua potrafił tak jak on presji nie ulec i zachować w konflikcie izraelsko-palestyńskim neutralność. ©



TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

„SKOK” NA EUROPE. OSTATNI DZWONEK

Konieczne jest referendum w sprawie federalizacji UE

19 ROZMOWA

Z JACKIEM SARYUSZEM-WOLSKIM

LIZBONA ALBO ŚMIERĆ

KRAJ

22 PIOTR SEMKA

PREZYDENCKI KONTREDANS

Co zrobi Andrzej Duda?

25 LECH MAŻEWSKI

WIELKA MNIEJSZOŚĆ BLOKUJĄCA

28 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE

SZTABOWCY Z NOWOGRODZKIEJ OKAZALI SIĘ HAZARDZISTAMI

31 ŁUKASZ WARZECHA

KONFEDERACJA – BEZSILNY RECENZENT

Czy Korwin-Mikke zaszkodził Konfederacji?

34 ŁUKASZ ZBORALSKI

WSCHODNIE PRZESTĘPSTWA

36 ZUZANNA DĄBROWSKA

W SIECI SEKSUALIZACJI

KULTURA

38 GRZEGORZ BRZOWICZ

ROLLING STONESI GRAJĄ DALEJ

Nowa płyta i światowe tournée

40 PIOTR GOCIEK

WOJNA KOBIET

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 KAJA GODEK

TRZEBA BYŁO CHRONIĆ ŻYCIE

Wartości mają znaczenie dla wyborców

51 PAWEŁ CHMIELEWSKI

HOMOSEKSUALNY PROBLEM KOŚCIOŁA

HISTORIA



54 ROZMOWA Z PRZEMYSŁAWEM SEMCZUKIEM

SAMOCZÓD DLA KOWALSKIEGO

Jak maluch stał się modnym klasykiem

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI

ROSYJSKIE PAŃSTWO ISLAMSKIE

Muzułmanie w Rosji

62 WOJCIECH GOŁONKA

WIELE TWARZY SEKRETARZA

64 JAN BOGATKO

NIEMCY: BEZROBOCIE SPADA

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI

AMBITNE PLANY „ZBAWCY ŚWIATA”

Elon Musk wciąż najbogatszy na świecie

70 JAKUB WOZINSKI

LIBERTARIAŃSKI LEW NA RATUNEK ARGENTYNIE

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK

WSPÓLNOTA MIESZKANIOWA

Dom na miarę czasów

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojanczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Cośic (Buksele),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska,**
Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski, Łukasz Żygadło
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak
RYSONOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
 Okładka: **Geert Vanden Wijnngaert/AP/East News**
WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmppg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmppg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez **RUCH SA:**

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Czy czeka nas powstanie kościuszkowskie?

Rok po uchwaleniu Konstytucji 3 maja 27 kwietnia 1792 r. w Petersburgu zawieszono konfederację targowicką. 24 lipca przystąpił do niej król Stanisław August Poniatowski. Taki był początek upadku Rzeczypospolitej i 123-letniej przyjęta tamten akt z nadzieją i wiarą w spokojną przyszłość pod taskawym protektorem carycy Katarzyny II. Historia pokazała, jak bardzo się mylili.

W związku z tym, że moje nazwisko budzi wiele negatywnych emocji, pomyślałem o tym, żeby zmienić je na śladach białymie „Konec polski”...



Dziś po 231 latach od tej narodowej zdrady jesteśmy o krok od powtórzenia błędu naszych przodków. Co prawda, cara nie ma i rosyjskie imperium się chwieje, ale wizja wymarzonej Europy, zarządzanej przez berlińsko-brukselskich autokratów, niewiele od przypomniałych czasów się różni. Znowu jesteśmy mamieni złudnymi nadziejami, o których przed laty pisał Juliusz Słowacki: „Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą! / Pawiem narodów byłaś i papuga; / A teraz jesteś służebnicą cudzą”. Warto te prorocze słowa zapamiętać, warto

zastanowić się, czy nie nadchodzi czas, aby odwołując się do polskiej wolnościowej tradycji, powiedzieć „non possumus” pomysłem prowadzącym nie tylko do utraty niezawisłości, lecz także w dłuższej perspektywie również do rozpadu Unii Europejskiej i europejskiego ładu, tak pięknie zaprogramowanego przez Roberta Schumana.

Nie nawołuję do kolejnego narodowego powstania. Uważam jednak, że do podjęcia pokojowych działań zapobiegających powtórzeniu się wydarzeń z końca XVIII w. powinniśmy szukać następców Kościuszki, Kilińskiego, Traugutta, legionistów Henryka Dąbrowskiego i Józefa Piłsudskiego oraz powstańców Warszawy. Wszyscy oni nie tylko pamiętali o swoich korzeniach w chwilach wymagających najwyższej ofiary, lecz także (a może nawet przede wszystkim)

potrafiliby dostrzec zagrożenia narodowego bytu i w sposób pokojowy im zapobiegać. Do tej tradycji nawiązywało moje pokolenie, pokolenie Solidarności. Jej kontynuowanie jest patriotycznym obowiązkiem naszych dzieci i wnuków.

Wojciech Starzyński

Nie taka zwykła granica

Ostatnio czołowym tematem w Polsce był film „Zielona granica”. Uważam, że nasi politycy, krytykując go, niedostatecznie uwy-puklają fakty, że nie są to zwykła granica ani zwykli imigranci. Polacy zawsze bali się tego, co nadcho-dzi zza wschodniej granicy. Stamtąd w latach 1920 i 1939 nadeszła inwazja wojsk sowieckich. Tam znajdowały się Katyń i Wołyń. Tam w Smoleńsku zginął polski rząd.

Nieszczęśliwi imigranci zwabieni przez Łukaszenkę i Putina, w większości nie bardzo zdając sobie sprawę z lokalnej sytuacji, usiłują przedostać się do krajów Unii Europejskiej. Kto w niecnym zamiarach wykorzystuje tę sytuację dla własnej popularności, zasługuje na najwyższego stopnia potępienie.

Ryszard Jankiewicz



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Czas na przejrzystość

1 listopada abp Adrian Galbas odprawił pierwszą Mszę Świętą w diecezji sosnowieckiej od czasu, kiedy został jej administratorem apostolskim sede vacante. Funkcję tę sprawuje od 26 października, kiedy to swoją rezygnację ogłosił poprzedni gospodarz diecezji, bp Grzegorz Kaszak. Wizyta abp. Galbasa w katedrze sosnowieckiej miała symboliczny charakter. Metropolita katowicki postanowił pomodlić się przy grobie pierwszego biskupa sosnowieckiego Adama Śmigielskiego. Chodzi o powrót do źródeł Kościoła sosnowieckiego po skandalu, który rzucił cień na jego dobre imię. Mam na myśli oczywiście skandaliczny incydent, do którego doszło na terenie plebanii bazyliki Najświętszej Marii Panny Anielskiej w Dąbrowie Górniczej. Grupa księży w mieszkaniu redaktora lokalnego dodatku tygodnika „Niedziela” urządziła wtedy coś, co media nazywały orgią z udziałem mężczyzny świadczącego usługi seksualne za pieniądze.

Nowy administrator diecezji spotkał się już kilka razy z księżmi posługującymi na tym terenie oraz – co jeszcze istotniejsze – z seminarzystami z diecezji studiującymi

w Częstochowie. Jak podaje KAI: „W określone dni tygodnia hierarcha jest dostępny w Sosnowcu, ale wyraźnie ogłosił, że także w pozostałe dni w razie potrzeby istnieje możliwość kontaktu z nim w Katowicach. Oba miasta sąsiadują ze sobą”. To dobrze, bo wszelkie działania trzeba zacząć od poznania prawdy.

Tyle plusów. Odejście z urzędu poprzedniego biskupa odbyło się w ramach czegoś, co sam papież Franciszek nazywał kościelną „kulturą sekretu”. Komunikat Nuncjatury Apostolskiej z 24 października bardzo lakonicznie informował, że biskup sosnowiecki Grzegorz Kaszak złożył rezygnację i przeszedł na emeryturę. Informacji tej towarzyszyła adnotacja, że papież Franciszek przyjął dymisję. Znowu wierni nie uzyskali jasnej wiadomości, czy Stolica Apostolska uznała, że bp Kaszak zawinił, w ciągu ostatnich lat tolerując jakieś skandaliczne praktyki, czy też żadnej winy nie ponosi, ale dla dobrego imienia diecezji uznał, że lepiej odejść.

Komunikat bp. Kaszaka także wyrażony był w dosyć irytującym trybie „przeprosin warunkowych”.

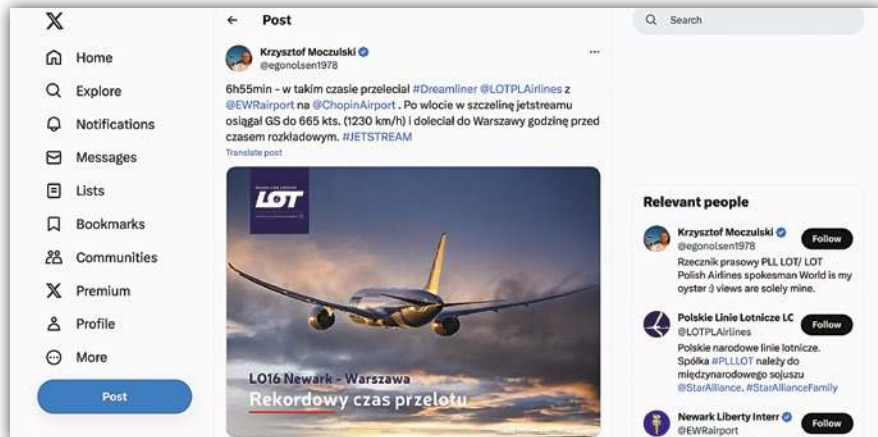
Biskup Sosnowiecki poprosił o wybaczenie „jego ludzkich ograniczeń”. Ale zaraz potem dodał: „Jeśli kogoś uraziłem lub coś zaniechałem, to bardzo za to przepraszam”. Owo małe słówko „jeśli” pokazuje, że bp Kaszak mało zrozumiał z tego, co się stało. Niewiele też wiemy, co nowego ustaliła komisja badająca skandal. Ostatni komunikat komisji ukazał się ponad miesiąc temu. Czy przed komisją stawiał się ksiądz użytkownik mieszkania, w którym doszło do skandalicznego spotkania? A może nadal przebywa na urlopie w Turcji?

Oby po dymisji bp. Kaszaka ktoś nie uznał, że jest już po sprawie. Przypadek z Dąbrowy Górniczej winien być wyjaśniony do końca. Nie wiadomo, za ile czasu Stolica Apostolska wyznaczy nowego biskupa sosnowieckiego. Ale okres swej administratury metropolita Galbas powinien wykorzystać do wprowadzenia nowych standardów informowania wiernych o kościelnych skandalach. © ©

CZYTAJ TAKŻE O HOMOSEKSUALNYCH PROBLEMACH KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO NA STRONIE 51

REKORDOWE PRĘDKOŚCI NAD ATLANTYKIEM

W zaledwie 6 godzin i 55 minut (niemal godzinę szybciej niż zwykle) Boeing 787-8 Dreamliner PLL LOT pokonał trasę z nowojorskiego portu Newark-Liberty do Lotniska Chopina w Warszawie. Ustanowienie rekordu przelotu na tej trasie było możliwe dzięki mocnemu prądowi strumieniowemu nad Oceanem Atlantyckim, który umożliwił polskiemu pilotom lot z maksymalną prędkością 1230 km/h. **(jap)** © ©





DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
18:25

Jeden z najważniejszych wieczornych programów publicystycznych Telewizji Republika. **Łukasz Jankowski, Adrian Stankowski, Piotr Lisiewicz i Tomasz Sakiewicz** wraz z zaproszonymi do studia politykami, ekspertami i historykami omawiają najważniejsze wydarzenia i najbardziej istotne dla Polski i Polaków tematy.



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl/d3d0f01bee



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Rotuj się **kto może**

Dużo i chętnie mówi się w lewicowo-liberalnych mediach o zbrodniach „reżimu” PiS, ale wciąż jeszcze nie powiedziano wystarczająco jasno o największej z nich. Otóż okazuje się, że zostawiając stanowiska i synekury, „reżim” zostawia ich, jak na potrzeby „przywrócenia demokracji”, zdecydowanie za mało. Oczywiście to perfidne zagranie nie uniemożliwi „demokratom” odzyskania Polski dla Unii Europejskiej, ale już widać, jak bardzo utrudni.

KO składa się z dziewięciu podmiotów, Trzecia Droga z dwóch (plus kilku posłów „nie wiadomo”), Lewica także z dwóch. Ale nie są to podmioty równej wielkości, więc wyważenie ich znaczenia w odzyskanym państwie wymaga zachowania

proportcji: jeśli mały koalicyjant ma jednego wiceministra, to trzy razy większy musi mieć trzech. A ponieważ nie sposób mianować jednej trzeciej ministra, to liczba istniejących stanowisk, nawet tak rekordowa jak za Morawieckiego, nie wystarczy. Trzeba ministerstwa dzielić, trzeba tworzyć nowe – trudno, demokracja nie ma ceny.

Zapowiedź „rotacyjnego” marszałka Sejmu daje jednak nadzieję na rozwiązanie problemu w sposób innowacyjny. Byle tylko się nie ograniczać. Dlaczego „rotujących” marszałków ma być tylko dwóch? Można wyznaczyć czterech, na każdy rok kadencji innego. Można i 48, każdy niech marszałkuje po miesiącu. To na pewno mniej szkodliwe dla państwa niż zapowiadane przez

nową koalicję dostosowywanie liczby resortów do liczby chętnych do kierowania nimi.

Zresztą skoro już rotujemy prezydium Sejmu, to dlaczego nie rotować i rządu? „Na tzw. dżentelmeńskie porozumienie”, jak to ujął był ongi jeden z autorytetów wspierających dziś Tuska, ustalić harmonogram, po ilu tygodniach minister z jednej partii zamieni się na stanowiska z wicem z innej, a tamten potem z kolejnym. Ten system może równie świetnie funkcjonować w spółkach Skarbu Państwa, agencjach, funduszach celowych – tak żeby konfitur starczyło dla wszystkich. Wilk będzie syty, a owca – w sensie: administracja publiczna – i tak zdycha i już niewiele może jej zaszkodzić. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Egzaltacja się kończy

Niebezpieczeństwo globalizacji trwającej na Ukrainie wojny, o czym uparcie piszę od dwóch lat, powoli przebija się do świadomości klasy politycznej. Z pewną (bardzo względną oczywiście) ulgą wysłuchałem ostatnio w Polskim Radiu 24 wywiadu Władysława Teofila Bartoszewskiego, do tej pory – wiceprzewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu RP:

„To, co się dzieje na Strefie Gazy, przenosi się na państwa Unii Europejskiej, gdzie są ogromne demonstracje propalestyńskie, które nie są demonstracjami pokojowymi, ale wzywającymi do likwidacji Żydów czy Izraela, czyli ludobójstwa. To się może przero-

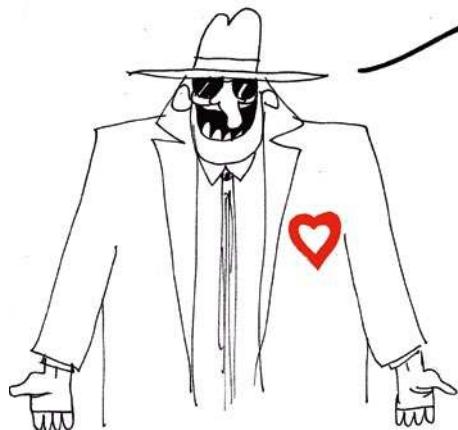
dzić w bardzo poważne zamieszki i będzie potrzebne wojsko. Na Ukrainie sytuacja jest patowa i zanoszą się na długi konflikt typu pierwszej wojny światowej, na wojnę na wyrzwanie i na kompletną destrukcję sektora energetycznego, tak było w zeszłym roku w zimie i to samo będzie teraz. Rosjanie kupili dużo amunicji od Korei Północnej i będzie brutalna wojna na wyniszczenie Ukrainy [...]. Wojna na Ukrainie będzie trwała [...], a wojna na Bliskim Wschodzie może się rozszerzyć bardzo znacząco, jeżeli z południowego Libanu Hezbollah zaatakuje Izrael rakietami irańskimi. To może [przerodzić] się w dużą wojnę na Bliskim Wschodzie i siłą

rzeczy Stany Zjednoczone będą musiały w to wkroczyć, co z kolei pozwoli otworzyć nowy front w Azji Południowo-Wschodniej, czyli Chiny – Tajwan [...]. Chiny czekają na rozwój wypadków [...]. Trzeba być gotowym, bo jeśli zacznie się wojna na kilku frontach, to Amerykanie nie będą w stanie wszystkim wszędzie pomóc”.

Profesor Bartoszewski wyciąga z tego oczywisty wniosek, że musimy się zbroić. Nie dopowiada jednak drugiego – że w miarę naszych ograniczonych możliwości należy (jak należało zawsze) wspierać pokój. Bo to pokój, więc stabilizacja naszej niepodległości, stanowi niezmiennie podstawowy nakaz polskiej racji stanu. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

A co sądzisz, matpoludzia czeredo, o ewentualnym obniżeniu poziomu emocji społecznych???



ce z a t y k r y s z t o p a



PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Święto zimy

Powoli zbliża się Boże Narodzenie. Za kilka tygodni wesoła świąteczna tandeta zaleje ulice, place i supermarkety. Jak zwykle zaroi się od Świętych Mikołajów, zabrzmią kolędy. Nie wiedzieć czemu, do rutynowego wylewu bożonarodzeniowej tandety intelektualnej wojujących ateuszów w tym roku w Italii doszło już pod koniec października. Nie poczekali nawet na rocznicę rewolucji bolszewickiej. Ale też trudno się dziwić. Przecież Lew Trocki nauczał, że rewolucja powinna mieć charakter permanentny.

W Fiesole w Toskanii w aglomeracji florenckiej od lat prężnie działa Europejski Instytut Uniwersytecki kształcący przyszłe unijne elity w takich dziedzinach jak prawo, historia, nauki spo-

łeczne i polityczne na poziomie doktoranckim i poddoktoranckim. Belgijski rektor unijnej Alma Mater, prof. Renaud Dehousse, wydał z siebie wewnętrzny okólnik. Ogłosił, że aby sprostać zobowiązaniom przyjętego przez uczelnię „Planu równouprawnienia etnicznego i rasowego”, zmienia nazwę – jak się wyraził – „dawnego Bożego Narodzenia, by wyeliminować z niej odniesienia do chrześcijaństwa”. Przypomniał, że ów plan przewiduje ujęcie świąt religijnych w kalendarzach i uczelnianych publikacjach, ale „językiem inkluzywnym”.

Zaproponował, żeby w związku z tym zastąpić słowa „Boże Narodzenie” inkluzywnym „Świętem Zimy”. Przy czym Jego Magnificencja w łaskawości swojej wyjaśnił,

że w Europejskim Instytucie Uniwersyteckim „aspekty tradycyjne i folklorystyczne mogą stanowić element obchodów Święta Zimy”. Co więcej, rektor się przy „Święcie Zimy” nie upiera i czeka na inne propozycje. Osobiście proponowałbym zaczerpnąć ze skarbicy idei Ojca Narodów i wprowadzić „Święta Dziadka Mroza”. Choć może lepiej byłoby, gdyby rektor i jego ideowi sojusznicy w Instytucie wybrali rozwiązanie autoreferencyjne i ogłosili, że w dniach 24–26 grudnia uczelnia obchodzić będzie „Święto Idiotów i Rewolucjonistów”, w skrócie „ŚWiR”.

W końcu swoje święto mają pies, kot, a nawet krokodyl. Dlaczego żałować idiotom? ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

FOT. PAVEŁ WIDZYŃSKI/EAST NEWS

GWIAZDOBZDUR

AKTORZY,
DO GRANIA!

Jak tam się żyje w Uśmiechniętej Polsce? Jakoś tak łżej, radośniej, aż chce się oddychać, prawda? Ptaszki ćwierkają donośniej, a sąsiedzi oddali w końcu pożyczoną rok temu „na chwilę” mieszkarkę do betonu (bez betonu w środku!). To oczywiście ironia. Każdy, nawet nie bardzo lotny, widzi, że przed i po 15 października oddychało się tak samo, niebo było tak samo błękitne, a jesienne liście złotobrzazowe. Jest więc każdy, ale jest też aktor. Dla aktora zmieniło się wszystko. Maciej Stuhur podzielił się przemyśleniami na temat swojej przyszłości – w kontekście politycznym, rzecz jasna. Nasz ulubieniec przewiduje, że dzięki przywróceniu kraju na ścieżkę praworządności i demokracji w końcu będzie mógł się zająć pracą, a nie agitowaniem. – Pierwsza rzecz, która się zmieni po wyborach, to to, że być może aktorzy już nie będą musieli komentować wydarzeń politycznych, tylko zostawią to komentatorom, a sami wrócą do teatrów i do kin, bo za tym tęsknią [...]. Często czułem dużą frustrację, złość, czasami wściekłość, czasami rozpacz. Bardzo silne emocje, które kazały mi działać, dlatego działałem – powiedział Stuhur w rozmowie z portalem Plotek. Radości z wyniku wyborów parlamentarnych nie kryje także Andrzej Seweryn, który, podobnie jak młody Stuhur, troszczy się o to, by Polska była europejska i uśmiechnięta i by już

przenigdy nie rządziła nią prawica. „Ja publicznie nie używam słów uważanych za wulgarne, natomiast odczułem ogromną radość i przekonanie, że przejście rządów, mimo wszelkich spodziewanych trudności, odbędzie się szybko dla dobra Polski” – tak dyrektor Teatru Polskiego wspomina 15 października. Dla obu panów jedna rada, pewnie nieco spóźniona – mniej polityki, więcej sztuki. Wszystkim wyjdzie na dobre.

PRZY.....MY
I POJEDNAJMY SIĘ

Rzecz zabawna. Seweryn, który przed marszem 4 czerwca nawoływał, by „przyp.....ć” konkurentom politycznym, teraz mówi o pojednaniu. Kiedy? Gdy PiS straci władzę formalnie i na dobre. „Warto postawić pytanie, kim jesteśmy i kim chcemy być” – podkreśla. „Muszą to zrobić obywatele, nie tylko władza. Zwracam się do nowych rządzących z apelem o rozpoczęcie wielkiej ogólnokrajowej debaty na temat kultury i dziedzictwa narodowego. Uważam, że do pojednania i zrozumienia w narodzie mogłoby dojść właśnie w dziedzinie kultury. Niech stanie się to po przejściu władzy przez obóz demokratyczny” – apeluje aktor w wywiadzie dla Onetu. Proponuje hasło: „Najpierw przyp.....my, a później wam wybaczymy”.

BIALI
HETEROSEKSUALIŚCI
I RESZTA

Obalić „faszystowski” rząd PiS już prawie się udało. Niestety, patriarchy wciągają. „Zmierzamy w dobrym kierunku, ale nadal jest tak, że najlepiej jest być białym heteroseksualnym mężczyzną. Im żyje się najwygodniej. Im wolno więcej. Zarówno kobiety, jak i przedstawiciele mniejszości seksualnych czy osoby o innym kolorze skóry są niżej w hierarchii” – przekonuje Sonia Bohosiewicz. Aktorka ma nadzieję, że prędzej czy później Polska stanie się państwem w pełni cywilizowanym. „Wszystkie zmiany wymagają czasu.

Nie da się ich wprowadzić z dnia na dzień” – zaznacza gwiazda. Przez takie wywody nasuwa się pytanie, czy może pani Sonia, tak jak koledzy Stuhur i Seweryn, nie zechciałaby być bardziej polityczna (po jedynej, właściwej stronie, wiadomo). „Mimo że mój zawód też wiąże się z występowaniem na scenie i przemawianiem do ludzi, nigdy nie chciałam zajmować się polityką. Wiem, że wchodząc w ten świat, musiałabym natychmiast zabić tego motylka, którego w sobie mam. Polityka to potwornie brudna gra. Wolę po swoim zmieniać świat. Mnie potrzebna jest metafora” – podkreśla Bohosiewicz. Co za ulga!

JAK MUCHA
W MAŚLE

Niby o pieniądzach nie wypada rozmawiać, no ale jeżeli dziennikarz pyta, to trzeba. Przed trudnymi pytaniami stanęła influencerka Angelika Mucha aka „littlemoonster96”. Ile trzeba zapłacić za jej influencerskie usługi? – Prawda jest taka, że ja jako osoba, która naprawdę bardzo zwraca uwagę na to, co reklamuję, mam wiele marek, które uwielbiam, byłabym w stanie z nimi pracować za grosze, jakby mi dali najniższą stawkę, tobym powiedziała: „okej”. Mam od tego menedżera, bo ja też nie lubię rozmawiać o pieniądzach i nie lubię twierdzić, że zasługuję na tyle, bo to wam daję [...]. Nie jestem w stanie powiedzieć: „jest to pięć tysięcy” albo „są to dwa tysiące”. Nie byłoby to wtedy szczere [...]. Były sytuacje, kiedy powiedziałam „dobrze, możemy to zrobić praktycznie za nic”, bo podobał mi się zamysł kampanii itd. – przyznaje skromna celebrytka. Można by pomyśleć, że działalność Muchy ma charakter niemalże charytatywny, ale jednak nie. – Największe moje zarobki były związane z jakimiś współpracami ambasadorskimi, to były rzędy kilkuset tysięcy, ale za roczną współpracę z daną marką – zastrzega Angelika. – Dobrze mi się żyje, mam swoje dwa mieszkania. Inwestuję pieniądze, żeby mieć jakąś przyszłość – podsumowała „mały potworek”. „Jakaś” przyszłość to z pewnością, przy takich zarobkach, ją czeka. © ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nowy rząd się jeszcze nie sformował, a już doświadczamy jego pierwszych sukcesów. Niesamowite, jak to jest, jak się komuś chce robić, a nie tylko obsadzać spółki Skarbu Państwa. Wyniki przychodzą same.

Otóż dotarliśmy do informacji, że Polska odnotowała szósty najwyższy przyrost PKB w Unii Europejskiej od 2019 r. Wygląda więc na to, że mimo kłód rzuconych każdego dnia przez PiS pod jej nogi nasza nowa koalicja zjednoczonej opozycji zrobiła to, czego brakowało wcześniejszym rządów – przywróciła nadzieję.

Dlatego jesteśmy teraz pełni tej nadziei, iż mimo iż kraj jest zostawiony w katastrofalnej sytuacji, z niewydolnymi instytucjami, to jednak dzięki współpracy, uśmiechowi, dobrej woli i pieniądzu z KPO uda się to wszystko jakoś naprawić. Nawet metodą małych kroczków, ale do przodu.

W ogóle to część naszych mocniej lewicowych znajomych zaczęła się oburzać, iż pojawiły się już gdzieś w przestrzeni publicznej wypowiedzi polityków, iż z tymi podwyżkami dla nauczycieli, pięćsetplusami i innymi takimi to nie będzie tak łatwo, iż nie ma na to wszystko pieniędzy.

Kochani, nam jest równie ciężko co im, ale taka prawda – nie ma pieniędzy. Rząd PiS niestety zawałił sprawę i dodrukował ich za mało, przez co teraz nowy rząd

będzie musiał ograniczać transfery społeczne, iż te pieniądze, które miały trafić na rynek, to już tam trafiły, a do budżetu państwa nie wróciły, bo jednocześnie PiS w jakiś absurdalny sposób poobniżał podatki.



W ogóle tak sobie myślimy, że te wszystkie obniżki podatków, ulgi dla rodzin (ale oczywiście tradycyjnych, dla małżeństw nietożsamych płciowo) itd. to były tylko po to, żeby zwiększać dziurę budżetową, aby teraz nowy rząd miał związane ręce i tracił na popularności.

Oczywiście co światlejsi obywatele rozumieją, że na coś nie ma pieniędzy, ale elektorat wahający się albo wręcz PiS-owski będzie bardzo niezadowolony i będzie wrzeszczał, iż mu się należy. To tak jak z dzieckiem na zakupach: wrzeszczy o cukierka, ale nie rozumie, iż nie ma na to pieniędzy, po osoborodzie zaprosili na wieczór znajomych i muszą w związku z tym kupić alkohol i chipsy.

Podobno kontrole wykazały bardzo wiele nieprawidłowości w warszawskich taksówkach i samochodach przewozu osób. Że niby kierowcy bez uprawnień, że samochody w złym stanie technicznym. Wszystko to jest, kochani, w bardzo łatwy sposób do załatwienia.

Wierzmy, iż ratusz warszawski działa, mając dobre intencje, ale jest za miękki. A to trzeba radykalnie. Po pierwsze: zlikwidować taksówki. Jakby ich nie było, to nie byłoby też kierowców, więc nie byłoby problemów z fejkowymi licencjami. Poza tym taksówki to samochody, a samochody smrodzą i emitują CO₂ i inne śmiertelnie toksyczne substancje. Im ich mniej, tym lepiej. Zamiast taksówek wprowadzić riksze elektryczne.

Nie dość, że do prowadzenia rikszy nie trzeba licencji, to jeszcze elektryczne będą ekologiczne – i po kłopotcie.

Drugie wyjście, też radykalne, to likwidacja konieczności posiadania uprawnień. Skoro i tak wychodzą jakieś przekręty, to zlikwidujmy bariery w postaci dostępu do zawodu taksówkarza. Poza tym wydaje nam się, że takie licencje itd. to dyskryminacja.

A więc sami widzicie: w zaledwie kilka minut rozwiązaliśmy problem, podając gotowe rozwiązania proekologiczne i antydyskryminacyjne. © ©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Jak oddać ludziom TVP

Donek, mam plan!
Na co, Kamila?

Na Tefaupe! Znaczący nie jak ich odzyskać, bo to już twoja

broszka, ale jak zrobić, żeby wreszcie było porządnie, obiektywnie i prawdziwie!

Znaczący – szukasz posady dla jakichś kumpi?

No skąd! Telewizję trzeba ludziom oddać – wszystkim. Więc tak, prezesem trzeba Tomka Lisa zrobić. Bardzo się zasłużył. A to ciekawe. I co jeszcze?

Do „Wiadomości” rzućmy Kurskiego, tylko tego drugiego, nie tego od twojego dziadka z Wehrmachtu. A od kultury niech będzie Sierakowski. Będzie nareszcie jakoś mądrze, a nie jakieś dysko polo. Długo nad tym myślałaś?

A nie. Jakies trzy minuty. © ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Doprowadzenie do kompromitacji, a może i upadku naszego Kościoła historia uzna za jedyną zasługę Kaczyńskiego dla Polski”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

dwaj panowie **g**

Rzadko podajemy wiadomości nieaktualne, ale ta jest tego warta. Otóż z dobrych źródeł wiemy, że prezydent Andrzej Sebastian, zwany też czasem osobą głowy państwa, w dwóch rozmowach z prominentnymi politykami Zjednoczonej Prawicy ujawnił, że nie będzie się wygłupiał. W związku z tym zamierzał zrezygnować z powierzania misji tworzenia nowego rządu przedstawicielom zwycięskiej partii, znaczący PiS. I od razu chciał wezwać do tego zadania przedstawiciela większości faktycznej, czyli Tuska Donalda.

Żalujemy, że nie było nas przy tych rozmowach, bo efekt musiał być piorunujący. W końcu w praktyce oznaczałoby to, że kilkaset ludzi – jeśli nie kilka tysięcy – straci robotę przed świętami. Ktoś jednak wpadł na pomysł, by pokazać Andrzejowi Sebastianowi jeden ze stu konkretów. A mianowicie ten, w którym Platforma zapowiada postawienie osoby głowy państwa przed Trybunałem Stanu. Nasze wieściorki twierdzą, że to skłoniło prezydenta RP do ponownego pochylenia się nad kwestią delegowania kandydata na nowego premiera.

Podobno Zjednoczona Prawica nie lubi kobiet i je prześladowa. Cóż, zapewne właśnie mizoginia sprawiła, że w kręgach odchodzącej władzy pojawił się pomysł, by przed pożegnaniem się ze stanowiskami mianować nowego szefa Komisji Nadzoru Finansowego. A właściwie szefową (szefinię? szeficę? – gu-bimy się w tych nowych zmianach językowych). Tak się bowiem składa, że w gronie aspirujących są same kobiety. Najciekawsza kandydatura? Patrycja Kotecka, znana jako Pati-Koti. Prywatnie żona Zizu Ziobry, lidera SuwPolu. A to by się Donald ucieszył!

Znamy też pozostałe kandydatury. I już o nich opowiadamy. Małgorzata Sadurska, niegdyś Kancelaria Prezy-

denta, obecnie PZU. Renata Oszast, która już robi w KNF jako dyrektor generalna. A stawkę zamyka Beata Daszyńska-Muzycka z Banku Gospodarstwa Krajowego, uważana za protegowaną Mateusza. Oczywiście wszystkie te opcje możliwe są jedynie wówczas, gdyby kolejny rząd nie powstał przed 23 listopada, kiedy

kończy się kadencja starego szefa KNF (mężczyzny zresztą), więc premier Mateusz miałby jeszcze możliwość powołania nowego. A właściwie nowej.

Skoro już o kobietach na ważnych stanowiskach. Niektóre dowcipy robią się coraz zabawniejsze, im częściej się je powtarza. Z satysfakcją odnotowujemy, że do grona żartowniśców na stałe dołącza Konfederacja Lewiatan. W marcu pokpiwaliśmy sobie z zaangażowania tego ciała w promocję równouprawnienia kobiet, gdyż we władzach samego Lewiatana przeważają panowie. Sprawdziliśmy. Nic się nie zmieniło. A nawet gorzej: w Radzie Regionów, skupiającej lokalne związki przedsiębiorców, nie ma ani jednej pani. Widocznie się nie nadają.

Ktoś zapyta: A dlaczego akurat teraz nam się to przypomniało? Już odpowiadamy, bo to sedno grepsu o dowcipach, które robią się zabawniejsze w miarę powtarzania. Otóż kilka dni temu rzeźbiony Lewiatan zaapelował ustami Henryki Bochniarz „do szefów partii demokratycznych o parytety w nowym rządzie”. Pani Henryko, może zacznie pani od Rady Głównej Lewiatana, bo tam panowie mają przewagę 21 do 15.

Ápropos parytetów. To właściwie nie jest taki głupi pomysł. Zależy tylko, czego miałyby dotyczyć. Można np. zacząć od tego, żeby w nowym rządzie było parytetowo w następujący sposób: połowa cyników i połowa cymbałów. W porównaniu z latami 2007–2015 to byłaby wielka poprawa. Ale nie powiemy na korzyść której strony.

Zentuzjazmem przyjmujemy natomiast propozycję Eine Totalopposition, aby w obliczu sporów o to, kto w Bandzie Czworga ma być marszałkiem Sejmu, była to funkcja rotacyjna. Słychać nawet, że część Bandy chciałaby tym rozwiązaniem objąć również Senat. Jesteśmy za, proponujemy od razu, by mandaty poselskie też były obsadzane



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

rotacyjnie, wedle kolejności, które kandydaci zdobyli na liście. Wymiana, powiedzmy, raz w miesiącu. Czasy są ciężkie, pomyślcie, ile ekstraodpraw można by wypłacić ludziom w potrzebie!

Oczywiście złośliwi ludzie od razu wypominają Peezelowi, jak zrobił na szaro Pawła Kukiza, którego ugrupowaniu kiedyś obiecał rotacyjnie wicemarszałka Sejmu. Ale zanim nadeszła pora na zmianę, zieloni bracia wywalili kukizowców z Koalicji Polskiej, i pieniędzmi z subwencji też się nie podzielili. Nie wiemy, jaką lekcję wyciągną z tego obecni przyjaciele Peezela, ale naszym zdaniem jest oczywista: nic i nigdy nie należy im dawać. Ani nawet pożyczać.

Przy okazji: odpowiadamy na liczne zapytania, jak teraz będziemy nazywać Eine Totalopposition, skoro już nie jest Opposition. No, gdy już sformułuje nowy rząd, to zaczniemy stosować nową nazwę. Ale na razie tymczasowo zostaniemy przy Bandzie Czworga.

Życia negocjatorów. Podczas gdy uwagę mediów skupiają pytania, kto będzie marszałkiem tego i owego oraz jak bardzo będzie rotacyjny, w zaciszu negocjacyjnych gabinetów trwa spór o wiele poważniejszy. Chodzi o to, ile właściwie ma być ministerstw. Generalnie mocno zwalnia to rozmowy koalicyjne, gdyż trudno dzielić coś, o czym nie wiadomo, ile tego jest.

Wcieniu pytania „Ile ma być ministerstw?” trwają intensywne prace umysłowe nad tym, jak się

mają nazywać. Gdyż nie mogą nazywać się po pisowsku, to pewne. Na przykład takie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Po co niby to dziedzictwo? Przecież kojarzy się z dziedzicem, a dziedzic to krwio pijca i wyzyskiwacz!

Niektórzy sądzą, że powyższe to tylko takie krotchwilie. Otóż nie, my na serio, na podstawie przecieków. Zwłaszcza lewica ma bowiem w Polsce doświadczenie w walce z dziedzicem... tfu, z dziedzictwem. Jak kiedyś AWS powołał Instytut Dziedzictwa Narodowego i mianował szefem Tomasza Mertę, to potem komuniści z rządu Leszka Millera natychmiast ten instytut skasowali.

Jako odprysk dyskusji o nazwach ministerstw traktujemy sugestię zielonych braci z Peezela, żeby w TVP zastosować „opcję zerową”. To znaczy wyrzucić wszystkich, zatrudnić samych nowych i zmienić nazwę. Refleksja pierwsza: w Polsce nie ma żadnych nowych. Wiadomo, że zatrudnią starych. Refleksja druga: jak mogłaby się nazywać taka telewizja... Hm, wiemy! Telewizja Ludowa! W skrócie TLwizja! Choć podoba nam się też Polska Telewizja Ludowa.

Zaczęły się też przymiarki do obsady spółek Skarbu Państwa. Ktoś coś mówił o wyłanianiu ich władz w konkursach? Zapomnijcie. Jeśli już, to konkurs będzie taki, żeby było wiadomo, kto wygra. Nie po to długie lata czekali na kolejne frukta doświadczeni menedżerowie typu Klesyk, Krawiec czy Tamborski. Włodek Karpiński i Sławku Nowaku raczej nie. Marne to jednak pocieszenie.

Asko jesteśmy przy spółkach Skarbu Państwa. Najmocniej zacierają podobno dłonie w pewnej znanej kancelarii, należącej do najdłuższego polskiego mecenasa, zwanego także Giertuskim. W końcu ktoś musi zapewnić Platformie obsługę prawną wszystkich tych spółek. No, może nie wszystkich, ale Roman da radę.

Rządu jeszcze nie ma, a już Szymon Płacziwy 2050 zaczyna się obawiać, że mściwy Donald może mu zdemolować klub, wyciągając posłów do Platformy. Szymon. Nie mamy dla Ciebie dobrych wieści. Donek może być kiepskim premierem, ale polityczny kiler z niego prima sort. Ty się nie martw o posłów, ty się zastanów, czy on ci pozwoli za cztery lata kandydować z jego list. Może pozwoli. Z Krosna albo z Suwałk. A może nie pozwoli.

Szymon broni partii, ale trwają też przygotowania do obrony twierdzy postępu. A właściwie twierdzy przy ul. Postępu. A jeszcze dokładniej gniazda wszelkiego wstecznictwa ulokowanego przy ul. Postępu na warszawskim Mordorze, to znaczy Prokuratury Krajowej. Nie wiemy, czy macie świadomość, że ani Zbyszek Ziobro, ani najważniejsi prokuratorzy nie są chronieni przez SOP, lecz przez Służbę Więzienną. Już widzimy te żarciki i krotchwilie: „Zbyszek pod nadzorem klawiszy” itd. Sprawa jest jednak poważna. Bo SW podlega ministrowi sprawiedliwości, a nie prokuratorowi krajowemu. Pytanie więc, co zrobią funkcjonariusze SW, jeśli nowy zwierzchnik w ministerstwie każe opróżnić prokuraturę. Dodajmy, że nie będzie to łatwe zadanie, bo prokuratorzy mają immunitety. ©©

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej





NISZCZYIELSKI ORKAN CIARAN UDERZYŁ W EUROPE

Ciaran, głęboki układ niskiego ciśnienia znad Oceanu Atlantyckiego, który w ubiegłym tygodniu pojawił się w Europie, sprowadził porywy wiatru, które uszkadzały statki, niszczyły budynki i łamały wielkie drzewa. Tylko we Francji straty po orkanie szacowane są wstępnie na 400–480 mln euro, a w całym kraju pozbawionych prądu zostało ok. 1,2 mln gospodarstw domowych. Służby w Belgii, we Francji, w Hiszpanii, Holandii i we Włoszech odnotowały również zgłoszenia o rannych i zabitych. W wielu miastach Starego Kontynentu orkan spowodował także opóźnienia w transporcie lotniczym i kolejowym. Ostrzeżenia przed silnym wiatrem wydawno również w Polsce. **(jap)** ©

FOT. STUART BROCK/EPA/PAP, RODRIGO JIMENEZ/EPA/PAP





Rafał A. Ziemkiewicz

Federalizacja UE przyspiesza. Każdy rząd, który chciałby pomóc w zmianie unijnych traktatów, musi najpierw zapytać o zgodę naród w referendum. Bo nie do takiej Unii Polacy zgodzili się wejść

Do roku 2025 zostaną zbudowane Stany Zjednoczone Europy. Kto nie chce się temu podporządkować, będzie musiał opuścić Unię – kiedy w grudniu 2017 r. cytowaliśmy (jako jedno z niewielu polskich mediów) te słowa Martina Schulza, wówczas przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, polskie elity opiniotwórcze kompletnie je zignorowały. Podobnie było z kolejnymi, coraz dalej idącymi i coraz bardziej dobitnymi zapowiedziami, a potem politycznymi faktami, wskazującymi, że kierownicze kręgi „starej Unii” ogarnięte są determinacją, by dotychczasowe struktury wspólnoty przekształcić w centralnie zarządzane „państwo europejskie”, pozbawiając kraje członkowskie kompetencji suwerennych państw.

Można zrozumieć, że w kręgach skrajnie lewicowych plan ten nie tylko nie wzbudził oporów, lecz także powitany został z nadzieją. Polska lewica, wskutek odmienności naszej historii pozbawiona szerszego społecznego zaplecza, od pokoleń żyje marzeniem, sformułowanym w sławnym liście Tadeusza Krońskiego do Czesława Miłosza: znaleźć oparcie w jakiejś sile zewnętrznej (w wypadku Krońskiego miały to być „kolby sowieckich karabinów”), która wybije Polakom z głów ich narodowo-katolickie zacofanie, bo tutejsze środowiska postępowe są zbyt wątle, by dokonać tego same.

Można też zrozumieć, dlaczego fałszywie przedstawiały federalizacyjne zapędy UE środowiska lewicowo-liberalne i ich wpływowe media. Od czasu odrzucenia przez społeczeństwo balcerowiczowskiej „transformacji ustrojowej” żyją one w przekonaniu, że jako oświecone elity muszą przeprowadzać Polaków przez



„Skok” na Europę.

historycznie nieuchronne procesy bez ich wiedzy, a wręcz odwracając uwagę – tak jak żeby wyprowadzić z płonącej stajni inwentarz, trzeba mu pookręcać łby szmatami, bo bezmózgie bydlę będzie kopało, zapierało się i utrudniało, nie rozumiejąc, że wszystko to dla jego dobra.

SYGNAŁ ULEGŁOŚCI

Jednak całkowite zignorowanie zagrożenia przez rządzące przez ostatnich osiem lat Prawo i Sprawiedliwość nie daje się wytłumaczyć niczym innym niż polityczną krótkowzrocznością. Zahipnotyzowani sondażami wskazującymi na europejski entuzjazm wyborców i zaszantażowani propagandą opozycji, straszącą polexitem, rządzący starali się gorliwie przedstawić jako nie mniej euroentuzjastyczni od opozycji – czego ukoronowaniem była uchwała władz partii, wykluczająca wystąpienie ze struktur UE kiedykolwiek i bez względu

na jakiegokolwiek okoliczności. Ten otwarcie wysłany do Berlina i Brukseli sygnał uległości siedl w parze z podpisywaniem przez rząd Mateusza Morawieckiego kolejnych ustępstw, zgód i „kamieni milowych”, osłanianym snuciem rojeń o rychłym stworzeniu z zachodnimi partiami protestu (francuskim FN, hiszpańską VOX etc.) koalicji, która zablokuje niekorzystne dla Polski dążenia federalizacyjne. Wszystko w nadziei, że udobruchana ustępstwami Komisja Europejska wykona jakiś gest wobec PiS, który poprawi wyborcze szanse stale oskarżanej o „antyeuropejskość” władzy.

Berlin i Bruksela nie podjęły jednak tej gry, przyjmowały kolejne ustępstwa, nie kwitując, a niekiedy – jak w wypadku jawnego okpienia przez przewodniczącą von der Leyen prezydenta Dudy w sprawie ustawy „odblokowującej” KPO – wykorzystując je do dodatkowego



Polski rząd przez osiem lat lekceważył federalistyczne dążenia UE.
Na zdjęciu: premier Mateusz Morawiecki podczas rozmów w Brukseli 26 października FOT. THIERRY MONASSE/GETTY IMAGES

Ostatni dzwonek

poniżenia znienawidzonej „nacionalistyczno-katolickiej dyktatury”.

Kunktatorska polityka wobec eurokracji zakładała rezygnację z realizowania strategicznych polskich interesów, osłanianą retorycznymi wzmożeniami, w zamian za taktyczne, wyborcze korzyści, w które wierzyć było skrajną naiwnością – urzędnicy i politycy „starej Unii” nawet przez moment nie ukrywali przecież, że ich celem jest osadzenie u władzy w Polsce „proeuropejskiego” Tuska. Jedynym jej skutkiem jest, że wyprzedając teraz polską suwerenność, będzie mógł ten ostatni używać – niestety prawdziwego – argumentu: „Przecież tylko wywiązuję się z zobowiązań podjętych przez poprzedni rząd”.

ZMIANA TRAKTATÓW

Tymczasem proces budowania „państwa europejskiego” został przyspie-

szony. Wiktor Suworow opisywał kiedyś wojnę agresywną na wzór zachowania drapieżnika, który, jak długo może, podkrađa się do ofiary skrycie, by rzucić się otwarcie do ataku dopiero wtedy, kiedy jej szanse na ucieczkę spadną do minimum. Analogicznie można powiedzieć, że przegłosowanie przez Komisję Konstytucyjną Parlamentu Europejskiego (AFEC) projektu zmian traktatów unijnych, przekształcającego wspólnotę suwerennych państw w państwo związkowe, jest symbolicznym zakończeniem fazy „podkradania się”. Twór, zwany, dla lepszych skojarzeń, „Stanami Zjednoczonymi Europy”, w istocie bardziej zasługujący na miano „Związku Socjalistycznych Republik Europejskich”, został światu pokazany w całej jaskrawości, w formie bardziej skrajnej, niż ktokolwiek to wcześniej postulował. Z naszego punktu widzenia godne odnotowania jest, że

owo wiekopomne głosowanie miało się pierwotnie odbyć 12 października i przesunięto je o tydzień ze względu na Polskę, by nie zaszkodziło osadzeniu u władzy w Warszawie Donalda Tuska.

Projekt, przegłosowany przez AFEC i skierowany pod obrady plenarne europarlamentu, idzie tak daleko, że komentatorzy upatrują w nim rezultatu rywalizacji w „proeuropejskiej” gorliwości liderów PE z brukselskimi urzędnikami albo czegoś w rodzaju europejskiej „kozy rabina”, projektu ogłoszonego tylko po to, by potem z 90 proc. jego zapisów mógł się zarząd „państwa europejskiego w budowie” wycofać, forsując za tę cenę to, co najważniejsze – nowy sposób podejmowania decyzji, który i tak pozwoli z czasem zrealizować pozostałe 90 proc.

Mamy tu bowiem nie tylko zupełnie otwarte sprowadzenie rządów krajowych do roli lokalnych administratorów, podporządkowanych ścisłemu nadzorowi centrali. Mamy także otwarcie wyrażone dążenie do wypchnięcia z Europy Stanów Zjednoczonych i uniezależnienia się, poprzez stworzenie „europejskich sił zbrojnych”, od NATO – co dodatkowo podkreślił współsprawozdawca projektu, niemiecki europoseł Helmut Scholz. Widać w tym, że architekci „państwa europejskiego” konstruują je nie dla samego konstruowania, ale po to, by było instrumentem konkretnej polityki, otwarcie postulowanej niedawno w publicznych wystąpieniach kanclerza Scholza i prezydenta Macrona: polityki „równoważenia” wpływów amerykańskich w Europie wpływami Chin i ich junior partnera, którym „pełnoskalowa” agresja na Ukrainę uczyniła Rosję.

Moment ogłoszenia projektu scentralizowanego „państwa europejskiego”, poddanego dyktatowi unijnych mocarstw i mającego wyraźny, antynarodowy, lewicowy profil ideologiczny, określony przez celebrowanego na poziomie najwyższych władz UE Karola Marksa i jego uczniów, twórców „Manifestu z Ventotene”, zbiegł się z „odczarowaniem” tematu w lewicowo-liberalnych mediach. Także w Polsce. Dotąd „mądrość etapu” kazała, by w mediach należących do europejskich korporacji wszelkie informacje o federalizacyjnych staraniach Berlina i Brukseli przemilczać i bagatelizować – nawet gdy „konieczność przejścia przez Berlin

„odpowiedzialności za Europę” i podporządkowania „wspólnym europejskim interesom narodowych egoizmów” głosili nie tylko Martin Schulz, lecz także sam Olaf Scholz. „To pieśń dalekiej przyszłości”, „teoretyczne rozważania”, „PiS-owska propaganda”. Duża część lewicowo-liberalnej propagandy pozostaje wciąż w tym schemacie, wmawiając, podobnie jak niedawno czyniły to w odniesieniu do rozporządzenia o przymusowej relokacji nielegalnych imigrantów, że żadnych wiążących ustaleń nie ma i wszystko jest tylko przesadą albo całkowitym zmyśleniem wrogich sił. Niemniej wpływowy portal Onet koncernu Ringier Axel Springer dosłownie nazajutrz po przegranych dla PiS wyborach ogłosił piórem swego redaktora naczelnego, że czas najwyższy poważnie rozważyć „korzyści”, które odniesiemy z włączenia się w „państwo europejskie”.

Wspomniany wyżej tekst Bartosza Węglarczyka cenny jest o tyle, że wyznacza propagandową argumentację, która będzie teraz na różne sposoby agregowana. Od dawnych, lewicowych rojeń o „nieuchronnym rozpląnięciu się narodów we wspólnocie wyższego rzędu”, snutych przez lewicowych intelektualistów w dziale „opinie” „Gazety Wyborczej” czy w niszowych mediach w rodzaju „Krytyki Politycznej”, dzieli elukubracje Węglarczyka jedno: nie ma już u niego mowy o jakiejś „ponadnarodowej wspólnocie”, która wyzwala się z ciasnych, narodowych organizacji państwowych, bo weszła na wyższy poziom, stała się „narodem europejskim”, więc już ich nie potrzebuje. Obecnie „państwo europejskie” jest nam stręczone jako „oparcie się” na „sile” i zdecydowaniu „unijnych mocarstw”, które w dobie wojen i niepokojów społecznych zapewnią nam bezpieczeństwo.

Szkoda tu czasu na pastwienie się nad głupactwami propagandy planowanego „Anschlusu” – jak dotąd stopień bezpieczeństwa w Polsce jest znacznie wyższy niż w państwach, które chcą nam je gwarantować, i nie trzeba geniuszu, by wyobrazić sobie, jak potoczyłaby się sytuacja na Ukrainie, gdybyśmy w decydującej chwili swoje „egoistyczne” polskie interesy podporządkowali „europejskim”, reprezentowanym przez Berlin, Paryż i Brukselę. Ale propagandowe tezy zdradzają istotę sprawy. „Państwo eu-

ropejskie” potrzebne jest jego twórcom nie dlatego, żeby Europejczycy poczuli się większą, ponadnarodową wspólnotą, ale dlatego, że silne kraje „muszą” wziąć te słabsze pod kuratelę i poprowadzić je we właściwym kierunku; a jeśli mniejsi nie rozumieją, że to dla ich własnego dobra, to należy użyć narzędzi przymusu, których wspólnota oparta na swobodzie trzech przepływów nie dawała, a oberpaństwo – da.

NIEMIECKA MYŚL

Wątkiem absolutnie kluczowym, wymagającym osobnych i obszernych omówień, jest rola odgrywana w tym centralizacyjnym „skoku” na wspólnotę europejską przez Niemcy. To politycy niemieccy zaprojektowali proces budowy państwa europejskiego nie poprzez zrastanie się równorzędnych partnerów, a wokół najsilniejszego, odtwarzając doświadczenia bismarckowskiego zjednoczenia Niemiec, w którym współczesne państwo niemieckie odegrać ma identyczną rolę, jak wówczas państwo pruskie. I to oni przekuli tradycyjny niemiecki nacjonalizm w nowego rodzaju,

Pod szyldem „Stanów Zjednoczonych Europy” ukryto stary, zachodnioeuropejski imperializm

jakościowo tożsamy, ale posługujący się odmienną retoryką nacjonalizm „europejski”. Już nie „Deutschland”, ale „Europa uber alles” – ale wszak „Europa” to właśnie Niemcy, niemieckie elity, które najlepiej definiują europejskie interesy, niemiecka gospodarka, która najlepiej je gwarantuje, i niemiecka wyższość „mocarstwa moralnego”, które wzorcowo rozliczyło i przewyciężyło zło nacjonalizmu i gotowe jest nauczyć tego wszystkich innych, zwłaszcza tych, którzy w swym zacofaniu wciąż nie rozumieją, że muszą się temu procesowi poddać.

Wszystko to, co ukryto pod kuszącym dla niektórych szyldem „Stanów Zjednoczonych Europy”, to w istocie stary zachodnioeuropejski imperializm i kolonialna żądza maksymalizowania

zysków kosztem słabszych narodów – projekty wielce dla nas toksyczne. W istocie trzeba raz jeszcze przypomnieć, co pisaliśmy na tych łamach wielokrotnie, pęd centralizacyjny nie jest bynajmniej próbą zrealizowania jakiejś głębiej przemyślanej myśli. Jako projekt polityczny „państwo europejskie” jest rojeniem nieliczącym się z gospodarczymi ani społecznymi realiami, urągającym rzetelnemu rachunkowi sił i środków, realizowanym w ideologicznym oblędzie i w poczuciu konieczności „ucieczki do przodu”, ratowania pozorów zachodnioeuropejskiej mocarstwowości kosztem środkowej Europy i Bałkanów. W istocie jest to tylko „skok” na Europę, który długofalowo doprowadzić musi do wielu katastrof. Lepiej byłoby, gdyby Polska ich uniknęła, wyłączając się w porę z tego poronionego projektu.

Dlatego musimy napisać na koniec to, od czego być może należało zacząć, a co jest najbardziej oczywiste: wraz z rozpoczęciem w sposób otwarty procesu przekształcania Wspólnoty Europejskiej w Państwo Europejskie wygasa legitymizacja polskiego członkostwa w UE, którą było referendum z roku 2003, kiedy to 13,5 mln (z prawie 31 mln uprawnionych) Polaków wyraziło wolę wstąpienia do organizacji międzynarodowej, w niczym nieprzypominającej konstrukcji zaprojektowanej w projekcie przegłosowanym przez komisję Parlamentu Europejskiego, a niebawem, jak należy się spodziewać, przez PE jako taki. Polacy nigdy nie wyrazili zgody na oddanie suwerenności narodowej, na podporządkowanie się w kluczowych obszarach życia publicznego, jak również w kwestiach norm moralnych i wartości, zarządzeniom obcych organów, na których wybór i działanie nie mają żadnego wpływu i które w żaden sposób przed nami (ani chyba przed nikim w ogóle, poza samymi sobą) nie odpowiadają.

To nie tylko dotyczy Polski, lecz także w obliczu zagrożenia trzeba dbać przede wszystkim o własne podwórko. Każde działanie rządu polskiego, ktokolwiek będzie go tworzył, wychodzące naprzeciw dążeniom do zmiany unijnych traktatów, będzie działaniem bezprawnym dopóty, dopóki Polacy nie wyrażą swego stosunku do niepodległości w nowym referendum.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

OLIVIER BAULT: Parlament Europejski szykuje nam głęboką zmianę traktatów Unii, która pociągnęłaby za sobą bardzo znaczący, wręcz masowy transfer kompetencji krajowych do Brukseli. Sam Donald Tusk wyraził daleko idący sceptycyzm wobec tych zmian, a poseł Marek Sawicki z PSL powiedział, że będzie przekonywał kolegów w Parlamencie Europejskim do głosowania przeciw na posiedzeniu plenarnym 22 listopada. Brał pan poseł udział w negocjacjach nad raportem i projektem Raportu PE dotyczącym zmian traktatowych. Znak sprawę od kuchni, aktywnie przestrzega pan w mediach przed zaproponowanymi zmianami, mającymi poparcie Niemiec i Francji oraz partii głównego nurtu. Czy sądzi pan, że nawet jeśli to Donald Tusk uformuje rząd, to Polska sprzeciwi się tym zmianom?

JACEK SARYUSZ-WOLSKI: Nie. Po pierwsze, słowa pana Tuska nic nie znaczą. Tyle razy kłamał i nie dotrzymywał słowa, że nie powinno się brać tego na poważnie. Po drugie, jego unijna formacja polityczna, to znaczy Europejska Partia Ludowa, w której są PO i PSL, już głosowała za tymi zmianami. Głosowała za tym poprzez swoich przedstawicieli frakcyjnych zarówno w Komisji Spraw Konstytucyjnych Parlamentu Europejskiego, jak i w tzw. Grupie Verhofstadta, która te propozycje zmian traktatowych przygotowała. We wrześniu br. opowiedziała się również za nimi w głosowaniu plenarnym nad innym raportem na temat tego, czy chcemy zmian w traktatach i likwidacji weta. Skoro już w przeszłości głosowali za tymi rozwiązaniami, to jest w zasadzie pewne, że tak będą głosować nadal.

Po drugie, ich patroni polityczni w UE już o to zadają. Są oni więźniami swoich mocodawców brukselsko-niemieckich, w związku z tym cokolwiek by powiedzieli, i tak wykonają polecenia z Berlina i z Brukseli. To, co w tej chwili mówią, to mydlenie oczu. Nawet w przypadku PSL, którego politycy mają refleks państwowy, który ich nastawia ostrożnie i sceptycznie wobec centralistycznych koncepcji ustroju UE, w koalicji z Tuskiem nie będzie miał on możliwości, żeby swoje zdanie obronić, bo będzie mniejszym partnerem i zostanie najzwyczajniej w świecie albo zmuszony, albo przegłosowany. Ostateczny głos będzie miał premier, bo to on będzie reprezentował w tej sprawie ewentualny nowy rząd, a nie PSL.

Przestrzegam też przed używaniem do opisu terminu „federalizm”. To zły termin, gdyż tu w ogóle nie chodzi o federalizm, tylko o stworzenie hierarchicznego superpaństwa, rodzaju imperium. W federacji części składowe są bowiem równe lub prawie równe. Landy w Niemczech, kantony w Szwajcarii czy stany w USA mają tę samą albo podobną liczbę głosów w izbie wyższej parlamentu federacji. W Unii Europejskiej jest odwrotnie – im większy kraj ludnościowo, tym więcej waży. Dlatego można powiedzieć,



Z europosem Jackiem Saryuszem-Wolskim
rozmawia Olivier Bault

Lizbona albo śmierć

że projekt zmiany traktatów jest tak naprawdę antyfederalistyczny. To nie są eurofederaliści, tylko eurocentraliści.

Nowe kompetencje, które państwa członkowskie mają przekazać Unii na wyłączność, to klimat i środowisko. Czyli o tym, jakimi samochodami Polacy mogą jeździć i gdzie mogą w ogóle samochodem wjeżdżać, czy o tym, ile będą płacić z tytułu uprawnień do emisji CO₂ za ogrzewanie domu, oraz w wielu innych sprawach brzemiennych w skutki będzie się decydowało już nie w Warszawie, tylko w Brukseli, zwykłą większością głosów?

Tak, i to oznacza, że o kwestiach związanych z klimatem i ochroną środowiska w Unii decyzje narzucać będzie Komisja Europejska, tak jak ma to miejsce w dziedzinach, gdzie Unia już ma wyłączne kompetencje, jak w przypadku wspólnej polityki handlowej. Będzie to najbar-

dziej radykalna wersja zielonej polityki, tzw. zielonego ładu, którą chciał narzucić Holender Frans Timmermans. A ponieważ projekt zmiany traktatów zakłada obniżenie progu dla głosowań w Radzie z 55 proc. państw, skupiających 65 proc. ludności Unii, do 50 proc. państw, skupiających 50 proc. ludności Unii, przeformowanie projektów Komisji będzie łatwiejsze, a zablokowanie czegokolwiek będzie trudniejsze.

Do tego dochodzą nowe kompetencje dzielone, które tak naprawdę stają

się kompetencjami Unii, gdyż traktat mówi o tym, że to są kompetencje, co do których wykonywania UE ma pierwszeństwo. Kraje członkowskie mogą realizować je tylko w takim zakresie, w jakim Unia zrezygnuje z ich wykonywania. Dlatego nie różnią się wiele od kompetencji wyłącznych i trzeba mówić nie o dwóch, tylko o 10 nowych obszarach kompetencji, transferowanych na szczybel Unii Europejskiej, jeśli zaproponowane zmiany wejdą w życie.

Wśród nowych kompetencji tzw. dzielonych są zdrowie publiczne i edukacja. Czy mamy rozumieć, że o tzw. zdrowiu reprodukcyjnym, tj. o aborcji, czy np. o wprowadzeniu seksedukacji zgodnej z wytycznymi WHO na Europę od przedszkola do liceum będzie się decydowało w Brukseli większością

głosów i będzie to musiało obowiązywać również w Polsce bez zgody Polaków?

Tak właśnie się stanie, znając brukselską metodę rozszerzania interpretacji wszystkiego, co jest zapisane w traktatach. Jeśli chodzi o ochronę zdrowia, to widnieje tam np. taki zapis: „kwestie zdrowia publicznego, w szczególności ochrony i poprawy zdrowia ludzkiego, zwłaszcza transgraniczne zagrożenia dla zdrowia”. Ponieważ aborcja jest w UE ukryta pod kryptonimem „zdrowie reprodukcyjne”, będzie traktowana jako element polityki zdrowotnej i będzie rozstrzygana jako kompetencja dzielona, co do której realizacji Unia ma pierwszeństwo. Tak samo, jak zresztą pozostałe kompetencje dzielone zapisane w projekcie zmian traktatowych: leśnictwo, tran-

nie jednomyślnie, a większością głosów krajów członkowskich, nie tylko prawa głosu, lecz także funduszy.

Do tego obowiązkowa waluta euro...

Też. Poprawiony art. ust. 4 Traktatu o Unii Europejskiej będzie stanowił, że „walutą Unii jest euro”. To oznacza, że wszystkie kryteria konwergencji z Maastricht, wymagające spełnienia warunków obiektywnie zmierzzonej ekonomicznej dojrzałości do przyjęcia euro danego kraju, dotyczące poziomu inflacji, stóp procentowych, deficytu budżetowego, kursu walutowego czy zadłużenia finansów publicznych, zostaną potraktowane jako wtórne względem wymogu traktatowego. Skoro walutą Unii jest euro, to niezależnie od tego, czy dana

przemysłowej i wysokich technologii wojskowych w Europie oraz skrajnie rozbieżne interesy państw UE w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa. Ten plan to mrzonka, ale jest w stanie zaszkodzić stosunkom transatlantyckim i NATO. Zwłaszcza że stoi za nim geopolityczny zamysł Niemiec i Francji zachowywania równego dystansu UE wobec USA i Rosji oraz powrotu do kolaboracji z Rosją „taką, jaka ona jest”, dla stworzenia przeciwwagi dla USA. To stary, ale jary plan Europy od Lizbony do Władystoku. Śmiertelnie niebezpieczny dla Polski i Europy Środkowo-Wschodniej, która znalazłaby się w strefie tektonicznego zgnięcia między niemiecką Unią i rosyjską Eurazją. To także całkowite odwrócenie zasady konstrukcyjnej, która legła u podstaw wspólnoty transatlantyckiej i NATO po drugiej wojnie światowej: „Keep America in, Russia out, and Germany down”. Teraz miałoby to być: „Keep America out, Russia in, and Germany up”.

Z drugiej strony, nawet jeśli Polska nie zablokuje zmian traktatowych, których chcą nie tylko europarlament, lecz także rządy Niemiec i Francji, czy nie jest tak, że zawsze znajdzie się ktoś, kto ten nowy traktat zablokuje? Tak było przecież w przeszłości...

Historia traktatu konstytucyjnego pokazuje, że na końcu drogi wszelki opór zostaje zgnieciony. Nawet najbardziej eurooporna i euroodporna Wielka Brytania zgodziła się w końcu na ten traktat i gdyby nie referenda w Holandii i we Francji, to traktat konstytucyjny by przeszedł. A i tak przecież wersję okrojoną tego traktatu, zwaną traktatem lizbońskim, wprowadzono. Historia uczy, że wszystkich opornych można złamać. Poza tym w tej chwili narzędzia presji i szantażu są dużo potężniejsze. Wtedy Komisja nie miała takich instrumentów przemocy, nie mogła tak łatwo szantażować krajów, blokując im wielomiliardowe fundusze, jak to robi teraz, np. pod pretekstem tzw. praworządności. Taka blokada finansowa może krajom zadłużonym, jak Włochy, grozić katastrofą finansową, skazując je na atak rynków finansowych.

Dlatego można założyć, że ta radykalna, rewolucyjna zmiana ustrojowa może się powieść, chyba że już teraz zbudowany zostanie sprzeciw społeczeństw, który

Historia traktatu konstytucyjnego pokazuje, że na końcu drogi wszelki opór zostaje zgnieciony. Nawet Wielka Brytania zgodziła się w końcu na ten traktat i gdyby nie referenda w Holandii i we Francji, to traktat konstytucyjny by przeszedł

sgraniczna infrastruktura transportowa, polityka granic zewnętrznych, sprawy zagraniczne, bezpieczeństwo zewnętrzne, obrona, obrona cywilna, przemysł i edukacja.

Czytamy też w zaproponowanej poprawce 118 do Traktatu o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej, że kwestie dotyczące prawa rodzinnego będą już rozstrzygane zwykłą większością głosów, a nie jednomyślnie. Czyli jest pewne, że w przypadku wejścia w życie nowego traktatu Polska będzie musiała wprowadzić homomałżeństwa z prawem do adopcji dzieci?

Owszem, ponieważ prawo weta jest zlikwidowane z jednym ważnym wyjątkiem: decyzji o przyjęciu nowego państwa do Unii. Poza tym wszędzie w traktacie, tj. w kilkudziesięciu miejscach, pojęcie równości kobiet i mężczyzn zastąpiono w projekcie ideologicznym pojęciem gender. Jest to zapowiedź rewolucji kulturalno-ideologicznej, w którym to zakresie Bruksela będzie narzucała swoje rozwiązania państwom członkowskim. W razie niepodporządkowania się danego kraju, w trybie zmienionego artykułu 7, można będzie pozbawić go już

gospodarka jest gotowa do przystąpienia unii walutowej i niezależnie od woli politycznej i zapisów konstytucji danego kraju, można będzie narzucić przyjęcie tej waluty.

Jeśli wyczytać się w wypowiedzi współsprawozdawców raportu PE zawierającego propozycje zmian, to jednym z celów modyfikacji traktatów ma być „niezależność strategiczna Unii” wraz z przekształceniem sił zbrojnych państw UE w struktury europejskie celem uniezależnienia się od NATO. Takie stanowisko wyraził Niemiec Helmut Scholz z frakcji GUE/NGL. Czy pana zdaniem zmienione traktaty mogą faktycznie zagrozić istnieniu NATO albo co najmniej osłabić ten sojusz, wypychając Amerykanów z Europy?

W dłuższym horyzoncie taka jest intencja. Strategiczna autonomia to kryptonim dystansowania się i uniezależniania od USA. UE, pozyskując sama zdolności militarne, miałaby stać się alternatywą dla NATO, a nie jego uzupełnieniem gospodarczym, cywilnym i infrastrukturalnym, jak jest to dotąd. Plan ten jest niemożliwy do zrealizowania w dającej się przewidzieć przyszłości, a to ze względu na słabość bazy

przełoży się na działania polityczne oraz powstanie koalicja państw temu przeciwnych. Jeśli się tego nie zrobi teraz, to potem może być już za późno.

A czy nie powinno się zapytać Polaków o zdanie w referendum, tak jak miało to miejsce przed przystąpieniem do Unii w 2004 r.?

Na pewno radykalizm tej zmiany wskazywałby na to. To jest przecież decyzją tej samej wagi, jeśli nie większej. Natomiast Francja, która ma swoje doświadczenie z traktatem konstytucyjnym, przewidując, że nadejdzie taki moment, kiedy będzie wprowadzany nowy traktat, sama parła do tego, celowo zmieniła swoją konstytucję. I we Francji w tej materii referendum już nie jest wymagane. W Niemczech referendum jest wręcz zakazane przez ich ustawę zasadniczą. W niewielu krajach referendum jest konstytucyjnie wymagane. Zresztą cisza mediów na ten temat świadczy o tym, że elity zamierzają to przeforsować na poziomie rządowo-parlamentarnym, unikając rozgłosu, po cichu, poza świadomością i wiedzą społeczeństw. Teraz, kiedy to się dzieje, moi współpracownicy szukali informacji na ten temat w prasie zachodnioeuropejskiej: poza jakimiś specjalistycznymi tekstami gdzieś na odległych miejscach rzecz jest kompletnie przemilczana. A chodzi tu przecież de facto o docelową likwidację państw narodowych. W przypadku Polski referendum byłoby w pełni uzasadnione, bo rozstrzygnięcie to ma jeszcze większą wagę niż sama nasza akcesja do UE, której byłem negocjatorem. Ale referendum kryje także niebezpieczną pułapkę. Otóż mogłoby ono zostać przedstawione nie-uświadomionemu społeczeństwu jako wybór „być albo nie być” w UE. A wtedy, przy bardzo prounijnym nastawieniu polskiego społeczeństwa oraz manipulacji medialnej i socjotechnicznej, wszystko mogłoby się wydarzyć.

To co? Lizbona albo śmierć? Tak jak kiedyś „Nicea albo śmierć”?

To hasło „Nicea albo śmierć” zostało wtedy niezrozumiane i ośmieszane. Byłem jego autorem, politycznym zaś ojcem był Jan Rokita. Odejście od traktatu nicejskiego to był pierwszy etap odejścia od zasad wspólnotowych, w miarę równego ważenia głosów państw członkow-

skich, na rzecz systemu populacyjnego, tzw. podwójnej większości głosów. I to on zrodził fenomen, różnie to można nazywać: dyktatoratu, grupy trzymającej władzę, duopolu niemiecko-francuskiego plus, koncertu mocarstw, który zerwał z polityką wspólnotową i zaczął prowadzić politykę imperialno-neokolonialną, skrajnie centralistyczną i gwałcącą traktaty. Zło się zaczęło w momencie odejścia od Nicei.

Stoję na gruncie idei Roberta Schumana, o inspiracji chrześcijańskiej, że Unia ma być wspólnotą suwerennych państw. Zwalczam koncepcję komunistycznego Manifestu z Ventotene Altiera Spinellego, który zakładał stworzenie superpaństwa, likwidację i odebranie społeczeństwom państw ich wspólnot narodowych. Proponuje się, żeby Komisja Europejska nazywała się Egzekutywą, a komisarze sekretarzami, to wszystko są bolszewickie pomysły i bolszewicka terminologia. Jak czytamy w Manifestie z Ventotene, do którego się odwołuje w pierwszej kolejności rezolucja Parlamentu Europejskiego na temat zmian traktatowych: „Źródłem wizji i pewności [co do słuszności] tego postępowania nie jest namaszczenie z woli ludu – ona wszak jeszcze nie istnieje, lecz świadomość reprezentowania najgłębszych potrzeb współczesnego społeczeństwa. Dyktatura partii rewolucyjnej stworzy nowe państwo, a wokół niego – nową prawdziwą demokrację”. Toż to przecież czysty sowietyzm!

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER



Piotr Semka

Andrzej Duda rozpoczyna być może najtrudniejsze dwa lata w swojej prezydenturze. Poza sfinksa, który robi tajemnicze miny i trzyma wszystkich w niepewności, nie może być odgrywana w nieskończoność

Prezydent Andrzej Duda znów jest w centrum wydarzeń. Opozycja waha się, czy należy nie czynić sobie z niego wroga czy też już zacząć powtórkę z wojny Donalda Tuska z Lechem Kaczyńskim z lat 2007–2010. Ale i PiS, wciąż walczący o przyznanie Mateuszowi Morawieckiemu prawa do misji formowania rządu, zastanawia się, na ile prezydent chce być lojalny wobec ugrupowania, z którego wyszedł.

W nowej, dość chaotycznej rzeczywistości po wyborach 15 października rola prezydenta z racji uprawnień konstytucyjnych wyraźnie wzrasta. Pytanie tylko, czy sama głowa państwa ma jakiś pomysł na swój udział w politycznej grze. I kolejne pytanie: Czy Andrzej Duda zechce wziąć udział w rozgrywce o schedę w PiS po Jarosławie Kaczyńskim?

„BĄDŹ GRZECZNY, BO...”

16 października 2023 r., w powyborczym śniadaniu Radia Gdańsk, Piotr Adamowicz, poseł wybrany z listy Koalicji Obywatelskiej, zapytany został o to, jaką rolę prezydent Andrzej Duda odegra w nowej sytuacji. Adamowicz odparł: „[Pan Duda] skończy kadencję, będąc de facto bardzo młodym politykiem, żadnym emerytem. Pytanie [...], czy ma zamiar ubiegać się o jakąś istotną funkcję międzynarodową. Na pewno przewodniczącym ONZ nie zostanie, przewodniczącym NATO też nie zostanie. Ale jest wiele istotnych stanowisk w przestrzeni międzynarodowej. Jest pytanie do Andrzeja Dudy, na ile gotowość do poprawnych relacji z rządem koalicji KO-Trzecia Droga-Lewica będzie ważyła na jego postępowaniu. Przypomnijmy jego weto w sprawie TVN. Jak największy sojusznik Polski, czyli Stany Zjednoczone,

tupnął lekko nogą – to co zrobił Andrzej Duda? Na ile jego ambicje, aspiracje, chęć uczestniczenia w życiu międzynarodowym będą teraz wpływały na to, jak będzie postępował w polityce wewnętrznej Polski?”

Jeszcze wyraźniej ten styl pogroźek sformułował Bartosz Wieliński z „Gazety Wyborczej”. Napisał on: „Kalkulowałem, że Andrzej Duda nie będzie robić demokratycznej koalicji problemów i przekazanie władzy po przegranych przez PiS wyborach przejdzie raczej gładko. Może będą ze strony prezydenta jakieś symboliczne grymasy. Nie spodziewałem się jednak, że człowiek, który stoi na czele 37-milionowego kraju, piątego państwa Unii Europejskiej, może mieć problem z prostą matematyką i będzie przekonywać świat, że 194 to więcej

niz 248. Z otoczenia Andrzeja Dudy dochodzą sygnały, że po 2025 r. chciałby pracować w ONZ jako zastępca sekretarza generalnego”.

Wieliński bardzo jednoznacznie wskazuje, że ONZ to jedyna organizacja międzynarodowa, do której obecny prezydent mógłby aspirować. I twardo zaznacza: „W Unii Europejskiej czy NATO polityk, który łamał konstytucję własnego kraju, przykładął rękę do niszczenia demokracji i praworządności, okazywał pogardę Zachodowi, nie ma czego szukać. A w ONZ jest przecież wiele satripii. Niespełniony autokrata z Polski na ważnym stanowisku nikogo nie będzie raził”. Wieliński formułuje wyraźne ostrzeżenie: jeśli prezydent połasi się nawet na taką drugoligową posadę, to i tak będzie musiał mieć wsparcie rządu



FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER



kontredans

w Warszawie, w domyśle: rządu pod wodzą Donalda Tuska.

Jeszcze inne stanowisko zajął inny czołowy ideolog obozu liberalnego w Polsce, Wojciech Sadurski. „Pewien bezwzględny polityk nazwiskiem Lenin (a właściwie Uljanow) rzucił swego czasu hasło: »Żadnych rozmów z rządem tymczasowym«. Trawestuję to hasło towarzysza Lenina na: Żadnych rozmów z prezydentem tymczasowym. Otoczyć to całe towarzystwo kordonem sanitarnym”.

Te trzy wypowiedzi ukazują bardzo do brzo wachlarz pomysłów opozycji na relacje z gospodarzem Belwederu. We wszystkich trzech wypowiedziach oczywistością dla ich autorów jest postulat wymuszenia na prezydencie pełnego posłuszeństwa. Połączone jest to jednocześnie z dosyć

pogardliwym przekonaniem, że Andrzej Duda jest tak uzależniony od nadziei na „ważną fuchę” po zakończeniu kadencji, że potulnie zachowywać się będzie tak, jak będzie sobie tego życzył Donald Tusk. Ale nawet ta linia nie potrafi powstrzymać publicystów wspierających dotychczasową opozycję od demonstrowania pogardy w stylu: ONZ ci jeszcze darujemy, na funkcję w NATO nie licz. Jest w tym zarówno przekonanie o stuprocentowej sprawczości Platformy i jej koalicjantów w blokowaniu możliwej kariery międzynarodowej Andrzeja Dudy, jak i święte przekonanie, że prezydent musi robić to, co mu się każe.

NOWY BOJOWY SZEFA GABINETU

Jeśli po prawej stronie polskiej sceny politycznej można wyobrazić sobie głośniejsze „wejście smoka”, to Marcin

Mastalerek zbliżył się niemal do ideału. Ogłoszenie parę dni przed objęciem funkcji szefa gabinetu prezydenta wezwania Jarosława Kaczyńskiego do dymisji natychmiast zaogniło relacje Pałacu Prezydenckiego z Nowogrodzką. Wielu publicystów widziało w tym osobiste wyrównanie rachunków Mastalereka z liderem PiS. W listopadzie 2014 r. Mastalerek został awansowany z funkcji szefa frakcji młodych PiS na stanowisko rzecznika prasowego partii. W wyborach 2015 r. miał już obiecane biorące miejsce drugie na liście PiS w Sieradzu. I oto całkiem niespodziewanie w lipcu 2015 r. Mastalerek został odwołany z funkcji rzecznika. Potem okazało się też, że skreślono go z list wyborczych PiS.

Plotka głosiła, że był to efekt kpin z prezesa Kaczyńskiego, na które Mastalerek miał sobie pozwolić w gronie na tyle szerokim, że wieści o dezynwolturze rzecznika partii dotarły do Wielkiego Jarosława. Mastalerek przetrwał ostatnie osiem lat, otrzymując funkcję administracyjną w Orlenie, pod skrzydłami Wojciecha Jasińskiego, poprzednika Daniela Obajtka, a potem od 2018 r. był wiceszefem spółki Ekstraklasa. Od dłuższego czasu już doradzał nieformalnie Andrzejowi Dudzie, a teraz wszedł oficjalnie na jedno z najważniejszych stanowisk w kancelarii. 23 października odebrał z rąk prezydenta nominację i od tego czasu co rusz wygłasza opinie, które podkreślają podmiotowość Andrzeja Dudy wobec PiS.

29 października Mastalerek przypomniał inicjatywę współpracy Prawa i Sprawiedliwości z Konfederacją i PSL z 2020 r. Wypomniął partii rządzącej, że po wyborach parlamentarnych nie ma większości w Sejmie i tym samym prawdopodobnie straci władzę, gdyż nie umie znaleźć sobie koalicjanta. Zwrócił uwagę, że już w 2020 r. prezydent Andrzej Duda próbował budować Koalicję Polskich Spraw, dzięki której PiS mógłby budować większość sejmową z innymi partiami.

Wszystkie konfrontacyjne wypowiedzi Mastalereka przyjmowane są z ogromnym zainteresowaniem przez media sprzyjające Platformie. Dlatego Mastalerek nie jest konfrontowany z przypomnieniem realiów tamtej inicjatywy z 2020 r. A przecież wtedy prezydencka idea Koalicji Polskich Spraw nie tylko została niechętnie

potraktowana przez PiS, lecz także spotkała się z obojętnością ludowców. Partia Władysława Kosiniaka-Kamysza tkwiła wtedy mocno w nurcie „totalnej opozycji” i nie miała ochoty na żadne poważniejsze zbliżenie z prawicą. Z kolei w wypadku Konfederacji w czasie pandemii przyjęła ona jako przemyślany wybór bardzo konsekwentną opozycję wobec PiS w kwestii ograniczeń covidowych. A potem odrzucała politykę rządzącej partii wobec Ukrainy. A jednak Mastalerk wraca do tamtych idei, nie próbując odpowiedzieć sobie na pytanie, czy była ona możliwa do realizacji.

Pytany przez dziennikarzy o rolę, jaką prezydent Andrzej Duda widzi dla siebie w okresie powyborczym, Mastalerk powiedział w Polsat News, już jako szef gabinetu prezydenta: „Andrzej Duda nigdy nie był typem partyjnego działacza i nie sądzę, by chciał nim być. Będzie natomiast niezbędnym elementem do tego, by prawica w ogóle przetrwała i mogła wygrywać”. Słowa te zabrzmiały jak wyraźne ostrzeżenie. To gospodarz Belwederu ma obecnie więcej kart w ręku niż PiS i oczekuje większej spolegliwości ze strony Nowogrodzkiej.

TRZY SCENARIUSZE

Problem w tym, że mimo ośmiu lat prezydentury wciąż trudno jednoznacznie wskazać na jakiś jeden dominujący „modus operandi” Andrzeja Dudy w relacjach ze swoją niegdysiejszą partią. W ciągu tych lat prezydent potrafił dość odważnie stawać w obronie prawa Polaków do wybierania, kogo chcą, do władzy i prawowitości demokratycznie wybranego do rządzenia PiS. Jednak ulegał hysterii opozycji, gdy wetował ustawę o reformie sądownictwa w 2017 r. czy blokował „lex Czarnek” w 2022 r. Relacje głowy państwa z Jarosławem Kaczyńskim są zamrożone już od wielu lat. Sytuacja, w której prezydent utożsamiany z prawicą nie spotyka się od paru lat w cztery oczy z liderem głównej prawicowej partii, już jest ewenementem i może to niepokoić dużą część prawicowych wyborców.

Wydawało się, że kampania prezydencka z 2020 r., w której Andrzej Duda ze swej strony dał z siebie wszystko na rzecz wygranej, a także skorzystał z ogromnej mobilizacji PiS na rzecz jego reelekcji, powinna naprawić relacje na

linii Pałac Prezydencki – Nowogrodzka. Tak się jednak nie stało. Co więcej, sięgnięcie po Marcina Mastalerka było bardziej podkreśleniem autonomii prezydenta niż krokiem na rzecz jakiegoś koordynowania działań między Pałacem Prezydenckim a PiS wobec nowej sytuacji politycznej. Jaki wybór ma prezydent? Może przyjąć rolę gracza, który będzie podkreślał swoje niezaangażowanie w spór na linii koalicja wokół Tuska – PiS, co da mu poczucie niezależności, ale uczyni go słabszym w zderzeniu z furią opozycji i sprzyjających jej mediów w razie, gdy jego działania nie spełnią życzeń Donalda Tuska.

Może też postawić na lojalność wobec PiS, ale wtedy rozpęta się na nowo zimna wojna z prezydentem, podobna do tej z czasów prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Spory o samolot, rywalizacja symboliczna na polu polityki zagranicznej z MSZ czy wreszcie nowe kampanie antyprezydenckiego hejtu – to może być ciężka próba dla głowy państwa, która jeszcze osobiście takich afrontów nie doświadczyła.

Z prawej strony wielokrotnie przestrzegano prezydenta, aby wrogów nie szukał blisko, a przyjaciół daleko

Taki dosyć twardy stosunek wobec opozycji byłby na pewno po prawej stronie zauważony i wzmocniłby prestiż Andrzeja Dudy wśród elektoratu prawicowego. Pytanie jednak, czy prezydent ma jakiś jasny pogląd na jedną lub drugą politykę. Wielu PiS-owców w kuluarach wyraża obawę, że linia prezydenta będzie raczej znaczone zygzakami między próbami obłaskawienia Donalda Tuska a szukaniem wsparcia ze strony największej partii prawicy. Ta gra jeszcze bardziej się skomplikuje, jeśli w PiS narastać będą tendencje rywalizacji poszczególnych frakcji o schedę po Jarosławie Kaczyńskim. Na pewno w tej grze weźmie udział młoda generacja PiS – z jednej strony Morawiecki czy takie postacie jak Michał Dworczyk lub Piotr Müller, z drugiej strony np. ziobryści.

Trudno nie odnieść wrażenia, że Marcin Mastalerk, mówiąc o prezydencie jako elemencie przetrwania prawicy, miał na myśli ośrodek prezydencki jako gracza, który może wspomóc taką czy inną frakcję w PiS stojącym przed debatą na temat wewnętrznych zmian. Trzydziesto-dziewięcioletniemu Mastalerkowi bliżej będzie w naturalny sposób do młodszej generacji działaczy PiS, a jego uraz do Jarosława Kaczyńskiego może znowu się objawić za jakiś czas.

Wszystko to będzie bardzo uważnie obserwowane przez media liberalne, które wręcz marzą o szybkiej segmentaryzacji PiS. Te intencje widoczne były w jednym z tytułów w „Gazecie Wyborczej”: „Czy PiS w ogóle dotrwa do wyborów samorządowych? Przecież w tej partii się gotuje”. Tacy publicyści jak Paweł Wroński czy Dominika Wielowieyska z pewnością w każdej chwili mogą zamienić się w zwolenników prezydenta, jeśli ten wda się w wyraźny konflikt z Jarosławem Kaczyńskim. Marzenia o wzajemnie niszczącym się PiS, który w takim stanie wkroczy w okres kampanii samorządowej, wydają się być w mediach proplatformerskich bardzo silne. Do wizji PiS-owskiej „wojny wszystkich ze wszystkimi” pasowały np. podawane przez RMF sensacje o rzekomym braku wsparcia Suwerennej Polski dla misji tworzenia nowego rządu przez Mateusza Morawieckiego.

Prezydent będzie musiał w końcu podjąć jakąś decyzję. Albo powierzy misję tworzenia rządu Morawieckiemu, co będzie gestem wobec PiS, albo od razu powierzy misję tworzenia rządu Donaldowi Tuskowi. Co wybierze?

Z prawej strony wielokrotnie przestrzegano prezydenta, aby wrogów nie szukał blisko, a przyjaciół daleko. Zdawanie się na dobre intencje dotychczasowej opozycji ze strony Pałacu Prezydenckiego byłoby objawem zaniku instynktu samozachowawczego. Prezydent rozpoczyna być może najtrudniejsze dwa lata ze swojej dotychczasowej kadencji prezydenckiej. Poza sfinksa, który robi tajemnicze miny i trzyma wszystkich w niepewności, nie może być odgrywana w nieskończoność. Na coś trzeba będzie się zdecydować, a taki wybór będzie miał swoje konsekwencje.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Podział mandatów w sejmie X kadencji jest następujący: PiS z koalicjantami – 194, Platforma Obywatelska z koalicjantami – 157, Trzecia Droga (Polska 2050 i Polskie Stronnictwo Ludowe) – 65, Lewica – 26 i wreszcie Konfederacja Wolność i Niepodległość – 18. W senacie XI kadencji pakt senacki ma 66 senatorów, Zjednoczona Prawica zaś – 34.

Dla odrzucenia wniosku głowy państwa o ponowne rozpatrzenie ustawy, czyli tzw. weta prezydenckiego, potrzeba większości trzech piątych w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów (art. 122 ust. 5 Konstytucji). W przypadku, gdyby cała izba wzięła udział w głosowaniu takiego wniosku, wymagana większość wynosiłaby 276 głosów. Jeszcze więcej głosów, bo dwie trzecie w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów, wymaganych jest chociażby w sytuacji uchwalania ustawy wyrażającej zgodę na ratyfikację umowy międzynarodowej (art. 90 ust. 2), aczkolwiek jest od tego znaczący wyjątek, o czym mowa w ust. 3. Taka sama większość potrzebna jest dla uchwalenia przez Sejm zmiany konstytucji (art. 235 ust. 4), przy oczywiście dodatkowych wymaganiach. Za każdym razem oznaczałoby to poparcie nawet 306 posłów. Większość dwóch trzecich, ale ustawowej liczby Zgromadzenia Narodowego, obowiązuje także w momencie podjęcia próby wszczęcia procedury pociągnięcia do odpowiedzialności prezydenta przed Trybunałem Stanu (art. 145 ust. 2). I wreszcie większość dwóch trzecich ustawowej liczby posłów wymagana jest przy głosowaniu uchwały o samorozwiązaniu Sejmu (art. 98 ust. 3). W pierwszej sytuacji oznacza to zgodę co najmniej 374 posłów i senatorów, w drugiej zaś 306 posłów.

We wszystkich wymienionych przypadkach PiS posiada blokującą mniejszość zarówno w Sejmie, jak i w Zgromadzeniu Narodowym. Gdyby nawet Suwerenna Polska chciała zachować się inaczej, to 18 posłów i jeden senator to za mało, żeby pozbawić partię Jarosława Kaczyńskiego możliwości bycia blokującą mniejszością. Bez zgody Zjednoczonej Prawicy liberalno-lewico-

wa większość nie może podjąć żadnych istotnych decyzji w parlamencie. Stanowisko posłów Konfederacji nie miałoby znaczenia.

RZĄD

Zapewne rząd liberalno-lewicowej koalicji PO-Trzecia Droga-Lewica – czy to w trybie ust. 1, czy ust. 2 art. 154 Konstytucji – zostanie wkrótce powołany. Istnienie blokującej mniejszości nie miałyby znaczenia dla powstania gabinetu, bo wystarczy do tego bez-

-lewicowa większość jest zdolna utworzyć rząd, ale może mieć duże trudności w rządzeniu państwem. Nie wszystko bowiem da się załatwić na mocy rozporządzeń – w najważniejszych sprawach konieczne byłoby uchwalenie nowych ustaw lub nowelizacja istniejących. A to może być trudne ze względu na możliwe weto prezydenckie wobec podejmowanych przez nową większość sejmową ustaw. Tu akurat mniejszość blokująca odegrałaby swoją rolę, nie dopuszczając do ponownego uchwalenia kwestiono-

Wielka mniejszość blokująca



Lech Mażewski

Zjednoczona Prawica z PiS na czele będzie w Sejmie mniejszością blokującą. Czy czeka nas pat ustrojowy, a może powrót do kohabitacji w ramach władzy wykonawczej, z czym kilkakrotnie mieliśmy już do czynienia po 1989 r.? Czy konieczna byłaby nowelizacja konstytucji z 1997 r. w kierunku zniesienia dwugłowego charakteru władzy wykonawczej?

względna większość głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów. Ta sama większość obowiązuje, zarówno gdy rząd jest powołany przez prezydenta, jak i przez Sejm. Dopiero na mocy art. 155 ust. 1 powołanie tego ciała następuje względną większością głosów przy obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów. W efekcie tym bardziej nie mogłby tu wystąpić efekt blokującej mniejszości.

Możemy zatem mieć do czynienia z sytuacją, że, co prawda, liberalno-

wanej ustawy. W efekcie liberalno-lewicowy gabinet nie tyle by rządził, ile administrował schedą odziedziczoną po poprzednikach z PiS.

PAT USTROJOWY CZY KOHABITACJA?

Trudności w rządzeniu państwem to niejedyne przypadki, w których blokująca mniejszość może odegrać istotną rolę ustrojowo-polityczną (o innych już wspominałem). Wszystko to prowadziłoby do powstania pata ustrojowego

■ albo konieczności wykształcenia się kohabitacji między większością liberalno-lewicową a prezydentem Andrzejem Dudą i Zjednoczoną Prawicą. Czy obawa przed patem ustrojowym, skutkującym postępującą anarchizacją funkcjonowania państwa, może doprowadzić do wykształcenia się współzycia czy zamieszkiwania we wspólnym domu w ramach duopolu PiS-PO z mniejszymi koalicjantami i udziałem głowy państwa?

Kohabitacja śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego i rządu PO-PSL na czele z Donaldem Tuskiem jest bardzo niechętającym casusem, ponieważ był to czas obfitujący w liczne spory między tymi ośrodkami władzy wykonawczej. Słabe notowania sondażowe głowy państwa u progu wyborów prezydenckich w 2010 r. mogły sprawić, że po możliwym braku reelekcji Lecha Kaczyńskiego zniknęłaby konieczność kohabitacji i nastąpiłby kres konfliktów z tym związanych. Ostatecznie wygrana Bronisława Komorowskiego z Jarosławem Kaczyńskim w wyścigu o fotel prezydencki położyła kres tej bardzo nieudanej współpracy.

Historia kohabitacji z lat 2007–2010 wskazywałaby na wielkie trudności odnośnie do wykształcenia się niekonfliktowego modelu współzycia w ramach duopolu PiS-PO. Ale w innych przypadkach nie wyglądało to aż tak źle. W latach 1993–1995, czyli jeszcze na gruncie ustawy konstytucyjnej z 1992 r., rząd Sojuszu Lewicy Demokratycznej-PSL cierpliwie czekał, aby w zbliżających się wyborach prezydenckich nie doszło do reelekcji Lecha Wałęsy na stanowisku prezydenta, i tak się stało w 1995 r. Nie oznacza to, że prezydentura Aleksandra Kwaśniewskiego w latach 1995–2005 była wolna od kohabitacji. Przeciwnie w latach 1997–2001 musiał on współżyć z rządem wyłonionym głównie przez Akcję Wyborczą Solidarność, a jednak nie wyglądało to tak konfliktowo, jak między prezydentem Kaczyńskim a rządem Tuska.

Dziś kohabitacja odnosiliby się w dużym stopniu do tych samych polityków, którzy brali w niej udział w latach 2007–2010, co może mieć swoje znaczenie. Do prezydenta Dudy, pochodzącego z bliskiego otoczenia zmarłej pod Smoleńskiem głowy państwa, i koalicji liberalno-lewicowej z Tuskiem zapewne w roli nowego premiera doszedł jeszcze



Jarosław Kaczyński wraz z politykami Zjednoczonej Prawicy mają teraz mniejszość, która może blokować decyzje rządu FOT. FOTOKIBIT/EAST NEWS

Jarosław Kaczyński, dysponujący blokującą mniejszością. Nadzieja na wytworzenie się nowego modelu kohabitacji między nimi jest mała, stąd przynajmniej przez jakiś czas może nas czekać pat ustrojowy z nasilającymi się trudnościami w funkcjonowaniu państwa. W związku z tym, że różnice reprezentowanych interesów i stopień niechęci między członkami duopolu PiS-PO z koalicjantami i głową państwa są jeszcze większe niż poprzednio, anarchia ustrojowa może przybrać jeszcze poważniejsze rozmiary. Czy istnieją jakieś możliwości uniknięcia tego złowrogiemu scenariuszowi?

WYBORY PREZYDENCKIE

Pierwszy scenariusz uniknięcia pata ustrojowego polegałby na tym, że koalicja liberalno-lewicowa czekałaby na zwycięstwo w wyborach prezydenckich w 2025 r. Tak się stało nie tylko w 2010 r., lecz także w 1995 r., kiedy

Wałęsę zastąpił Kwaśniewski. Może tak być po kolejnej elekcji prezydenckiej w 2025 r. Zwycięstwo kandydata obozu liberalno-lewicowego niewątpliwie uczyniłoby proces bieżącego rządzenia państwem mniej konfliktowym, ale w sytuacjach, gdy konstytucja wymaga większości kwalifikowanej dwóch trzecich dla podjęcia wielu decyzji polityczno-ustrojowej, mniejszość blokująca zachowywałaby swoje znaczenie.

Zbliżające się wybory prezydenckie nie muszą się jednak zakończyć zwycięstwem obozu liberalno-lewicowego, chociaż Tusk czy Rafał Trzaskowski to mocne kandydatury. Następcą Dudy może jednak zostać ktoś ze środowiska PiS, a wtedy nawet efektu udroźnienia bieżącego rządzenia państwem nie będzie. Co więcej, zwycięstwo kandydata obozu Jarosława Kaczyńskiego podważyłoby w gruncie rzeczy legitymację do rządzenia państwem gabinetu liberalno-



wyborach parlamentarnych swoje zwycięstwo w wyborach prezydenckich. Gdyby zakończyło się sukcesem, to nowa hierarchia w łonie władzy publicznej wyglądałaby następująco: prezydent-premier wraz rządem-większością sejmową, kontrolującą pracę całego parlamentu. Nie wiadomo jedynie, co byłoby z Trybunałem Konstytucyjnym. Jeśli jednak następca Dudy nie osiągnąłby powodzenia, bo wyborcy tym razem odmówiliby mu poparcia, to chaos w funkcjonowaniu państwa jedynie by się pogłębił.

CZY KONIECZNA JEST ZMIANA MODELU WŁADZY WYKONAWCZEJ?

Pojawienie się po wyborach parlamentarnych z 15 września 2023 r. mniejszości blokującej w rękach Jarosława Kaczyńskiego, wspierającego dzięki temu działania prezydenta wobec liberalno-lewicowego gabinetu, próbującego uporać się ze spadkiem po rządach PiS, prowadziłoby do pogłębiającego się pata ustrojowego, co w praktyce uniemożliwiałoby wykształcenie się jakiegokolwiek kohabitacji. Mogłoby się też tak zdarzyć, że ani nowe wybory prezydenckie, ani przedterminowe wybory parlamentarne nie byłyby dostatecznym remedium, żeby usunąć zagrożenia związane z ustrojowym patem.

W takiej sytuacji czekałaby nas konieczność nowelizacji konstytucji, idąca w kierunku likwidacji dwugłowego charakteru władzy wykonawczej i przeniesienia prawa do rządzenia państwem na osobę premiera wraz z rządem. W ustroju premierowskim prezydent mógłby nadal pochodzić z wyborów powszechnych, ale wyeliminowany zostałby jego wpływ na bieżące rządzenie państwem. Ewentualna kohabitacja nie miałaby już większego znaczenia ustrojowego, także w dużym stopniu można by wyeliminować możliwości związane z istnieniem mniejszości blokującej, skoro do odrzucenia weta prezydenckiego wystarczałaby większość jednej drugiej w obecności co najmniej ustawowej liczby posłów.

Władza wykonawcza w Polsce należałaby od tego momentu do tego, kto zwyciężył w wyborach do Sejmu, a sukces w wyborach prezydenckich miałby dużo mniejsze znaczenie niż dziś.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, ustrojoznawcą.

-lewicowego, bo świadczyłoby o zmianie stanowiska większości wyborców. To z kolei mogłoby jedynie nasilić konflikty w trójkącie: nowy prezydent-liberalno-lewicowy rząd-opozycja dysponująca mniejszością blokującą.

Okazuje się zatem, że zbliżające się wybory prezydenckie nie muszą być remedium na usunięcie pata ustrojowego, a ponowne ustanowienie niechcianej kohabitacji może nawet pogłębić istniejące problemy. Co w takiej sytuacji należałoby zrobić? Jakie istniałyby inne prawnokonstytucyjne możliwości działania?

PRZEDTERMINOWE WYBORY PARLAMENTARNE

Kolejne rozwiązanie polegałoby na odwołaniu się do przedterminowych wyborów parlamentarnych. Na gruncie konstytucji nie byłoby to jednak takie proste, gdyż prezydent może skrócić kadencję Sejmu (i wraz z nim Senatu)

jedynie w dwóch przypadkach. Obligatoryjnie dochodzi do tego, gdy po wyczerpaniu możliwości z art. 155 nadal nie powstał rząd. Natomiast z art. 225 wynika fakultatywna tego rodzaju możliwość, kiedy w ciągu czterech miesięcy od dnia przedłożenia Sejmowi projektu ustawy budżetowej nie zostanie ona przedstawiona głowie państwa do podpisu. Osobną sprawą byłoby samorozwiązanie Sejmu (i wraz z nim Senatu), ale do tego trzeba rezygnacji przez PiS z korzystania z możliwości, jakie daje posiadanie blokującej mniejszości.

Zapewne nie dojdzie do przedterminowych wyborów parlamentarnych, zanim nie odbędą się wybory prezydenckie w 2025 r. Jednak wraz z następcą Dudy sytuacja może się zmienić. Zarówno przedstawiciel koalicji liberalno-lewicowej, jak i obozu Jarosława Kaczyńskiego mogą dążyć do skrócenia kadencji Sejmu, żeby zdyskontować w przedterminowych



Z Marcinem Palade,
socjologiem polityki
rozmawia Ryszard Gromadzki

Sztabowcy z Nowogrodzkiej okazali się hazardzistami

RYSZARD GROMADZKI: Prawo i Sprawiedliwość po pyrrusowym zwycięstwie w ostatnich wyborach, którego skutkiem prawdopodobnie będzie przejęcie władzy przez opozycję, ewidentnie nie może się pozbierać. Wydaje się, że formacja Jarosława Kaczyńskiego miała tylko jeden scenariusz na wybory: zwycięstwo. Planu B nie było.

MARCIN PALADE: Liderzy PiS, a przede wszystkim sztabowcy z Nowogrodzkiej, okazali się hazardzistami. Dokonali złej diagnozy społecznej na starcie kampanii, która sprowadzała się do gry na silną polaryzację, mającej skutkować osłabieniem bytów innych niż PiS i KO, w tym eliminacją z aktywności w wyborach elektoratu środka czy tzw. normalsów. A w praktyce niemal wyłącznie do kampanii straszącej powrotem Donalda Tuska, równie topornej co przekaz mediów publicznych w ostatnich latach. Wariantem bazowym na Nowogrodzkiej była, do samego końca, walka o samodzielną większość poprzez sprowadzenie Trzeciej Drogi pod próg i osłabienie Konfederacji. Kolejne upływające tygodnie kampanii nie przynosiły tej wymarzonej czwórki z przodu dla PiS, która okazała się wyłącznie wytworem marketingowców tej formacji, przy użyciu narzędzia zwanego sondażami wewnętrznymi – podobnie jak inne zakłęcie rzeczonych o znikomym poparciu dla Trzeciej Drogi.

Jak na widoczny brak efektów zareagowała Nowogrodzka, pozostająca bez planu B? Z żelazną konsekwencją dodawała gaz: „Tusk, Tusk”, wyłącznie utwardzając utwardzonych. Weszła w buty PO w 2015 r., formacji wypalonej po ośmiu latach sprawowania władzy, której oferta dla suwerena sprowadzała się do straszenia Kaczyńskim. Końcówka kampanii zamiast polaryzacji przyniosła depolaryzację. Do gry weszli nowi wyborcy, młodzi i w średnim wieku, głównie mieszkańcy średnich i dużych miast, którzy w większości wsparli ugrupowania centrolewicowej opozycji. W górę poszybowała Trzecia Droga, korzystająca z „pożyczonych głosów” części wyborców KO oraz przepływów z Konfederacji tych, którzy chcieli postawić na „trzeciego”. W tym ostatnim pomógł atak PiS tuż przed ciszą wyborczą via TVP na Konfederację tzw. taśmami Banasia – kolejny genialny ruch kampanijnych speców. W efekcie bardzo dobry wynik Trzeciej Drogi przełożył się na znaczącą

reprezentację sejmową, która mimo słabszego niż zakładany wyniku Lewicy dała wyraźną większość dla centrolewicy. Zamykając temat politycznego hazardu – rozmawiamy trzy tygodnie po wyborach, a ja, śledząc wypowiedzi polityków PiS, odnoszę wrażenie, że dalej siedzą przy stoliku z ruletką, wpatrując się w punkt, gdzie na potęgę obstawiali czarne. To, które przegrało. Im szybciej opuszczą kasyno, tym lepiej dla prawicy w obliczu trójskoju wyborczego, który w latach 2024–2025 przed nami.

I co teraz? Kto wypije piwo, które nawarzyło się po niepomysłnych dla PiS wyborach? Prezes Kaczyński? Szef gabinetu prezydenta Dudy, Marcin Mastalerk, powiedział wprost, że to Kaczyński ponosi pełną odpowiedzialność za wyborcze niepowodzenie.

Jest rzeczą naturalną, że w PiS, z absolutnie dominującą pozycją jej lidera, proces decyzyjny nie ma charakteru kolegialnego. Dopóki przynosiło to efekty pozytywne w postaci kolejnych wygranych wyborów od 2015 r., dopóty nie było kwestionowane. Nie spodziewam

Czy Jarosław Kaczyński uświadomił sobie, że zgodził się dać wolną rękę w kampanii politycznym hazardzistom, a tak w praktyce dwóm politykom Zjednoczonej Prawicy niebędącym członkami PiS, którzy de facto kierowali sztabem w przegranej kampanii?

się jednak, żeby w nowej, mniej kolorowej dla PiS rzeczywistości poza opinią Mastalerka z szerokiego obozu „dobrej zmiany” popłynęły krytyczne uwagi pod adresem Jarosława Kaczyńskiego. Wszyscy mają bowiem świadomość, że bez aktywności obecnego szefa PiS nie będzie tej formacji.

A skoro wszystko wisi na liderze, to warto zapytać: Czy Jarosław Kaczyński uświadomił sobie, że zgodził się dać wolną rękę w kampanii wspomnianym przeze mnie wcześniej politycznym hazardzistom, a tak w praktyce dwóm politykom Zjednoczonej Prawicy niebędącym członkami PiS, którzy de facto kierowali sztabem w przegranej kampanii? Czy uświadomił sobie, że otaczający

go dwór wyrządził mu i jego formacji olbrzymie szkody poprzez skuteczne odcinanie lidera od rzeczywistości i wypychanie do bańki informacyjnej? Tej, gdzie, jak się okazało, słabo czuć puls Polski i Polaków? Czy uświadomił sobie, że przez długie lata stał na czele formacji „tłustych kotów”, która im dłużej pozostawała przy władzy, konsumując jej owoce, tym bardziej się degenerowała wewnętrznie? A wszelkie próby uzdrowienia przez ciągłą zmianę struktury organizacyjnej były mieszanym w kotle zupą, której przydatność do spożycia już dawno minęła? Czy uświadomił sobie fatalnie obrany kierunek w postaci wsparcia dla zaplecza medialnego w dużej mierze składającego się z patriobiz-

REKLAMA

SPRAW IDEALNE PREZENTY

**KUPON RABATOWY
DLA CZYTELNIKÓW DORZECZY**

-10%

**NA HASŁO:
DORZECZY**

KSIĘGARNIA WWW.XLM.PL

■ nesmenów, którzy im większy dostali przelew ze spółek Skarbu Państwa, tym bardziej malowali trawę na zielono?

Czy uświadomił sobie, że dokonujące się zmiany społeczne w ostatnich latach w wymiarze ekonomicznym (gwałtownie rosnący elektorat aspiracyjny) i nazwijmy to duchowym (seularyzacja) wymuszają korektę profilu partii, nowego otwarcia programowego, zwiększenia efektywności struktur? Czy uświadomił sobie, że PiS/ZP przeszło ewolucję od 2015 r., kiedy było koalicją szerokiej, spluralizowanej centroprawicy, do sytuacji w zakończonej kampanii, gdzie można było odnieść wrażenie, że dominującym podmiotem w ramach ZP, narzucającym ton kampanii, była najbardziej radykalna Suwerenna Polska? No i to, co najważniejsze: Czy uświadomił sobie, że prawdopodobieństwo powtórki z lat 2015–2023, czyli samodzielnych rządów, jest znikome? A co za tym idzie, że czas zacząć szanować na scenie politycznej inne podmioty, bo tylko wtedy jest szansa, by zbudować w przyszłości inną niż tworząca się centrolewicowa większość?

Czy to jest moment, w którym Jarosław Kaczyński może oddać stery partii innemu politykowi? Jego kadencja w roli szefa partii kończy się w 2025 r., ale być może w partii pojawi się ciśnienie na zmianę przywództwa. Z drugiej strony wiadomo, że Kaczyński jest w istocie jedynym zwornikiem PiS. Można sobie wyobrazić, że bez niego targana walkami frakcji partia szybko się rozpadnie.

O tym, w którym kierunku pójdzie PiS/ZP, zdecydują najbliższe tygodnie. Na stole mamy dwa scenariusze. Konserwatywny – czyli nic nie zmieniamy. Wracamy do 2007 r., chowamy się do bunkra z napisem „jedyni patrioci” i czekamy, aż nowa większość się zużyje. Po drodze tracimy wyborców, bo część odejdzie z przyczyn biologicznych, część uzna, że brak zmian to droga do kolejnych przegranych wyborów, a wokół PiS, wśród formacji będących na prawo od centrum, też jest życie. Ale to nic, bo i tak będziemy moralnymi zwycięzcami.

Drugi scenariusz określiłbym terminem *aggiornamento* – nie obrażamy się na rzeczywistość (suwerena), wynik z 15 października to przede wszystkim nasza wina. Czas wyciągnąć wnioski, wyciąć to, co niezdrowe – a jest tego sporo – odświeżyć

formację i przygotować się na trudne wybory samorządowe, by nie zostać zredukowanym do Podkarpacia. I obronić wygraną do Parlamentu Europejskiego z 2019 r. oraz powalczyć w wyborach prezydenckich w 2025 r. Bo inaczej scenariusz na drugą połowę dekady dla prawicy rysuje się w czarnych barwach

Postawił pan diagnozę, że warunkiem koniecznym do przetrwania PiS jest głęboki restart, zerwanie z formułą „partii instytucjonalno-rewolucyjnej”, niczym formacji, która od dziesięcioleci określa porządek na scenie politycznej Meksyku. Czy PiS jest jeszcze zdolny do takiej samorefleksji? Uruchomienia procesów samooczyszczania i odnowy oraz stworzenia nowego wizerunku, atrakcyjnego szczególnie dla młodych Polaków?

Już pierwsze dni po wyborach wskazują, że otoczenie Jarosława Kaczyńskiego nie jest zainteresowane głębszymi zmianami. Nie ma zresztą co się dziwić –

PiS przespał ostatnie lata w ciepłku medialnej kurszczyzny, gubiąc duże grupy społeczne i zawodowe. Oddał młodych, kobiety i przedsiębiorców

to w dużej mierze uczestnicy Zamkniętego Funduszu Emerytalnego, zainteresowani co najwyżej poprawieniem swojego wskaźnika w ZUS, by godnie spędzić „jesień życia”. PiS przespał ostatnie lata w ciepłku medialnej kurszczyzny, gubiąc duże grupy społeczne i zawodowe. Oddał młodych, kobiety i przedsiębiorców. Chciał wygrać robotnikami, rolnikami i emerytami. Bez oferty dla szybko bogacącego się społeczeństwa. Bez pozytywnego przekazu obok tego dla twardych wyborców, że PiS chce pozostać gwarantem gonięcia zachodniej Europy w wymiarze materialnym, z zachowaniem umiaru co do kopiowania rozwiązań na osi wartości. Ten segment – średnie i duże miasta, osoby zaradne życiowo, poniżej 50. roku życia, a więc na dorobku, z aspiracjami – wobec parcia rządzących na instytucjonalną rewolucję, radykalny przekaz, po ośmiu latach

powiedział: „Zmiana”. To on będzie miał dalej rozstrzygający głos co do dalszego kierunku zmian w Polsce. Także w klubowych wyborach w 2025 r. I już teraz, budując na te wybory strategię, trzeba zacząć myśleć, funkcjonując w świecie realnym. Im szybciej, tym lepiej.

Czy nieoczywisty, młody kandydat o centrowym profilu – w tym kontekście wymienią się nazwiska Kacpra Płażyńskiego czy Tobiasza Bocheńskiego – zdoła zbudować rozpoznawalność, która pozwoliłaby na skuteczne konkurowanie z Rafałem Trzaskowskim? Bo to on wydaje się najbardziej prawdopodobnym kandydatem strony lewicowo-liberalnej w przyszłych wyborach prezydenckich.

Nie możemy przenosić wprost sytuacji z 2020 r. na przyszłe wybory. Proszę pamiętać, że duże ambicje prezydenckie ma także Szymon Hołownia, co powoduje, że po tamtej stronie może dojść do bardzo ostrej rozgrywki o to, kto będzie głównym kandydatem obozu anti-PiS. Co do ograniczonej rozpoznawalności wspomnianych przez pana młodych polityków PiS, to możemy odwoływać się do 2015 r. Andrzej Duda też nie był wtedy rozpoznawalnym politykiem. Jarosław Kaczyński dokonał dobrego – nieszlachetnego, jak się okazało – wyboru. Wyboru zwycięzcy elekcji, która uruchomiła proces przejścia odpowiedzialności za Polskę przez PiS. Nie twierdzą, że sytuacja z 2015 r. da się przenieść jeden do jednego w 2025 r. Jednak z perspektywy werdyktu suwerena 15 października, zachodzących zmian, które za nami i przed nami, z jeszcze większym ucentrowaniem polskich wyborców, lepiej mieć w talii kandydata młodsze i uysytuowanego na centroprawicy. To Jarosław Kaczyński, z dala od dotychczasowego zaplecza, musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy w wyborach prezydenckich chce zagrać wyłącznie o to, by się podliczyć w twardym elektoracie, czy pokusić się o batalię, której ewentualna wygrana zwiększałaby prawdopodobieństwo wywrócenia stolika ustawionego w wyniku wyborów z 15 października. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Palade – socjolog polityki, autor opracowań i analiz z zakresu preferencji społeczno-politycznych i geografii wyborczej w Polsce.



Lukasz Warzecha

Miała być partią rozgrywającą w tym Sejmie, a została z niczym. O przyszłości Konfederacji zadecydują wybory do Parlamentu Europejskiego

Miała być inaczej. Konfederacja miała być w X kadencji Sejmu rozgrywającą, bez którego nie mogłoby powstać żaden rząd, a być może nie mogłaby zostać uchwalona żadna ustawa. Miała mieć możliwość kontrolowania odrzucania prezydenckiego weta. Te oczekiwania i plany opierały się na założeniu, które wydawało się całkowicie realne, że formacja Krzysztofa Bosaka, Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna będzie mieć w nowym Sejmie klub przynajmniej trzydziestokilkuosobowy, a bardzo możliwe, że nawet blisko 50-osobowy.

Skończyło się na 18 posłach i ostrych wewnętrznych sporach, które zwykle wybuchają, gdy dane ugrupowanie nie realizuje planu wyborczego i wpada w kłopoty. Przy czym w przypadku Konfederacji jest to wyjątkowo bolesne. Lewica co prawda również planu nie zrealizowała, ale wszystko wskazuje na to, że dostanie udział w rządach, choć zapewne mniejszy niż oczekiwany. Tymczasem rola Konfederacji w tej kadencji w praktyce się nie zmieni, a to może sprzyjać frustracji i działaczom, i zwolennikom.

Owszem, ugrupowanie na tyle powiększyło swoją reprezentację, że zamiast koła będzie mieć klub, do utworzenia którego potrzeba minimum 15 osób. Inna sprawa, że nad klubem wisieć będzie groźba wystąpienia z niego czteroosobowej grupy Grzegorza Brauna, a więc powrotu do statusu koła poselskiego. Posiadanie klubu daje w Sejmie pewne korzyści organizacyjne (choćby dostęp do pomieszczeń), ale przede wszystkim powinno dać stanowisko wicemarszałka. Kto z Konfederacji miałby nim być – na razie nie wiadomo. Tyle że wicemarszałek nie decyduje o tym, które projekty trafiają pod obrady – to rola marszałka. Marząc o dużej oraz kluczo-

wej reprezentacji sejmowej, Konfederacja sądziła, że i o to stanowisko będzie mogła powalczyć. Na marzeniach się skończyło.

KONIEC DŁUGIEJ DROGI?

Ugrupowania polityczne mają swoje typowe etapy życia, trochę tak jak gwiazdy w astrofizyce. Wiele z nich okazuje się efemerydami, które można porównać do supernowych: po jasnym wybuchu następuje szybkie wygaszenie, a później często śmierć. Typowym przykładem jest Kukiz '15, któremu w ciągu dwóch kadencji udało się roztrwonić całe zaufanie, potencjał, autorytet, a lider przedsięwzięcia zmienił się w mało znaczącego posła PiS. Tym razem wszedł do Sejmu, uzyskując 43 tys. głosów. W okręgu nr 41 (opolskie)

Konfederacja, jak się zdaje, szła inną ścieżką rozwoju. Wprowadzenie do Sejmu w 2019 r. 11 posłów nie było spektakularnym wybuchem, jak w przypadku Kukiza cztery lata wcześniej. W czasie całej kadencji nastąpiła wprawdzie secesja z ugrupowania – koło opuścili trzej posłowie: Dobromir Sośnierz, Jakub Kulesza i Artur Dziambor – ale nikt nie przeszedł do Zjednoczonej Prawicy. Poza tym do koła Konfederacji dołączyli później Stanisław Tyszkowski i Anna Maria Siarkowska. Sośnierz ostatecznie do Konfederacji powrócił, Kulesza zrezygnował z polityki, choć zapowiedział pracę nad rozwojem nowego ugrupowania – Wolnościowców (wątpliwe, żeby miało to jakiegokolwiek dalszy ciąg), Dziambor zaś bezskutecznie kandydował na list Trzeciej Drogi.

Konfederacja – bezsilny recenzent

wyprzedził go jedynie (raptem o kilka tysięcy głosów) Tomasz Siemoniak z Koalicji Obywatelskiej. W 2015 r. Kukiz najpierw uzyskał ponad 3 mln głosów w pierwszej turze wyborów prezydenckich, a później w okręgu warszawskim w wyborach do Sejmu zdobył ponad 76 tys. głosów i wprowadził 42 osoby. W ciągu ośmiu lat z jego klubu pozostały żałosne szczątki, a wielu jego ówczesnych polityków dzisiaj jest pieczeniarkami partii, która właśnie utraciła władzę, i nawet nie dostało się do nowego Sejmu, startując z dalekich miejsc.

W czasie dużej konwencji Konfederacji kilka tygodni przed wyborami Sławomir Mentzen znaczną część swojego wystąpienia poświęcił historii innych ugrupowań, pokazując, jak powoli zyskiwały siłę, i wskazując, że taka sama długa droga przed Konfederacją. Lecz jednocześnie rozkręcone były opisyane na początku oczekiwania. I nie chodziło tu nawet o samą liczbę posłów – bardziej o sprawczość, która powinna być następnym, naturalnym etapem w historii Konfederacji. Tej sprawczości jednak nie będzie. Konfederację czeka kolejna

■ kadencja w roli bezsilnego recenzenta. I to może mieć destrukcyjny wpływ na jej rozwój i poparcie.

Być może największym błędem Konfederacji była sprzeczność zawarta w jej kampanijnym przekazie. Z jednej strony jednym z najczęściej brzmiących haseł było: „Przewrócimy stolik”, czyli „wysadzimy w powietrze grę prowadzoną od dawna przez najważniejsze siły polskiej polityki”. Z drugiej – obsesyjnie powtarzano, że Konfederacja nie wejdzie w żadną koalicję czy nawet nie podejmie współpracy z żadną ze stron. Przewrócenie stolika miałyby się zatem opierać na sabotowaniu działań większości, kto by ją tworzył. Teraz jednak się okazuje, że Konfederacja jest na to zwyczajnie za słaba.

BEZ KLUCZOWYCH POSTULATÓW

Pytanie, którego chyba liderzy partii do dzisiaj sobie nie zadali, brzmi: Czy naprawdę elektorat, który dawał Konfederacji w pewnym momencie blisko 15 proc. poparcia, oczekiwał jakiegoś „wywracania stolika” i zapewnień, że nigdy z nikim niczego się w nowym Sejmie nie zrobi, czy może raczej wolałby usłyszeć zapowiedź współpracy z każdym, kto zobowiąże się spełnić, powiedzmy, trzy szandarowe postulaty? Liderzy Konfederacji uparcie powtarzali zapowiedź niewchodzenia w żaden sojusz, bo uznali, że muszą tak reagować na próby przedstawiania ich przez jedną i drugą stronę jako potencjalnych sojuszników tych drugich. To był błąd: powinni byli raczej potwierdzać, że nawiążą współpracę – ale jedynie w zamian za realizację kilku fundamentalnych konkretów.

Inna sprawa, że Konfederacja takich kluczowych postulatów nie była w stanie w czytelny sposób przedstawić. Owszem, była pierwszym ugrupowaniem, które pokazało swój program. Było to w tamtym momencie – w czerwcu – jakimś walorem, ale okazało się, że nie ma już pomysłu na dalszy ciąg kampanii, która stała się wtórna i monotonna. Program o niektórych ważnych kwestiach – np. o tym, jak realnie działać w sprawie wyniszczających dla Polski unijnych polityk – w ogóle nie mówił. W innych zaś dziedzinach przedstawiał rozwiązania bardzo ogólne i łatwe do zmanipulowania w przekazie niechętnych mediów, jak było z bonem zdrowotnym.

Tu dotykamy istoty problemu Konfederacji, który trwać będzie również w X kadencji Sejmu. Ugrupowaniu nie udało się dobrze połączyć i utrzymać poparcia dwóch segmentów swoich wyborców: tych trwających od dawna, bardziej ortodoksyjnych, oraz tych nowych, szukających cywilizowanego i nowoczesnego ugrupowania przede wszystkim liberalnego gospodarczo. Na ten podział nakładał się jeszcze kolejny: na zwolenników narodowców z ich mocnym akcentem konserwatywnym (w tym fundamentalnym sprzeciwem wobec aborcji), zwolenników Nowej Nadziei z jej silnym przekazem gospodarczego liberalizmu oraz na zwolenników Grzegorza Brauna ze specyficzną mieszkanką przekazu wolnościowego i antysystemowego. Połączenie wszystkich tych grup i granie na tyłu fortepianach było może do zrobienia, ale przekroczyło umiejętności liderów Konfederacji.

Napięcie między poszczególnymi grupami widać było szczególnie wyraźnie w mediach społecznościowych, gdzie Konfederacja miała najsilniejszy przekaz. Po jednej stronie byli „ortodoksi”, wpatrzeni w Janusza Korwin-Mikkego jak w obrazek oraz domagający się, żeby więcej było w kampanii o „jedzeniu psów” (by nawiązać do jednego z najniebezpieczniejszych przekazów Konfederacji); po drugiej ci, którzy oczekiwali od partii konkretnych obietnic i realnej polityki zamiast ekscentryzmu spod znaku „Krula” (jak nazywany jest Korwin-Mikke). Ta pierwsza postawa to klasyczny korwinizm, czyli przekonanie, że celem nie powinno być zwiększanie poparcia dla ugrupowania i ostatecznie uczestniczenie we władzy, ale przyciągnięcie wyłącznie tych, którzy doznali „oświecenia” i rozumieli geniusz myśli wodza, niepojęty dla innych, choćby miało ich być zaledwie 1 proc. wśród wyborców. Wyborcy centrum skonfrontowani z taką postawą – uciekają. Przedsiębiorcy, którzy rozważali głosowanie na Konfederację, ale ostatecznie z tego zrezygnowali i przenieśli głosy w większości zapewne na Trzecią Droge, nie chcieli ugrupowania, które ma słuszość w oderwanej od realiów teorii, ale takiego, które da im coś konkretnego. Może duet Szymona Hołowni z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem nie jest tak radykalnie prorokowy jak Sławomir Mentzen, ale w przeciwieństwie do Kon-



federacji miał dużą szansę współkształtować politykę kolejnego rządu, podczas gdy Mentzen otwarcie zapowiadał, że nie ma takiego zamiaru.

DESTRUKCYJNY KORWIN

Można uznać, że obaj główni liderzy Konfederacji zgrzeszyli niezdecydowaniem. Chcieli, żeby Konfederacja była widziana jako partia poważna, jednocześnie antysystemowa i wkraczająca do głównego nurtu polityki, ale zabrakło im determinacji, a może po prostu odwagi, żeby odpowiednio wcześniej przed wyborami pozbyć się człowieka, który to w największym stopniu utrudniał: Janusza Korwin-Mikkego. Oświadczenie, które opublikował Sławomir Mentzen po burzliwych obradach Rady Liderów, na której Korwin-Mikke został pozbawiony prawa do kandydowania w kolejnych wyborach, to musztarda po obiedzie. Ta decyzja powinna być zostać podjęta kilka miesięcy przed tymi wyborami. Konfederaci powinni byli pożegnać założyciela UPR z wszelkimi honorami, ale stanowczo i jednoznacznie, tak aby jego wysoki szły w czasie decydującej fazy kampanii już wyłącznie na jego konto.

Tydzień po elekcji rozmawiałem z jednym z kandydatów Konfederacji, niedoszłym posłem. „Nie docenia pan roli



Od Konfederacji mogła odpłynąć część wyborców, która oczekiwała propozycji zmian, a nie tylko hasła o „wywracaniu stolika” FOT. ŁUKASZ GAĞULSKI/PAP

Korwin-Mikkego” – usłyszałem od niego. – „Po jego wystąpieniach o kobietach oraz o pedofilii ludzie na ulicy przestali brać od nas ulotki, a ci, z którymi byliśmy umówieni na powieszenie na ich posesjach bannerów, zaczęli się wycofywać. Korwin-Mikke działał absolutnie destrukcyjnie”. Potwierdzają to inni moi rozmówcy z Konfederacji, relacjonując prowadzoną przez siebie kampanię i reakcje publiczności.

Tyle że to można było przewidzieć. Korwin-Mikke to narcyz, który jest immamentnie niezdolny do jakiegokolwiek gry zespołowej i którego interesuje – również z racji wieku – wyłącznie ściąganie uwagi na siebie samego. Sumaryczny wynik ugrupowania kompletnie go nie interesuje. Nie trzeba było być specjalnie przenikliwym, żeby się zorientować, że jeśli sędziwy polityk dostanie nakaz powstrzymania się w kampanii od wystąpień i wypowiedzi, to nie tylko się mu nie podporządkuje, lecz także zrobi wszystko, żeby wyraźnie zaznaczyć swoją obecność najbardziej kontrowersyjnymi тезami, wpływając fatalnie na notowania całego ugrupowania. Pozostaje pytaniem bez odpowiedzi, dlaczego Sławomir Mentzen nie był w stanie podjąć stanowczych kroków wobec swojego mentora przed wyborami.

Konfederacja wkracza zatem w X kadencję mocno poobijana i z potencjalnym problemem, którym okazuje się Grzegorz Braun. Inaczej niż Korwin-Mikke lider Korony podporządkował się zaleceniu, aby nie wychylać się w czasie kampanii, a mimo to zdobył ponad 26 tys. głosów – i był to w okręgu nr 23 (Rzeszów, Tarnobrzeg i okoliczne powiaty) trzeci wynik po Zbigniewie Ziobrze i Pawle Kowalu. Braun wprowadził do Sejmu jeszcze trzy osoby ze swojego ugrupowania i walczy, aby zyskać proporcjonalny do udziału w klubie wpływ w Radzie Liderów. Czy może się to skończyć odejściem jego grupy z klubu – trudno przewidzieć. W Konfederacji są tacy, którzy uważają, że byłoby to perspektywnie dobre rozwiązanie. Wskazują, że duża część „pokemonów” na listach Konfederacji – czyli ludzi o, najłagodniej mówiąc, ekscentrycznych zapatrywaniach – powiązana była właśnie z Braunem. Z drugiej strony oznaczałoby to powrót do statusu koła poselskiego, co w zestawieniu z oczekiwaniami wobec tej kadencji byłoby już naprawdę bolesnym regresem. Braun zaś w czteroosobowym kole stałby się kompletnym politycznym planktonem, robiącym politykę na modłę Janusza Korwin-Mikkego: bez perspektyw na zdobycie jakiegokolwiek realnego wpływu, tylko

dla swoich fanów. No i – co najważniejsze – straciłby dostęp do subwencji. Pragmatyzm może więc utrzymać klub razem.

BRAK KONCEPCJI

Jednak czy Konfederacja przetrwa i tę kadencję, skoro na pewno pojawiać się będą pokusy, a jej własna siła sprawcza będzie zerowa? Na razie wygląda na to, że nie ma żadnego świeżego pomysłu na to, co ze sobą począć. Po wyborach na kanałach partii w mediach społecznościowych zaczął się pojawiać przekaz identyczny do tego sprzed wyborów, czyli „obie strony są złe, tylko my wywrócimy stolik”. Tyle że sytuacja jednak się zmieniła, a powielanie przez kolejne cztery lata tego samego schematu, który zwolennicy tej partii słyszeli w ubiegłej kadencji, może się okazać nieskuteczne.

Przed Konfederacją dwie tury przyszlizorocznych wyborów: najpierw przełożone z tego roku wybory samorządowe, potem, w czerwcu, europejskie. W tych pierwszych trudno będzie partii Mentzena i Bosaka podjąć równą walkę, bo już wybory parlamentarne pokazały, jak dramatycznie krótka jest ławka Konfederacji, a w samorządowych obsadzić trzeba tysiące miejsc na listach na kilku poziomach: do sejmików, do rad powiatów, do rad gmin, a do tego wystawić kandydatów na prezydentów, burmistrzów i wójtów. Oczywiście można uderzać punktowo, ale z punktu widzenia dużej polityki kluczowe są wybory do sejmików, a tu Konfederacji trudno będzie zaznaczyć swoją obecność.

Z jej punktu widzenia bardziej obiecujące będą wybory do Parlamentu Europejskiego, bo tematyka UE to jeden z naczelnnych wątków w Konfederacji. W dodatku nadchodząca kadencja PE będzie pod wieloma względami kluczowa: to będzie czas wejścia w życie pierwszych radykalnych polityk klimatycznych, decyzji o przyszłym kształcie UE czy m.in. przeglądu rozporządzenia wycofującego od 2035 r. pojazdy spalinowe. Konfederacja nie ma zbyt wiele czasu, żeby opracować strategię i zdecydować, czy tym razem, prezentując kandydatów, postawi na efekciarstwo w stylu Korwin-Mikkego czy znajdzie i przedstawi kompetentnych, rozsądnych kandydatów, rozumiejących unijną politykę. Czerwcowe wybory mogą być zaś dla przyszłości Konfederacji decydujące.



Łukasz Zboralski

Migracja zawsze oznacza napływ ludzi, wśród których znajdują się skłonni do łamania prawa. W Polsce obcokrajowcy popełniają coraz więcej przestępstw, ale ich odsetek nie odbiega od skali tych, które popełniają rodacy. Czy kluczem jest dobór migrantów bliskich nam kulturowo?

Nielegalna migracja stwarza poważne problemy – o tym wie już cała zachodnia Europa. Nie chodzi tu tylko o problem z brakiem asymilacji czy z niechęcią do podejmowania pracy przez ludzi przesyłanych przez przemytników łódziami na kontynent, choć to też niebagatelne wyzwania w dłuższej perspektywie. Mocny obraz tych problemów zarysowała Katarzyna Tubylewicz w reportażowej książce o Szwecji pt. „Moralisci”. Warto posłuchać Szwedów, którzy po latach migracyjnej polityki mają już dość obcych, którzy nie zamierzają dostosowywać się do norm kulturowych i prawnych ich ojczyzny. Mocnym głosem mówią w książce zwłaszcza osoby, które zajmują się opieką nad migrantami.

Jednym z najpoważniejszych problemów związanych z migracją jest wzrost przestępczości. Do pewnego momentu stanowiło to nawet tabu – wystarczy wspomnieć znowę milczenia niemieckich mediów na temat molestowania kobiet podczas imprez sylwestrowych w tym kraju. Dziś jednak nikt się z tym nie kryje. Szwedzki premier Ulf Kristersson zapowiedział, że do walki z gangami na pomoc policji zostanie skierowane wojsko. Obiecał też reformę kodeksu karnego, tak by przestępcy obcokrajowcy „byli wydalani do swoich ojczyzn”. I w tej sprawie wtórzył mu nawet szwedzcy socjaldemokrata.

NIEBEZPIECZNIEJ PRZED WSZYSTKIM NA DROGACH

Choć Polska starannie dobiera migrantów – przyjęliśmy po prostu prawdziwie



Wschodnie

uciekających przed wojną Ukraińców oraz przyjmujemy migrantów, na których zapotrzebowanie mają polscy pracodawcy – to nie jesteśmy w stanie zupełnie uniknąć problemów związanych z tym, że jakaś część przybyszów nie zamierza postępować zgodnie z normami.

Wśród wszystkich takich problemów na pierwsze miejsce – według statystyki Komendy Głównej Policji, którą pierwsza ujawniła „Rzeczpospolita” – wybijają się kradzieże i jazda samochodem po alkoholu.

Zarzuty dopuszczenia się kradzieży w pierwszej połowie tego roku postawiono 1156 obcokrajowcom, a niewiele mniej usłyszało zarzuty kierowania pojazdem pod wpływem alkoholu – 1109 osób. Do tego doliczyć trzeba jeszcze obcokrajowców prowadzących samochód z tak dużą liczbą promili w organizmie, że uznano to za przestępstwo (w naszym prawie to przekroczenie 0,5 promila) – było ich 40. Z prowadzeniem po alkoholu związane są też zwykłe zarzuty za kierowanie pojazdem już po odebraniu uprawnień do kierowania. Takie zarzuty ma 152 obcokrajowców. Dodatkowo 84 osoby są podejrzane o przestępstwo spowodowania wypadku drogowego. Widać więc, że

najniebezpieczniej w związku z migrantami zrobiło się na polskich drogach.

Wśród innych przestępstw, których najczęściej dopuszczają się obcokrajowcy, należy wskazać: posiadanie narkotyków, włamania i oszustwa, udział w bójkach i stosowanie groźb karalnych.

WYŚCIGI I TAKSÓWKARZE BEZ PRAWA JAZDY

Łamanie prawa przynajmniej dla części obcokrajowców w Polsce to rozrywka. Młodzi, zamożni Ukraińcy prowadzą nawet kanał na YouTube zatytułowany „Zdarova”, na którym dokumentują samochodowe szaleństwa na polskich ulicach. W ostatnim filmie pokazali, jak ściganie się na ulicach Krakowa zakończyli, rozbijając mercedesa na słupie latarni na chodniku.

Ukraińcy nagrali też interwencję policji. Prezentowali dużą butę wobec funkcjonariuszy. Właściciel rozbitego auta mówi na nagraniu, że dostał wezwanie do sądu (nie jest jednak jasne, czy w sprawie tej kolizji). „Powiedz im, że nie przyjdiesz, bo nie masz czasu” – odpowiada na to filmujący tę scenę. Po kolizji auto nie zostaje odholowane. Mimo uszkodzeń młodzi Ukraińcy jadą nim



przestępstwa

(część trzyma rozbity zderzak) i parkują jak gdyby nigdy nic na chodniku.

Kara, którą otrzymał właściciel mercedesa, nie była dla niego dotkliwa – skoro na filmie chwalił się, że co dopiero kupił sobie to drogie auto do zabawy. „W wyniku przeprowadzonych czynności w komisariacie na sprawcę kolizji drogowej zaistniałej w dniu 14 czerwca nałożony został mandat karny gotówkowy w kwocie 3 tys. zł z art. 86 § 1 Kodeksu wykroczeń (spowodowanie zagrożenia bezpieczeństwa w ruchu drogowym poprzez niezachowanie należytej ostrożności) i 10 punktów karnych. Sprawcy kolizji nie zatrzymywano uprawnień do kierowania pojazdami” – informuje podkom. Piotr Szpiech z zespołu prasowego Komendy Miejskiej Policji w Krakowie. Przyznał też, że jeden z Ukraińców zachowywał się na tyle agresywnie, że podczas interwencji policji został skuty kajdankami.

Problem mamy nie tylko z zamożną młodzieżą z zagranicy. Mimo wielu gwałtów i napaści polski rząd nie postawił żadnej tamy osobom zatrudnianym w taksówkach na aplikacje. Po każdej akcji policji wychodzi na jaw, że przewozem osób nadal trudnią się ludzie, którzy w ogóle nie mają uprawnień do prowadzenia pojaz-

dów czy mają te dokumenty podrobione. Tylko w ubiegłym miesiącu do sieci trafiły dwa filmy z takich taksówek, na których widać kierowców zażywających narkotyki w aucie. Gdy próbowano zaostriżyć prawo w tej sprawie, rząd argumentował w Sejmie, że nie można wymagać od obcokrajowców pracujących w taksówkach zaświadczeń o niekaralności, bo... w niektórych krajach jako polityczni uchodźcy nie są w stanie ich uzyskać.

GRUZIŃSKIE SZAJKI

Najczęściej przestępstw w Polsce dopuszczają się Ukraińcy. Na 4695 cudzoziemców podejrzanych o to w pierwszym półroczu tego roku było 2288 Ukraińców, 901 Gruzinów, 277 Białorusinów, 228 obywateli Mołdawii i 80 Rosjan. Dalej są Rumuni (69), Niemcy (67), Bułgarzy (63) i Czesi (51 osób).

Byłoby jednak niesprawiedliwe oceniać przestępczość jedynie po liczbie podejrzanych każdej narodowości, wszak Ukraińców jest obecnie w Polsce – według szacunków – nawet 1,5 mln, a przedstawicieli innych nacji zdecydowanie mniej. „Rz” przeliczyła liczbę podejrzanych o przestępstwa i okazało się, że najczęściej w konflikt z prawem

wchodzą Gruzini. Na 22 tys. przebywających nad Wisłą podejrzanych o popełnienie przestępstwa jest ponad 4 proc. Z kolei wśród 88 tys. Białorusinów podejrzanych o przestępstwo jest 0,3 proc. Jeszcze mniej średnio przestępstw popełniają u nas Ukraińcy – dopuszcza się tego zaledwie 0,15 proc. wszystkich przebywających w Polsce.

Patrząc na liczby bezwzględne z pierwszej połowy tego roku, można uznać, że nad Wisłą popełniono w sumie prawie 5 tys. „importowanych” przestępstw. I że o tyle w Polsce byłoby mniej, gdybyśmy nie wpuścili żadnej z tych osób przez granicę. Trudno jednak też nie zauważyć, że – jak wynika z danych GUS – statystycznie obcokrajowcy nie popełniają częściej przestępstw niż sami Polacy. Z wcześniejszych danych wynikało bowiem, że średnio na 10 tys. mieszkańców notujemy zaledwie 110 przestępstw, czyli 1,1 proc. (owszem, w te dane wliczono przestępstwa, niezależnie od narodowości ich sprawcy).

Wydaje się zatem, że jedynie Gruzini stanowią bardzo problematyczną grupę we współczesnej migracji w Polsce. Zdaniem policjantów szajki złożone z osób tej narodowości często zajmują się napadami, rozbojami i kradzieżami. To zarówno proste kradzieże ze sklepów – w Rawiczu w tym roku obywatele Gruzji jednego dnia okradli cztery markety i zostali złapani – jak i szajki stosujące wyrafinowane metody: w Warszawie gruziński gang przebił opony wytypowanym przez siebie klientom banków, by w ten sposób odwracać ich uwagę i kraść pieniądze. Gruzini specjalizują się też w kradzieżach samochodów. W marcu na autostradzie A1 zatrzymano taką szajkę, która na MOP otwierała samochody urządzeniem blokującym sygnał pilota do kluczyków.

Jednocześnie, co warto zauważyć, polskie służby biorą tę nację pod lupę. Jak wynika z danych Straży Granicznej, Gruzini są najczęściej wydalonymi z Polski obcokrajowcami. W pierwszej połowie tego roku nakaz opuszczenia kraju wydano wobec 729 z nich. Wydalenia te dotyczą głównie sytuacji, w których Gruzini przebywają w Polsce niezgodnie z przepisami lub np. mimo wizy do pracy nie podejmują zatrudnienia.

W sieci seksualizacji

Piękna d...ia", „ale byś jęczała", „ale du...ko, tylko rypać". To komentarze pod nagraniami na stronie dla dorosłych? Nie, takie reakcje budzą zdjęcia najpopularniejszych polskich influencerów, publikowane na ogólnodostępnej platformie Instagram. Zdjęcia nieortodoksyjne, rzecz jasna. Pewnie można by spierać się o aspekt moralny upubliczniania tego typu materiałów, ale nie być nadmiernie zaniepokojonym, gdyby nie to, że te influencerki są idolkami dzieci. Do dzieci właśnie kierują swój przekaz. Reklamują produkty skierowane do najmłodszej grupy odbiorców.

SEKSWORKERKA DZIECIOM

Treściom publikowanym przez twórców internetowych zaczęto się przyglądać baczniej przy okazji wybuchu „Pandora Gate”. Naświetlono to, że obok zмовy milczenia w sprawie prawdopodobnie pedofilskich czynów znanego youtubera Stuu jego influencerskie otoczenie jest przesiąknięte perwersją, która się świetnie sprzedaje. „Kupującymi” są kilkuletnie i kilkunastoletnie dzieci. Mikołaj Tylko, czyli Konopskyy, który wraz z Sylwestrem Wardęgą zajął się aferą Pandory, zwrócił uwagę na skalę problemu w przypadku



Zuzanna Dąbrowska

Półnagie zdjęcia, obsceniczne teksty piosenek, sugestywne tytuły filmów – tym wszystkim karmią dzieci polscy influencerzy.

„Pandora Gate” nie tylko ujawniła skandaliczny proceder dotyczący najprawdopodobniej pedofilii, lecz także obnażyła skalę problemu, którym jest seksualizacja nieletnich w sieci

projektu „Team X”. Tego samego, za który odpowiedzialna jest Agencja Spotlight, w której kierownictwie w przeszłości zasiadał Stuu.

Jakie treści publikowano na kanale „Teamu X” na YouTube? – Mamy tam wyzwania typu „Kiss, merry, kill”, które szybko zmieniły się w „Fuck, merry, kill”, „Z kim dziewczyny by cimcirimcim?”, „Kto z kim chce się przespać?”, „Kto ma najlepszą d...ę?”, „Żle odpowiesz = rozbięrasz się”, „Tinder w prawdziwym życiu” czy szczucie dzieci półnagimi zdjęciami na miniaturkach. Dobrze się zaczyna jak na content dla 10-latków, co nie? – zauważyła. Tylko w swoim głośnym filmie pt. „Mroczna przeszłość polskiego YouTuba”, który dotychczas obejrzało 11 mln osób. – Mamy teledyski z tekstami takimi jak:

„Jestem Natsu, jestem bad bitch”, „wróciłem z siłki, ty masz urodzinki, wiesz, co będziemy robić cały dzień” – wskazuje Konopskyy, nawiązując do jednej z byłych gwiazd „Teamu X”, czyli Natsu (1,8 mln followersów na IG). Wciąż pozostaje ona topową influencerką i wydaje się, że jej przeszłość wielu nie przeszkadza. – Kiedy dwa lata temu skrytykowałem Natsu, kiedy okazało się, że gwiazda „Teamu X” dla dzieci była kamerkową seksworkerką, to zostałem za to skrytykowany, a cała ta sytuacja była na tyle normalizowana, że Natsu mimo takiego contentu i takiej afery, będąc twórcą dla tak młodych widzów, nie została odsunięta od projektu, a wręcz przeciwnie. Jej kariera nabrała tempa i dostała swój własny projekt – wytyka Konopskyy.

Natsu podkreśla, że od pewnego czasu nie tworzy już treści skierowanych do młodych odbiorców i „wielokrotnie informowała swoich obserwatorów o zmianie contentu”. Przekazała, że na Instagramie obserwują ją głównie osoby dorosłe, które „akceptują takie, a nie inne treści”. Na dowód zamieściła wykresy przedstawiające dane demograficzne osób śledzących jej profil. Problem jednak w tym, że oboje ograniczenie wiekowych w social mediach jest – nomen omen – dziecinne proste. – Wcześniej wyciek niepublicznych materiałów z moim udziałem kosztował mnie oraz moich najbliższych bardzo wiele przykrości i stresu. Moje zachowanie było naganne z moralnego punktu widzenia, ale nie wyrządziło nikomu krzywdy. Zostałam za nie publicznie potępiona i wyciągnęłam wnioski z tej sytuacji – deklaruje Natsu. Trudno uwierzyć w zapewnienie o wyciągnięciu wniosków – półtora miesiąca temu 24-latką opublikowała półnagie zdjęcie w wannie, a chwilę wcześniej fotkę w skąpym bikini.

DUŻE PIENIĄDZE

Mikołaj Tylko zwrócił też uwagę na inną gwiazdkę Instagrama, czyli Fagatę (1,6 mln obserwatorów). Agata wydaje się być jeszcze bardziej wyuzdana niż Natalia. Konopsky przypomniał, że w filmie typu Q&A (fani zadają pytania, gwiazda odpowiada) Fagata odpowiadała na pytania takie jak: „Kiedy ostatni raz uprawiałaś miłość?”, „Czy myślisz, że fetysz stóp to normalna sprawa?”, „Czy uprawiałaś kiedyś seks bez zabezpieczenia?”, „Udawałaś kiedyś, że ci dobrze podczas stosunku?”. Z kolei w piosence „OnlyFans” influencerka śpiewa: „OnlyFans, za mały dają hajs. Lubi tak, gdy siadam mu na twarz. Hot as fuck, na ciele tatuaż. Piłkarzyku, zabierz swój chłopcę skład”. W czasie burzy wokół „Pandora Gate” Agata na chwilę zniknęła z sieci – tylko po to, aby po kilku tygodniach chwalić się perwersyjnym strojem na Halloween. Co powinno budzić dodatkowy niepokój, Fagata to była dziewczyna Stuu, a Natsu jest aktualną partnerką Dubiela, przyjaciela Stuu, który według Tylki i Wardęgi namawiał go do spotkania z nieletnią.

Nie ma wątpliwości, że „Team X” to produkt dla dzieci. Zeszyty szkolne, opaski, gumki do włosów, kredki, piórniki, koncerty, płatki śniadaniowe i obozy dla

dzieci. Przez długi czas ta oferta cieszyła się ogromną popularnością. Ujawnienie skandalu pedofilskiego wywołało reakcję. Agencja Spotlight wydała oświadczenie, w którym czytamy: „Tak jak wielu z was, my również jesteśmy zszokowani tym, co zobaczyliśmy w ostatnich dniach. Mając świadomość czasu wymaganego do wyjaśnienia wszystkich opisanych wydarzeń, ale też mając na względzie konieczność zapewnienia przejrzystości naszych działań, zdecydowaliśmy się na usunięcie elementów powiązanych ze Stuartem Burtonem, czyli: całkowitą likwidację Teamu X, usunięcie z YouTube wszystkich związanych z tym projektem filmów i stworzenie w to miejsce nowego kanału, odejście od użytkowania znaku towarowego Team X, zaprzestanie sprzedaży produktów z logo Team X i likwidację sklepu Team X”. Korporacja odcięła się też od Fagaty. Zapo-

Tak zwany seksworking jest przedstawiany w lewicowo-liberalnych mediach jako praca nie tylko normalna, lecz także dobrze płatna

wiedziane też zostały konkretne kroki. W Spotlight powstać ma rzecznik do spraw kontaktów twórców z widzami, którego zadaniem będzie ochrona osób małoletnich w sieci. Ponadto influencerzy, z którymi agencja będzie nawiązywać współpracę, mają brać udział w warsztatach prowadzonych przez psychologa, dzięki którym zrozumieją, jak materiały w Internecie wpływają na psychikę dzieci.

A że wpływają, nikogo nie trzeba przekonywać. – W dzisiejszej konsumpcyjnej kulturze jest coś takiego, że dziecko jest targetem. Jest nabywcą, bo chce kupować różne rzeczy i ma duży wpływ na to, co kupują rodzice. Treści, które są adresowane do dzieci, opakowano tak, by je zainteresować, zszokować i wytworzyć ciekawość. Następuje przesunięcie granicy tego, co kiedyś pokazywało się dorosłym, a teraz dzieciom – zauważa w swoim materiale opublikowanym na YouTube Katarzyna Sawicka, psychotraumatolog i pedagog. – Słuchając piosenek członków „Teamu X”, ja jako osoba

dorośla miałam absolutny problem z tym, o czym te bardzo ładne i młode dziewczyny śpiewają [...]. To jest tak, jak z reklamami alkoholu, dziś już zwraca się na to uwagę. Influencerzy brali alkohol i mówili: „To taki fun, to zabawa” w kontekście grilla. Dzisiaj wiemy, że mamy milion uzależnionych Polaków – zauważa i dodaje, że w ten sposób kształtuje się wzorce. – Jeżeli coś kojarzone jest z przegodą, to chętniej po to sięga młodzież. Kontekst kulturowy jest bardzo ważny. Nie ma próżni. Jeżeli kultura przesuwają się ku wyglądowni, seksowi, to pokłosem będą takie rzeczy – podkreśla Sawicka, analizując powiązanie kwestii seksualizacji dzieci w Internecie z „Pandora Gate”.

Nie można zapominać, że tzw. influencer marketing to wciąż rosnąca branża. W sprawozdaniu za 2022 r. agencja Spotlight wykazała prawie 25 mln zł przychodu. W 2021 r. agencja odnotowała ponad 10,6 mln zł przychodu netto ze sprzedaży produktów. „Pandora Gate” z pewnością nieco zepsuła rynek, jednak znając przemysłność speców od marketingu, szybko produkty „gołe” znajdą swoje bardziej akceptowalne zamienniki.

OPLAKANE SKUTKI

Seksualizacja dzieci wydaje się stanowić podglebie dla wdrażania w życie marzeń o życiu influencera. Jaką drogę obrać najprościej? Zarabianie na publikowaniu swoich nagich zdjęć poprzez np. portal OnlyFans. Czemu nie, skoro sprzedające się tam dziewczyny już dawno nie są objęte ostracyzmem? Tak zwany seksworking jest przedstawiany w lewicowo-liberalnych mediach jako praca nie tylko normalna, lecz także dobrze płatna. „Nikt mi nie wierzył, że miałam takiego klienta, który przynosił mi kanistry z benzyną. Pracowałam w spółce Skarbu Państwa, miał przydział na paliwo. Kiedy dostawał więcej, niż potrzebował, tankował mi samochód pod blokiem” – takie wyznanie seksworkerki Oli rozpoczyna reportaż opublikowany przez portal gazeta.pl. Dzieci, szczególnie dziewczynki, są „wychowywane” do bycia obiektami seksualnymi. Rodzicom powinien już dawno włączyć się nie tyle dzwonek alarmowy, ile potężna syrena ostrzegawcza. Nie zostawiamy dzieci w Internecie samopas. Skutki będą opłakane.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rolling Stonesi grają dalej



Grzegorz Brzozowicz

Umieszczenie na końcu albumu „Hackney Diamonds” standardu „Rollin’ Stone Blues” mogłoby świadczyć o domknięciu historii Największej Rockandrollowej Grupy Świata. Kamienie wciąż się jednak toczą



FO: DAVID WOLFF - PATRICK JAGGERS/GETTY IMAGES

W październiku ukazał się 24., według brytyjskiej dyskografii, album studyjny Rolling Stonesów. Ostatnim nagraniem na płycie „Hackney Diamonds” jest cover piosenki Muddy’ego Watersa „Rollin’ Stone Blues” z 1950 r. Płytę z tym nagraniem miał pod pachą Mick Jagger, kiedy na stacji w Dartford wpadł na Keitha Richardsa, kolegę z podstawówki. Było to wiosną 1961 r., a oni mieli po 17 lat. W tym roku świętują 80. urodziny.

Od 1989 r., kiedy dzięki albumowi „Steel Wheels”, Rolling Stonesi zażegnali największy kryzys w karierze, każda kolejna płyta Największej Rockandrollowej Grupy Świata zostaje okrzyknięta najlepszą od czasu... No i tu zaczynają się spory, czy chodzi o krążek „Some Girls” z 1978 r. czy „Tattoo You” wydany trzy lata później. Osobiście w recenzji „Hackney Diamonds” skłoniłem się do podania drugiej z płyt. Jest na niej „Start Me Up”, ostatni wielki stonessowski klasyk. „Tattoo You” składa się jedynie z nagrań odrzuconych podczas sesji dokonanych przez zespół w latach 70., a i tak jest to znakomita pozycja. Była to bowiem dekada, która przyniosła cztery albumowe arcydzieła w dyskografii grupy. W następnym dziesięcioleciu Sto-

nesi wydali trzy przeciętne płyty studyjne i jedną, naprawdę marną koncertową. Co więcej, Jagger uwierzył w latach 80., że czeka go błyskotliwa kariera solowa. Nawet Richards nagrał album podpisany własnym nazwiskiem, więc przyszłość The Rolling Stones wisiała na włosku.

STONESI TO IDEA

Dlatego, kiedy 25 sierpnia 1989 r. ukazał się album „Steel Wheels”, media i fani przyjęli go z otwartymi rękami. Ruszyła trwająca rok trasa koncertowa Stonesów, która przyniosła wówczas rekordowe 175 mln dol. dochodu. 6 czerwca 1990 r. na Stadionie Olimpijskim w Berlinie widziałem po raz pierwszy Stonesów na żywo. Było to spełnienie moich największych marzeń i ogromne przeżycie.

Od czasu „Urban Jungle Tour” istnieje niewypowiedziana umowa między fanami a zespołem. Oni ruszają w trasę, a my wypełnimy stadiony. Oni będą grali przeboje, odkurzą kilka zapomnianych perełek i wykonają najwyżej dwie, trzy piosenki z najnowszej płyty. Będziemy tak pielgrzymować, aż oni nie spoczną. Bo The Rolling Stones to nie jest tylko wielki zespół. To jest idea związana z pokoleniami, które wyrażały siebie poprzez muzykę rockową.

Dziś nie kolekcjonuje się płyt, nie słucha się albumów, a piosenki odtwarza się z telefonu. Dziś, kiedy rock nic nie znaczy, każdy krytyk muzyczny wyczekuje na nowy album Stonesów jak na potwierdzenie sensu swego istnienia.

Dlatego chcemy, by każda kolejna płyta Stonesów była wspaniała. Stąd każdy z pięciu studyjnych albumów, które ukazały się po 1989 r., otrzymał doskonałe recenzje i był tym najlepszym od czasów... Tylko ile razy każdy z nas przesłuchał w całości każdą z tych płyt? Ja odsłuchiwałem je z wielkim nabożeństwem i odkładałem na półkę, by następnym razem sięgnąć po „Let It Bleed”, „Sticky Fingers” czy „Exile on Main Street”. Trzech Stonesów, z których dwóch w tym roku ukończy 80 lat, dziś niczego nie musi. To my musimy sobie udowodnić, że żyjąc u ich boku, nie zmarłowaliśmy własnego życia.

WYJĄTKOWY ALBUM

Promocja albumu „Hackney Diamonds” zaczęła się od konferencji prasowej Stonesów z Jimmym Fallonem. Obserwowało ją w Internecie 53 tys. osób. Amerykański prezenter zapytał, czy tytuł albumu ma slangowe znaczenie, na co Jagger odpowiedział: „Tak, wyobraź sobie,

że w sobotnią noc włamywacz rozbija szybę do twoich drzwi wejściowych, a szkło rozpryskuje się po ulicy... to jest właśnie »Hackney Diamonds«.

Akurat jeśli chodzi o tytuł i okładkę płyty, to już nie wszyscy recenzenci byli tak zgodni w ocenach. Brytyjski „Guardian” napisał: „Okropny tytuł nowego albumu Rolling Stonesów brzmi jak nazwa klubu z tańcem na rurze w dzielnicy Clapton, a jego fatalna szata graficzna przypomina niskobudżetową obwolutę składanki zespołów pudel-metalowych”.

Kiedy Stonesi wydali w 1968 r. album „Beggars Banquet”, również urządzili spotkanie z prasą. Pod koniec wystawnego przyjęcia Mick Jagger uczcił wydanie płyty, rozbijając tort na twarzy gitarzysty Briana Jonesa. Rozgorzała bitwa na wypieki w rytm utworów „Sympathy for the Devil” i „Street Fighting Man”. Piosenki stały się hymnami studenckiej rewolty w Paryżu, a Stonesi rozpoczęli najbardziej twórczy okres swojej działalności. W Wielkiej Brytanii stali się wrogami publicznymi, prasa bulwarowa ich miażdżyła, policja organizowała naloty na mieszkania członków zespołu, muzyków ciągnano po sądach i zmuszono do emigracji podatkowej.

Teksty Jaggera jeszcze w latach 70. utraciły buntowniczy charakter, stając się hymnami nihilizmu. Na najnowszej płycie Mick, zamiast wymrukiwać refleksyjne mądrości w stylu dzisiejszych obserwacji Bruce’a Springsteena i Boba Dylana, wydziera się, i to znakomicie, jak wieczny 20-latek. Jęczy o nieprzespanych nocach, presji mediów czy zrujnowanych związkach. „Nie kochaliśmy się i chcę wiedzieć, dlaczego, dlaczego jesteś na mnie zła?” – zawodzi jak ambasador marki Viagra w singlowej piosence „Angry”. „Kocham śmiech, kobiety i wino/I po prostu muszę się od tego wszystkiego uwolnić” – wyjawia w „DREAMY SKIES”. Następnie wyrzuca telefon i ucieka do wiejskiej dziury, „gdzie nie ma człowieka w promieniu stu mil”. Tam pragnie rąbać drewno i słuchać piosenek Hanka Williamsa, by dzięki temu znaleźć „trochę spokoju od ciągłych burz”. Nawet Keith Richards lamentuje w „Tell Me Straight” nad życiem i miłościami, które go omijają. Zapytuje: „Czy moja przyszłość to przeszłość? Po prostu powiedz mi wprost”.

„Hackney Diamonds” jest mimo wszystko albumem wyjątkowym. Zawdzięcza to nie tyle wybitnym piosenkom, choć i te są całkiem niezłe, ile faktom związanym z jego powstaniem. Jest to pierwszy od 18 lat album grupy z oryginalnym materiałem i pierwszy od śmierci perkusisty Charliego Watts’a w 2021 r. Dwa utwory na płytę zostały nagrane jeszcze z nim i to właśnie Watts polecił, by zastąpił go w zespole Steve Jordan. Wyjątkowa jest lista znamienitych gości, którzy pojawiają się w nagraniach. Elton John dograł pianino do dwóch piosenek. Stevie Wonder wykonał wirtuozerskie solo na klawiszach. Lady Gaga zaśpiewała w duecie z Mickiem w najlepszej piosence na płycie „Sweet Sounds of Heaven”. We wściekłym „Bite My Head Off” na basie zagrał stary przyjaciel Paul McCartney. Bill Wyman, współzałożyciel Rolling Stonesów, spotkał się w studiu z dawnymi kompanami po 30-letniej przerwie.

Duże uznanie należy się producentowi Andrew Wattowi, który sprawił, że nowa płyta brzmi tak dobrze i słucha się jej z przyjemnością. Ten 33-latek został polecony Stonesom przez Paula McCartneya. Zaczynał karierę producenta od współpracy z gwiazdami współczesnego popu: Miley Cyrus, Justinem Bieberem i Dua Lipą. Z czasem zaczął pracować z rockową arystokracją (Ozzy Osbourne, Elton John, Iggy Pop, Paul McCartney, Eddie Vedder). Pracując przy „Hackney Diamonds”, szybko zrozumiał, że fani oczekują od Rolling Stonesów, by brzmieć jak Rolling Stonesi. I dlatego większość utworów na nowej płycie nawiązuje do starych, stonessowskich klasyków.

ROCK NAD WISŁĄ

Na koniec chcę podważyć mit o wyjątkowej popularności Rolling Stonesów w naszym kraju. Wciąż wydaje się nam, że jesteśmy uprzywilejowani, bo Jagger i spółka odwiedzili w 1967 r. Polskę, jako pierwszy kraj zza żelaznej kurtyny. Jednak po obaleniu berlińskiego muru grupa zawitała w Pradze, a nie w Warszawie. W końcu, 14 sierpnia 1998 r., Stonesi dotarli do Chorzowa. Sprzedano 44 tys. biletów. Sześć dni później grupa grała w Zagrzebiu, gdzie oklaskiwało ją 76 tys.

fanów. Frekwencja na Stadionie Śląskim nie zwałała z nóg, ale i tak było nieźle w porównaniu z pierwszym polskim koncertem Boba Dylana. W 1994 r. na stadion Cracovii dotarło zaledwie 2,5 tys. tysiąca widzów. Gorzej mogło być tylko na występie Davida Bowie. Na stadion Lechii Gdańsk sprzedano latem 1997 r. tylko 1 tys. biletów, więc koncert odwołano.

A jak ma się sprawa ze sprzedażą płyt Stonesów nad Wisłą? Lata 90. należały do najbardziej lukratywnego okresu w dziejach fonografii. W połowie tej dekady w Polsce rozpoczęły działalność przedstawicielstwa największych koncernów płytowych i rozpoczęło u nas rzetelną rejestrację sprzedaży płyt. Okazuje się, że przez ostatnie 28 lat tylko sześć albumów Rolling Stonesów przekroczyło nakład 10-tysięczny. Najpopularniejsza jest płyta „Bridges to Babylon”, której sprzedano ponad 50 tys. egzemplarzy. Należy jednak ten wynik przyrównać do osiągnięć innych albumów sprzedawanych w naszym kraju w 1997 r. Rekordzistką była wówczas płyta Budki Suflera „Nic nie boli tak jak życie” (1,1 mln – rekord wszech czasów). Na drugim miejscu znalazły się „Smerfne hity 1” (800 tys.), a na trzecim soundtrack do filmu „Titanic” (700 tys.).

Z pierwszego składu zespołu pozostali dziś już tylko Mick Jagger, lat 80, i Keith Richards, który jeszcze przez półtora miesiąca będzie miał o rok mniej. Drugi gitarzysta, Ron Wood, dołączył do grupy w 1976 r. i tak się składa, że ma obecnie 76 lat. Pamiętajmy jednak, że w 2019 r. Jagger miał nagłą operację serca. Nawet Keith Richards, uznany niegdyś przez Robina Williamsa za jedyne stworzenie obok karaluchów, które mogłoby przetrwać nuklearną apokalipsę, przyznał, że lekarze kazali mu rzucić palenie. O alkoholu nie wspomnieli, bo i tak byłoby to na nic. Umieszczenie na końcu albumu „Hackney Diamonds” standardu „Rollin’ Stone Blues” mogłoby świadczyć o domknięciu historii Największej Rockandrolowej Grupy Świata. Kamienie wciąż się jednak toczą. W maju 2024 r. rozpoczyna się kolejne światowe tournée zespołu. Obejmie ono Amerykę Północną, Europę i Daleki Wschód.



THE ROLLING STONES
„HACKNEY DIAMONDS”
POLYDOR

Wojna kobiet



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



Piotr Gociek

Szukasz ochrony? Wstąp do armii. Szukasz sensu życia? Poświęć się obronie ojczyzny. „Special Ops: Lioness” to opowieść wbrew modzie na antyamerykanizm

Jak zostać przyjacielem bin Ladena? Niemożliwe. Ale gdyby wkraść się w łaski jednej z przyjaciółek, narzeczo-nych, córek czy kuzynek poszukiwanego terrorysty? I tak zdobyć informacje, które potem posłużą do odstrzelenia poszukiwanego wroga? To już łatwiejsze zadanie, gdy dysponuje się agentkami przeszkolonymi do tego typu zadań. Stąd program „Lwice”, którym zawiaduje

doświadczona oficer CIA, zwana po prostu Joe (Zoe Saldña). Joe, która na co dzień dowodzi małą grupką wojaków od mokrej roboty (płci obojga, nie ma tu dyskryminacji). Szkoleni są do tego, by robić to, co inni uważają za niemożliwe. No i oczywiście funkcjonują w cieniu, gdy coś pójdzie niezgodnie z planem – ani rząd, ani żadna agencja się do nich nie przyznają.

Joe ma oczywiście swoich szefów, bo każdy komuś służy. Bezpośrednio nad nią mamy Kaitlyn Meade graną przez coraz bardziej porcelanową Nicole Kidman; Meade z kolei odpowiada przed Byronem Westfieldem, wiceszefem CIA. Tu znowu znajoma twarz, bo gra go Michael Kelly, którego pamiętamy jako Douga Stampera, specja od mokrej roboty Franka Underwooda w „House of Cards”. Dodajmy jeszcze Morgana Freemana, który zagrał sekretarza stanu, i od razu będziemy wiedzieli, że projekt jest prestiżowy. Kto okazał się magnesem

dla tej plejady gwiazd? Taylor Sheridan, który wyrasta na najbardziej kreatywnego i pracowitego specja od telewizji w ostatniej dekadzie. Serial „Special Ops: Lioness” to jego najnowsze dzieło.

ARCYTRUDNE DYLEMATY

Sheridan zaczynał jako aktor, potem zdobył renomę jako scenarzysta („Sicario”, „Aż do piekła” – za ten scenariusz nominowany był do Oscara) i wreszcie jako reżyser („Wind River. Na przeklętej ziemi”). Przełom przyszedł w roku 2018 wraz z wielkim sukcesem serialu „Yellowstone”. Lista osiągnięć Taylora Sheridana w ostatnich pięciu latach to: pięć sezonów „Yellowstone”, dwa prequela do tego serialu („1883” oraz „1923”), świetnie przyjęty serial kryminalny „Burmistrz Kingstown” (jak dotąd dwa sezony), kryminalno-komediowy serial „Tulsa King” (drugi sezon w realizacji) oraz trafiający właśnie do serwisu SkyShowtime „Special Ops: Lioness”.

Na tym nie koniec, jeszcze przed końcem roku pojawi się kolejny serial Sheridan, „Lawmen: Bass Reeves”, a w kolejce czeka następny: „Land Man”.

„Yellowstone” jest jednym z największych sukcesów w historii amerykańskiej telewizji; widzowie dopisują, także jeśli idzie o pozostałe seriale. A jednocześnie żadne z dzieł Sheridan nie otrzymało ani jednej nagrody Emmy, czyli najważniejszego lauru w telewizyjnym świecie Ameryki. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: jest twórcą na wskroś zanurzonym w amerykańskiej tradycji, opowiadającym tradycyjne historie o silnych mężczyznach i wspierających ich kobietach; o miłości do ziemi, o wartości rodziny, o ciężkiej pracy, o tym, że trzeba bronić tego, co twoje (przekonań, dziedzictwa, ziemi), nawet z bronią w ręku. „Yellowstone” okrzyknie to ukochanym serialem rednecków (pogardzanych przez salony Nowego Jorku i Los Angeles wyborców republikanów ze Środkowego Zachodu).

Czy ośmioodcinkowy „Special Ops: Lioness” sprawi, że Taylor Sheridan zostanie łaskawiej przyjęty na salonach? Skonstruowano go tak, jakby to właśnie miało być jego celem. Po pierwsze, to serial o kobietach. Po drugie, jest to serial o kobietach skuteczniejszych niż mężczyźni. Po trzecie, jest to serial, w którym kobieta jest lepszym mężczyzną od mężczyzny. Już wyjaśniam: w sercu tej opowieści znajdujemy wcale nie postać doświadczonej Joe, lecz jej najnowszy nabytek, którym jest żołnierka marines Cruz Manuelos, którą zagrała fenomenalnie Laysla De Oliveira (aktorka kanadyjska, ale z brazylijskiej rodziny). Historia Manuelos jest smutna – popychadło w domu, obiekt przemocy i drwin swojego partnera macho i jego zaćpanych po uszy kumpli odwinie się wreszcie prześladowcy, a uciekając, trafi w ramiona US Army. Tam się okaże, że bije rekordy śrubowane przez kolegów, więc szybko staje się bardzo cennym nabytkiem. I po jakimś czasie zwróci uwagę Joe.

Manuelos jest idealnym nabytkiem programu specjalnego Lioness: z wyglądu może uchodzić za Arabkę, uczy się szybko, w sytuacji kryzysowej wie, jak zareagować, bo wyszkolili ją marines. Szybko pojawia się okazja, by rzucić ją do akcji. Ma się wkraść w łaski dziewczyny z bardzo bogatej arabskiej rodziny, której ojciec jest

Serial opiewa heroizm i poświęcenie tych, którzy stoją na straży wolnego świata

potężnym inwestorem branży naftowej, ale przede wszystkim – najważniejszym bankierem terrorystów. Jak twierdzi Joe, nie ma takiego zamachu od czasów 11 września, w którym nie pojawiałyby się nitki prowadzące do Asmara Ali Amrohiego. Córką Amrohiego – Malika – ma wkrótce zostać wydana za męża. A na weselu – nieważne czy to w Dubaju, Wenecji, czy na Majorce – pojawić się musi tata, który na co dzień pilnie strzeże swego bezpieczeństwa.

Nowy serial Sheridaną siłą rzeczy ułożony jest ze znanych elementów – w końcu tyle już powstało szpiegowskich produkcji, że trudno o oryginalność. Tam, gdzie obserwujemy Joe cierpiącą z powodu rozłąki z rodziną (mąż plus nastoletnia córka), przypomina się świetny serial „The Unit” (2006–2009), który był opowieścią tyleż o niebezpiecznych akcjach specjalistów, ileż o cenie, jaką za takie życie płać żony, które zostają w domach. Tam, gdzie obserwujemy polityczne rozgrywki i machinacje na szczytach dowodzenia CIA oraz w administracji rządowej, przypomina się trochę „Homeland”, a trochę „House of Cards”. Powracają w niektórych momentach dylematy, które znamy doskonale choćby z gorzkich powieści Johna le Carré, pytania o mniejsze zło w imię większego dobra, o osobistą odpowiedzialność tych, którzy wysyłają innych w atrybutne misje, wiedząc, że mogą okazać się samobójcze. Dylematy stoją tu przed wszystkimi: od agentki, która ma zostać najlepszą przyjaciółką Bogu ducha winnej dziewczyny tylko po to, by ją zdradzić (a być może i doprowadzić do jej śmierci), do ważnych figur w Waszyngtonie, które się zastanawiają, jak daleko można się posunąć w niszczeniu imperium Amrohiego. Realisci podpowiadają, że lepszy diabeł, którego znasz, od tego, który może wypełnić powstałą po nim pustkę. No i co ze światowymi rynkami ropy?

Wszystko to ogląda się świetnie, bo opowieść trzyma w napięciu od początku do końca, słabszy moment to chwila, gdy zbaczamy z głównego wątku, obserwując oddział Joe biorący udział w niespodziewanej akcji nieopodal granicy z Meksykiem. Laysla De Oliveira jest świetna jako Cruz Manuelos, wierzymy jej zarówno wtedy, gdy staje się ikoną silnej kobiety, jak i wtedy, gdy okazuje kruchą, gdy odkrywa swoje wykorzenienie, swoją tęsknotę za przyjaźnią i miłością. Swoją kryzys przejdzie Joe, która odkrywa, jak bardzo niszczy swoich najbliższych wieczną nieobecnością i kolejnymi tajemnicami.

A teraz wrócić możemy do tego, jak odbierane jest przez większość wpływowych krytyków w USA to, co kręci Sheridan. Otóż prestiżowy magazyn „Variety”, piórem swojej autorki Alison Herman, określa „Special Ops: Lioness” mianem „bezwstydnej militarnej propagandy”. Jak się okazuje, nie wystarcza uczynienie kobiet głównymi bohaterami, nie wystarcza przedstawienie ich jako równie (lub bardziej) kompetentnych jak mężczyźni. Przesłanie pozostaje bowiem staroświeckie: tak, Ameryki trzeba bronić, bo warta jest obrony. Tak, w imię tego wielkiego dobra czasem trzeba się posunąć do działań moralnie wątpliwych.

Serial opiewa heroizm i poświęcenie tych, którzy stoją na straży wolnego świata i nie boją się przelewać krwi, aby zwykli Amerykanie mogli spać spokojnie, zamiast żyć w cieniu lęku przed kolejnym 11 września. Alice Herman irytuje to niepomiarne, ma ona pretensje, że Taylor Sheridan pozycjonuje Siły Zbrojne Stanów Zjednoczonych jako „silnych”, którzy „chronią słabych” – do tej ostatniej grupy zaliczają cały Bliski Wschód oraz bezbronnych mieszkańców USA. Jak się wydaje, powinien na swoją ojczyznę i jej żołnierzy napluć, wtedy mógłby wreszcie liczyć na poklask liberalnych elit. Na szczęście tego nie robi – z korzyścią dla oczekiwani widzów, którzy ich ojkofofii nie podzielają. Taylor Sheridan może więc liczyć w dalszym ciągu na rekordowe zainteresowanie widzów przed telewizorami i komputerami. Nagród zapewne nie doczeka.



„SPECIAL OPS: LIONESS”
USA 2023



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Barwy sprawiedliwości



★★★★★
REŻ. MAGGIE BETTS
„POGRZEBANI”
(„THE BURIAL”)
USA 2023

wyst. Jamie Foxx,
 Tommy Lee Jones,
 Alan Ruck

Historia jak z kart thrillerów prawniczych Johna Grishama, ale z zaskakującą zmianą miejsc. Uczciwy, acz gnębiony przez wielką korporację biały przedsiębiorca pogrzebowy (gra go Tommy Lee Jones) szuka pomocy u wpływowego, bogatego prawnika, który potrafi zdziałać cuda i który ma jeszcze jedną wielką zaletę: jest czarnoskóry. Wszystko bowiem wskazuje na to, że sprawę rozstrzygał będzie sąd w jednym z hrabstw południa, gdzie ani sędzia, ani ławnicy biali nie są. No i jak tu walczyć o sprawiedliwość?

Pomysł jednocześnie prowokacyjny i celebrujący zdolność mniejszości do odniesienia sukcesu.

Willie E. Gary, świetnie zagrany przez Jamiego Foxxa, to postać bardzo barwna, wręcz na granicy parodii. Uwielbia drogie ciuchy i zegarki. Ma też własny odrzutowiec, który zwie „Skrzydłami Sprawiedliwości”. Niemal wszystko krzyczy w nim: „To nie jest człowiek, któremu możesz zaufać”, choć klienci są innego zdania: Gary potrafi nawet dla pijanego rowerzysty, który wpadł pod ciężarówkę, zdobyć odszkodowanie w dziesiątkach milionów dolarów. Ma wyniki, wie, kim był Dorian Gray, i lubi filmy z Van Dammem. No i bardzo chciałby być równie sławny, jak prawnik O.J. Simpsona.

„Pogrzebani” to film zrobiony dokładnie według recepty na sądowy dramat, ale jego głównym

bohaterem nie jest pokrzywdzony przedsiębiorca, ale właśnie ów prawnik, który w trakcie procesu doradza jako świadomy obywatel. Twórcy sprytnie rozgrywają kwestie rasowe: Jak biały bogacz chce przelicytować czarnego adwokata w czarnym hrabstwie? Wysłała czarną panią adwokat – i kto tu jest bardziej postępowy? Oczywiście pojawia się tu odpowiednio ustawiona polityczna perswazja: Jamie Foxx pokazuje, że nie ma uprzedzeń, gdy nie przeszkadza mu praca z białym prawnikiem (Alan Ruck), który zapytany, czy nie ma nic przeciwko pracy z zespołem czarnych adwokatów, odpowiada: „Cóż, mam pewne uprzedzenia, ale nad nimi pracuję”. Jako że rzecz dzieje się w stanie Missisipi, wiadomo, że prędzej czy później pojawi się wątek Ku Klux Klanu. Ale wybrzmiewa tu też mocne przesłanie przeciw turbokapitalizmowi: brońmy rodzinnych biznesów przeciwko korporacjom. I jeszcze jedno, niewyobrażalne w czasach BLM, kiedy obalanie pomników stało się normą: nie odpowiadamy za grzech naszych przodków. ©©



NOWE SERIALE: „KRÓLESTWO: EXODUS”

Trochę z Kinga, trochę z „Twin Peaks” ale przede wszystkim po swojemu – trzeci sezon głośnego serialu von Triera powstał ćwierć wieku po drugim, ale jest godnym zwieńczeniem tego pełnego absurdu horroru. Pozostały humor i suspens znane z pierwszych serii, doszła kolejna warstwa –

apokaliptyczna. Von Trier nie bierze jeńców: szydzi ze współczesnej kultury i popkultury, z politycznej poprawności i z samego siebie. ©©

reż. Lars von Trier „Królestwo: Exodus” („Riget: Exodus”), Dania 2022

NH

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. David Fincher „Zabójca” („The Killer”), USA 2023
- sezon 3 „The Office PL”, Polska 2023
- sezon 4 „For All Mankind”, USA 2023
- sezon 2 „Rap Shit”, USA 2023

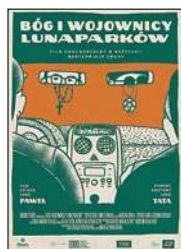
Podróż z bezbożnikiem

KINO

Niech państwo pozwolą, że przedstawię: Andrzej Rodan, ludzka skamielina z epoki, gdy wzorcem dziennikarstwa był Jerzy Urban, a pornograficzne wydawnictwa można było kupić w każdym kiosku. PESEL dał jednak znać o sobie, literata skandalistę i wojującego ateusza draży choroba. Strach przed śmiercią niejednego bluźniercę zmienił w pokorne jagnię. Nadzieje Pawła, który sam się nawrócił i tego samego życzy ojcu, wydają się realne. Tour de Pologne, polegający na spotkaniach z uzdrowicielami, księżmi oraz charyzmatykami, nie przebiega jednak zgodnie z planem. Junior, typowy neofita, ma problem z utrzymaniem ewangelicznej po-

stawy. Senior natomiast uważa konwersję pierwotnego za swoją największą życiową klęskę.

Paweł Józwiak-Rodan podobnie jak tatuś nie stroni od autobiograficznych wątków. Wcześniej pisał scenariusze, reżyserował, stał za kamerą i montował. Tym razem ograniczył się do roli producenta i dramatis personae – z korzyścią dla rezultatu. Pomysł wykorzystania kaset wideo z wyprawy szlakiem wesołych miasteczek okazał się strzałem w dziesiątkę. W amerykańskim kinie drogi bohater z reguły zmienia się na lepsze. Polskie filmy często bywają zaś ilustracją powiedzenia o piekle wybrukowanym dobrymi intencjami. **Wiesław Chełminiak**



★★★★★
REŻ. BARTŁOMIEJ
ŻMUDA
„BÓG
I WOJOWNICY
LUNAPARKÓW”
POLSKA 2022



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MISJA KUNDELKA

TV P VOD



★★★★★
REŻ. ANDRZEJ
SAPIJA
„TEATR
TELEWIZJI”
POLSKA 2002

Niesamowite, lecz prawdziwe. Na małym ekranie najpierw zagościła sztuka, a dopiero potem propaganda. Teatr Telewizji pojawił się w ramówce wcześniej niż „Wiadomości”. Siedemdziesiąt lat po pierwszym spektaklu wciąż trudno wyjaśnić ów fenomen. W każdy poniedziałkowy wieczór rzesze Polaków gromadziły się przy odbiornikach, by oglądać „Hamleta” czy „Parady”. Istniał nawet Ruch Miłośników Teatru Telewizji, do którego zapisywały się małomiasteczkowe elity i całe jednostki wojskowe. U szczytu powodzenia emitowano 120 premier rocznie (licząc z czwartkową „Kobłą”). Luminarze kultury, nazywający TT „kundelkiem”, musieli te słowa odczekać. Dokument, nakręcony na półwiecze, składa hołd reżyserom i aktorom, przypomina fragmenty kultowych spektakli, lecz podsyty jest obawą, że zwycięska formuła odchodzi do lamusa. Minęło 20 kolejnych lat i na horyzoncie nie widać nowego Hanuszkiewicza. Demokracja zabija misję. © ©

ZAŚPIEWAJ, SĄSIADKO

KINO



★★★★★
REŻ. JACEK
RAGINIS
„CZAS NA
POGODĘ”
POLSKA 2023

Nic tak nie łączy jak zepsuty zawór w zlewie. Pan Adam, odkrywając, że z sufitu kapie woda, wchodzi na czwarte piętro i poznaje panią Celinę, o głowę od niego wyższą i pijaną jak bela. Następnego dnia skruszona sąsiadka zaprosi go na podwieczorek. Niedośły aktor i domorosły poeta spróbuje zarazić optymizmem pozbawioną złudzeń kobietę. Reżyser, debiutujący w pełnometrażowej fabule, nieźle radzi sobie z historią złożoną niemal całkowicie ze stereotypów (o deklacji kółskich kamienic oraz ich mieszkańców, o funkcjonowaniu rodzimego show-biznesu czy o patologii związków damsko-męskich). „Czas na pogodę” jest jednak głównie benefisem Ewy Konstancji Bułhak, aktorki marnującej talent w telewizyjnych tasiemcach. W radiowej wersji Adama grał Przemysław Bluszczy z „Leśnicówkami”, w ekranizacji zastąpił go Łukasz Lewandowski z „Korony królów”. © ©

wyst. Ewa Konstancja Bułhak, Łukasz Lewandowski

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „DETECTIVE PIKACHU RETURNS”

Dla starszych graczy przygody detektywistycznego duetu składającego się z Tima Goodmana i Pikachu nie będą stanowiły wyzwania, produkcja skierowana jest raczej do młodszych odbiorców. Pod warunkiem że znają angielski, gdyż polskiej

wersji językowej niestety brak. Gra kontynuuje historię opowiedzianą w jedynej (na początku dostajemy krótkie podsumowanie). Nasi bohaterowie znów ruszają na ratunek Ryme City, podejmując śledztwo po ataku Corvinknighta i mając nadzieję



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

na odnalezienie zaginionego ojca Tima. © © **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** przygodowa
• **Platforma:** Nintendo Switch
• **Producent, dystrybutor PL:** Creatures Inc.; ConQuest Entertainment



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

O białoskrzydła morska pławaczko!

Antoni Libera jako tłumacz arcydzieł literatury stał się instytucją. Przełożył, przypomnę, m.in. Sofoklesa i Homera, Racine'a i Szekspira, sprawiając, że utwory tych twórców, najwybitniejszych z wybitnych, zajaśniały na nowo blaskiem i znają, mam nadzieję, trwałe miejsce na scenach polskich teatrów, gdy te wystawiać będą sztuki, nie obrażając inteligencji i wrażliwości widzów. Libera, sam człowiek teatru, dba o wierność przekładu, nie zapomina jednak i o tym, że język się zmienia i wystawiany dramat musi być przede wszystkim zrozumiały. W przeciwnym razie przostanie pięknym nieodkrytym.

Przy pełnym zaufaniu do znakomitego autora ostatnie jego przedsięwzięcie wzbudziło, chyba nie tylko moje, zdumienie. Otóż uwspółcześnił on... „Odprawę posłów greckich” Jana Kochanowskiego, ojca polskiego języka literackiego, mistrza nad mistrzami, niezmiennie wzruszającego swymi strofami wszystkich, którym droga jest nasza ojczysta kultura. A jednak jest faktem, że tego sławnego dramatu, głównie ze względów językowych, nie pojmuje większość spośród tych, którzy go czytają, a mianowicie uczniów szkół średnich, jako że „Odprawa...” jest żelazną pozycją spisu lektur szkolnych. W interesującym wprowadzeniu Pawła Stępnia do wydanego właśnie przez PIW dzieła Jana Kochanowskiego – wraz z transkrypcją na współczesną polszczyznę Antoniego Libery – czytamy, że zrozumienie dramatu utrudnia XVI-wieczna polszczyzna ze słowami i z formułami dziś

zapomnianymi. Czytelnika odsyła się w takiej sytuacji do stosownych przypisów. Ale gdzie odesłać widza w teatrze? Do bufetu? No jasne, można „Odprawy...” nie wystawiać, ale nie godzi się tak postponować ojca literackiego języka polskiego. To wszak bezsprzeczne arcydzieło naszego piśmiennictwa.

Czytelnik nowej edycji „Odprawy posłów greckich” na sąsiadujących stronach znajdzie tekst Kochanowskiego i transkrypcję Libery. W praktyce wygląda to tak jak w drugiej pieśni Chóru, bodaj najbardziej znanej z całego dzieła. Oryginał brzmi następująco:

*Wy, którzy pospolitą rzecz władacie
A ludzką sprawiedliwość w ręku trzymacie,
Wy, mówię, którym ludzi paść poruczono
I zwierczoności nad stadem Bożym
zwierzono.
Miejcie to przed oczema zawždy swojemi,
Żeście miejsce zasiedli Boże na ziemi.
Z którego macie nie tak swe własne rzeczy,
Jako wszytek ludzki mieć rodzaj na pieczy.*

A teraz przeczytajmy, najlepiej głośno, te słowa:

*Przywódcy i doradcy Rzeczypospolitej,
Wy, którym powierzono strzec ludu bożego
I kierować losami rodzimej wspólnoty,
I dbać o praworządność, i o sprawiedliwość –
Miejcie zawsze na względzie, że tak
wyniesieni,
Grając rolę na ziemi jak bogowie w niebie,
Jesteście jednak ludźmi, a wasze zadanie
To służyć innym i troszczyć się o nich.*

Inna, może najpiękniejsza pieśń Chóru rozpoczyna się wezwaniem: *O białoskrzydła morska pławaczko, Wychowanico ldy wysokiej; Łodzi bukowa, któraś gładkiej Twarzy pasterza Przyjamczyka*

*Mokreimi słonych wód ścieżkami
Do przezroczystych eurotowych
Brodów nosiła.*

A o co tu naprawdę chodzi? Siegnijmy do transkrypcji:

*O pełnomorski, piękny okręcie
O białych żaglach, wybudowany
W cieniu masywu potężnej ldy,
Wysokiej góry w pobliżu Troi!
O łodzi z buku, która po szlakach
Słonej równiny niosłaś ku Grecji –
Gdzie wielka rzeka wpada do morza –
Urodziwego potomka Priama,
Tego pasterza o gładkiej twarzy!*

Niebawem minie 450 lat od pierwszego wystawienia „Odprawy posłów greckich”. Miało to miejsce w niedzielę 12 stycznia 1578 r. w podwarszawskim Jazdowie. Spektakl, uświetniający ślub podkanclerzego koronnego Jana Zamoyskiego z Krystyną Radziwiłłówną, oglądali para królewska, dostojnicy, dworzanie, a niewykluczone, że i sam poeta. A już w listopadzie Teatr Polski w Warszawie zaprasza na pierwsze spektakle „Odprawy...” Jana Kochanowskiego, po transkrypcji Antoniego Libery, w reżyserii Macieja Wojtylszki z muzyką Marii Pomianowskiej.

„Odprawę posłów greckich” naprawdę warto czytać, smakować, rozkoszować się jej tekstem i głębią zawartej w niej myśli. „Im głębiej poznamy zapisane tam widzenie świata, człowieka, wspólnoty ludzkiej i historii – pisze Paweł Stępień – tym wiarygodniej będziemy mogli określić swoje stanowisko wobec tego, co mówi do nas i czego nas uczy pierwsza polska tragedia”.

A Kochanowski wsparty przez Libere brzmi świetnie. Choć „pławaczki” żal. © ©



★★★★★
JAN KOCHANOWSKI
„ODPRAWA
POSŁÓW
GRECKICH.
ORYGINAŁ
I TRANSKRYPCJA”
TRANSKRYPCJA
NA WSPÓŁCZESNĄ
POLSZCZYNĘ:
ANTONI LIBERA
PIW, WARSZAWA
2023



POCZYTANKI

Wina Korwin-Mikkego

PIOTR GOCIEK

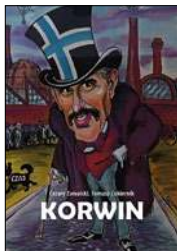
Polski Sejm bez Korwin-Mikkego jest dla paru pokoleń wyborców czymś oczywistym, dla mnie odwrotnie. U progu III RP oczywiste zdawało się, że parlament to miejsce dla postaci wyrazistych, głośno mówiących o swoich przekonaniach, wreszcie: wybitnych mówców. A Korwin-Mikke był wśród ówczesnych posłów niczym rekin pośrodku nieciekawej drobny. Proszę sięgnąć po książki z tamtego czasu, jak choćby „Rząd rżnie głupa” z sejmowymi wystąpieniami JKM – delicie!

Trzy dekady później Janusz Korwin-Mikke nie wchodzi do Sejmu pokonany przez żonę młodego konfederaty. Szefowie jego własnej partii wysyłają go na emeryturę. Cóż, jeśli na nią pójdzie, to na własnych warunkach i w czasie, który sam uzna za stosowny. Tak działał zawsze, o czym przypomina książka zatytułowana po prostu „Korwin”, z podtytułem „Ojciec polskich wolnościowców”. Z tym ojcostwem bym nie przesadzał, ale tytuł „Wielkiego inspiratora” należy się JKM na pewno.

Biografia przynosi kapitalny materiał ilustracyjny i faktograficzny – choćby pełną listę tytułów wydanych w podziemiu przez Oficynę Liberałów. Szczególnie ciekawe są partie poświęcone młodości JKM oraz

jego działalności w latach 70. i 80. Dla szerszej publiczności ta część życiorysu charyzmatycznego polityka zawsze pozostawała w cieniu jego dokonań z czasów świetności Unii Polityki Realnej oraz „Najwyższego Czasu!”. Nie jest to biografia polemiczna, więc przeciwników Korwin-Mikkego nie zainteresuje, a zwolenników zadowolili.

Ja pozostanę z uczuciem niedosytu. Zamienia się ta książka miejscami w kalendarium skrzyżowane z kroniką, tymczasem najważniejszą częścią fenomenu JKM nie są jego pojedyncze dokonania w tej czy innej kadencji takiego czy innego gremium, lecz to, jaki miał na sposób myślenia kilku pokoleń Polaków. Polityków, którzy przeszli za młodu przez UPR, znaleźć można dziś po obu stronach politycznego sporu. A 20-latkowie głoszący dziś na Konfederację mogą nie wiedzieć, jak bardzo ich dziadkowie wdzięczni byli Korwin-Mikkemu za podziemne wydania prac von Hayeka.



★★★★★
CEZARY ZAWALSKI,
TOMASZ
CUKIERNIK
„KORWIN”
B&T PRESS

Janusz Korwin-Mikke był przez ostatnich kilka dekad kimś więcej niż politykiem, choć nie piastował ważnych państwowych funkcji. Był osobnym zjawiskiem, fenomenem, który wciąż czeka na głębszą analizę, wraz ze wszystkimi sprzecznościami, zwycięstwami i porażkami. ©©

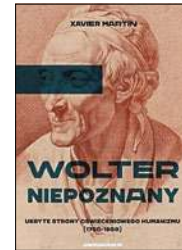
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Obszerny wybór (31 tekstów) opowiadań jednego z najciekawszych polskich pisarzy, laureata m.in. nagród im. Marka Nowakowskiego i im. Cypriana Kamila Norwida. Poświęcone: Jakub Beczek.



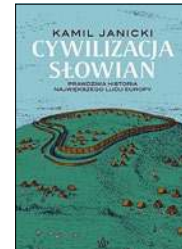
WOJCIECH
CHMIELEWSKI
„OBCE DIABŁE”
PIW

Ukryte strony oświeceniowego humanizmu (1750–1800), czyli smutna analiza ponurej listy uprzedzeń, obelg oraz rasistowskich przekonań; heroldzi tolerancji wcale jej bowiem nie wyznawali.



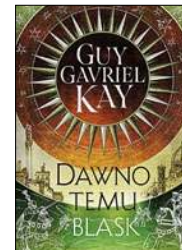
XAVIER MARTIN
„WOLTER
NIEPOZNANY”
INSTYTUT
ANDEGAVENUM

Wbrew podtytułowi („Prawdziwa historia największego ludu Europy”) to raczej lista pytań bez odpowiedzi. Czyta się dobrze, ale brak np. opowieści o wojnach Słowian, którzy swego czasu prali wikingów, jak chcieli.



KAMIL JANICKI
„CYWILIZACJA
SŁOWIAN”
WYDAWNICTWO
POZNAŃSKIE

Mistrz historii alternatywnych wraca do świata znanego m.in. z książek „Lwy Al-Rassanu”. Intrygi polityczne i łowy na odrząającego hrabiego Uberta w realiach przypominających renesansowe Włochy. ©©



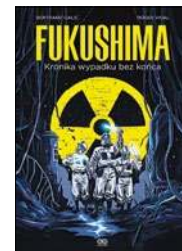
GUY GAVRIEL KAY
„DAWNO TEMU
BLASK”
ZYSK I S-KA

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA:

„FUKUSHIMA”

„Kronika wypadku bez końca”. Nie jest to pierwszy komiks inspirowany tragedią z 2011 r. (było ich trochę: i realistycznych, i fantastycznych), ale w naszej części świata zyskał rozgłos, bo to produkcja europejska. Wydany w roku 2021 szybko doczekał się edycji hiszpańskiej i niemieckiej, teraz – polskiej. Scenarzystą jest



BERTRAND GALIC,
ROGER VIDAL
„FUKUSHIMA”
NON STOP COMICS
2023

Bertrand Galic, znany we Francji m.in. z komiksowej adaptacji Jonathana Swifta oraz komiksów historycznych.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Blask

Najcenniejszy polski zbiór monet i medali przechowywany jest w Muzeum im. Emeryka Hutten-Czapskiego, w oddziale Muzeum Narodowego w Krakowie. Jest to część jednego z najwartościowszych darów, jakie kiedykolwiek otrzymało (a otrzymało go równe 120 lat temu) krakowskie muzeum

– kolekcji zgromadzonej przez hr. Emeryka Hutten-Czapskiego, w skład której wchodzi m.in. 11 tys. numizmatów. Kolekcji, która niemal nienaruszona przetrwała drugą wojnę światową, co zakrawa na cud, bo



FOT. MUZEUM IM. EMERYKA HUTTEN-CZAPSKIEGO W KRAKOWIE

przecież po złoto Niemcy wyciągali ręce w pierwszej kolejności.

Najznamienitsze okazy z tej kolekcji prezentowane są na wystawie stałej. Ekspozycja czasowa „Blask złota. Z kolekcji gabinetu numizmatycznego” jest okazją ku temu, by zobaczyć niemal 600 eksponatów na co dzień nieeksponowanych. „Poświęcamy tę wystawę nie tylko pamięci ofiarodawców, ale też wyjątkowości złota – przekutego tutaj na niejednokrotnie znakomite i zachwycające dzieła sztuki – kruszcu będącego obiektem niemal powszechnego pożądania, najczęściej przykuwającego uwagę zwiedzających i budzącego zrozumiałe emocje” – piszą organizatorzy. © ©

GDZIE? Muzeum im. Emeryka Hutten-Czapskiego w Krakowie
KIEDY? do 7 lipca 2024 r.



FOT. GOK W LEŚNEJ PODLASKIEJ

MONIDŁA

Popularne w XX w. monidła, czyli realistyczne portrety tworzone (najczęściej) na podstawie ślubnego zdjęcia, przypomina GOK w niewielkiej Leśnej Podlaskiej, wzbudzając tą sentymentalną podróżą zainteresowanie daleko poza granicami swojej gminy. Z 60 portretów spoglądają na nas piękni i młodzi, nierzadko podretuszowani, z podkolorowanymi ustami i oczami, czasem ubrani w okazalsze – niż ich własne – stroje. Namalowane przez anonimowych już dziś artystów, którzy często poszukiwali zamówień, krążąc od domu do domu. Czym się zajęli, gdy ich dzieła stały się passé? © ©

GDZIE? GOK w Leśnej Podlaskiej
KIEDY? do 15 listopada



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

W rytmie filmu noir

Jazz-popowe arcydzieło. Brazylijski multiinstrumentalista, kompozytor, aranżer i wokalista po mistrzowsku reinterpretuje dźwięki, brzmienia oraz muzyczne gatunki z przełomu lat 70. i 80.

Ed Motta stworzył klimaty, które przenoszą nas do filmowej rzeczywistości końca ubiegłego wieku. „Behind the Tea Chronicles” stanowi ścieżkę dźwiękową do nieistniejącego filmu. Słuchając płyty, wręcz wyczuwa się zapach zadymionych nowojorskich klubów muzycznych i smak bourbona. W jednej sali gra duet Steely Dan, w drugiej śpiewa Al Jarreau, a w trzeciej występuje Anglik Joe Jackson, który właśnie wydał poświęcony Wielkiemu Jabłku znakomity album „Night & Day”. Przy stolikach zasiadają bohaterowie

wie filmów Scorsesego, Altmana, Allena czy Coppoli. Co więcej, w otwierającej album kompozycji „Newsroom Customers” pojawi się sam detektyw Philip Marlowe.

Do realizacji albumu Ed Motta zatrudnił najlepszych brazylijskich muzyków studyjnych, wokale nagrał w Los Angeles, dęciaki w Detroit, a orkiestrę smyczkową w Pradze. W nagraniach rozbrzmiewają Fender Rhodes, funkowy klawinety, róg, ksylofon i harfa. Całość podporządkowana jest nostalgicznemu klimatowi i porywającej perfekcji wykonawczej. Motta nie tylko wraca do swoich muzycznych korzeni, lecz także transponuje piękną przeszłość do dzisiejszych czasów. Vintage w najlepszym tego słowa znaczeniu. © ©



★★★★★
ED MOTTA
„BEHIND THE TEA CHRONICLES”
MPS



★★★★★
BLINK-182
„ONE MORE TIME...”
COLUMBIA

Na przełomie wieków byli królami pop punka. Różni głupów i świetnie się bawili. Na dziewiątym albumie są w oryginalnym składzie, wrócili do klasycznego brzmienia i nagrali list miłosny do fanów i do siebie nawzajem. Siedemnaście piosenek potwierdzających sens istnienia grupy.



★★★★★
DUFF MCKAGAN
„LIGHHOUSE”
BFD

Basista Guns N' Roses jest w głębi serca wrażliwym autorem piosenek. Album łączy punkrockowego ducha McKagana z jego życiowym spojrzeniem na świat. Wśród gości Jerry Cantrell z Alice In Chains, Slash i Iggy Pop. Zaskakująco dobry, korzenny album rockowy. © ©



Krzysztof Masłowski

Naród w napięciu czeka na nowy rząd, a na Wiertniczej pasjonują się tym, kto prowadzić będzie „Dzień dobry TVN”, bo może niekoniecznie Hubert Urbański, gdyż – jak słychać – Mateusz Hładki i Robert Stockinger też mają na to ochotę. A że z telewizjami witać ma się para, na razie damsko-męska, a jak będzie w przyszłości, to się okaże, wymieniane są jeszcze Dagmara Kaczmarek-Szałkow, Gabi Drzewiecka, a nawet Dorota Gardias. No, pasjonująca kwestia, nieprawdaż? Prawdaż. Nowi gospodarze TVN-owskiej telewizji śniadaniowej będą mogli wyrecytować, dajmy na to:

*Mordy, pyski, twarze, lica
W słusznej sprawie rozwrzeszczane:
Dla nas Kraj! Dla nas Stolica!
Wiwat wszystkie stany!
Wyleczymy wszystkich chorych,
Dobre mieć będziemy rządy,
Wytyczymy nowe tory,
Uniezależnimy sądy.*

Czy aby rzeczywiście tak będzie? Tak nas zapewniają rozliczne złotousty osoby. Ale czy wszystkim z nich można wierzyć? Niektórym z całą pewnością. Pracownia UCE Research orzekła oto, że prym wśród dziennikarzy zajmujących się polityką i sprawami społecznymi wiecie Anita Werner. A więc prowadząca „Fakty” jest nie tylko najwyższą dziennikarką telewizyjną, lecz także najbardziej wiarygodną, oczywiście zdaniem wyżej wymienionej Pracowni, która sama wiarygodna jest niczym najpoważniejszy obecnie kandydat na premiera, a ten – jak wieść niesie – jak żyje, nie powiedział słowa prawdy. Ale żeby pani Anita nie czuła się



FOT. ADRIAN STOK

osamotniona, jako drugi wóz rzetelności dziennikarskiej, tuż za nią, uplasował się jej redakcyjny kolega Grzegorz Kajdanowicz. Ich potencjalnym rywalom pozostaje powtarzanie tych słów:

*Nie wyznaczaj sobie zadań
Kto się nie wspiął – ten nie spada
A kto pragnie być na szczycie
Będzie spadał całe życie
Nie stać cię na luksus troski
Jesteś wszakże dziełem boskim
No a Boga przecież nie ma
Więc to tyle na ten temat.*

I dlatego, jak powtarzali wyborczy beneficjenci, przyszała właśnie pora, by Polskę odjanieprawlić, a katolików – zgodnie z wytyczną posła Nitrasy – odpiłować, tyle że nie z „pewnych”, ale ze wszystkich przywilejów, o ile takowe mają. Komu się nie podoba, niech słucha Radia Maryja i ogląda Telewizję Trwam – jak już musi. Ale kto się czuje Europejczykiem pełną gębą, zapamięta tę wskazówkę:

*Boga w sercu mam i dosyć. Po co chodzić do kościoła?
Muszę bardzo się pilnować! Mają tutaj taką listę!*

A wracając do zmian, to te spodziewane są i na dole, i na górze. Także tej najwyższej,

w samej Najjaśniejszej Unii, w której Komisję Europejską zastąpić ma wszechmocna Egzekutywa. Brzmi ona dziwnie znajomo. Ale co właściwie znaczy i znaczyć będzie? Na Wiertniczej wiedzą, ale – jak to miastowi – może powiedzą, a może nie, w niskim poważaniu mając zindoktrynowaną przez PiS-owskie Info ciemnotę. Niejeden redaktor z TVN z niekłamaną satysfakcją podśpiewuje więc:

*Na mnie i podobnych do mnie
przyszłość kraju dziś spoczywa!
Czy wy chociaż wiecie na wsi co to jest egzekutywa?*

Popytałem się w swoim wsiowym Ciemnogrodzie i, istotnie, wiedza na ten temat jest szczątkowa; najstarszym coś tam się przypomina, ale zaraz nadużywają słów powszechnie uznawanych za obelżywe. A młodzi się śmieją, bo telewizji nie oglądają żadnej i – jak usłyszałem – nie przejmują się zapowiedziami, że jednych wyrzucać będą oknem, a drugich wpuszczać kuchennymi drzwiami. Pewien młody intelektualista zanucił nawet:

Co nas obchodzić mogłoby w tym kraju,

*Gdzie przyjaciele z dala się obchodzą –
Czy się wrogowie starzy dogadają,
Kogo pogodzą, a komu dogadają.
Na co się jeszcze obrażać w ojczyźnie
Przeobrażonych i pookabrazanych,
Gdzie, jeśli ktoś cię przez przypadek
liźnie –
To, by otworzyć – nie zaleczyć –
rany.*

Rany Boskie, ktoś jeszcze zna utwory Jacka Kaczmarskiego? W końcu kto to taki? Rafał Brzozowski w „Jaka to melodia” jego piosenek przecież nie nadaje. Ktoś kiedyś nazwał go kabareciarzem, pewnie myśląc z Janem Kaczmarkiem, choć jednego i drugiego pokrywa gęsta mgła niepamięci. Za to w Telewizji Puls 2 wybrane kabarety postanowiły na nowo zinterpretować skecze, które sami uznali za kultowe. – Wielu ludzi wychowało się na nich – orzekł artysta Czarnecki zaproszony do programu przez Paranienormalnych. Po popisach tej i innych formacji, których nazw z litości nie wymienię, chciałoby się dodać: Niestety.

Bo zmienia się u nas wiele, tylko akurat nie to, czego byśmy sobie życzyli. Całkiem nie to. ©©



Trzeba było chronić



Kaja Godek

PiS przegrał nie dlatego, że nieskutecznie sięgnął po elektorat środka, co sugeruje pewna część komentatorów, ale dlatego, że rozjechał się w sprawach fundamentalnych. Między innymi w sprawie obrony życia

Lider, który dokonuje przełomowego kroku, a następnie lekko się cofa i zaczyna przeproszać, przestaje być liderem i traci poparcie. Tak zachował się PiS, gdy po historycznym

zwycięstwie cywilizacji życia w postaci wyroku TK o aborcji eugenicznej rozejrzał się wokół i postanowił przekonywać, że wcale nie jest aż tak bardzo za życiem. PiS, który chciał być liderem prawej strony sceny politycznej, zaczął pokazywać, że z własnym elektoratem ma tylko trochę wspólnego. Następnie obraził się, że tenże elektorat zaczął rozglądać się za kimś innym. To tak, jakby w sklepie wciskać klientowi produkt, który mu nie pasuje, a jednocześnie szantażować, że tego konkretnego produktu nie wolno nie kupić.

NEGOCJACJE Z TERRORYSTĄ

Cofnijmy się o trzy lata – do historycznego zwycięstwa sprawy pro-life, gdy Trybunał Konstytucyjny stwierdził, że liczne artykuły Konstytucji RP uniemożliwiają utrzymanie w prawie

eugenicznej selekcji i zabijania chorych dzieci. Powszechna euforia w obozie prawniczym w sposób naturalny zderzyła się z erupcją niezadowolenia ze strony aborcjonistów. Było to zjawisko łatwe do przewidzenia, o przebiegu typowym dla aborcyjnych protestów, wzmocnione miesiącami lockdownu, zakończone kompromitacją liderów. Ruch, który miał być emanacją żądań młodych kobiet, miał twarz niemłodej lesbijki, której żadna ciąża oczywiście nie groziła, a która to lesbijka rzadko formułowała zdania bez dosadnych wulgaryzmów. Groteska. Wybuch ulicznego buntu był też zjawiskiem fizjologicznym, które można było osłabić poprzez nieuleganie jego żądaniom.

Tymczasem obóz władzy zdecydował o podjęciu specyficznych negocjacji z terrorystą. Najpierw nie opublikował wyroku TK (potrzebne, aby wyrok wszedł



zji TK w Polsce. Amerykańscy obrońcy życia, których organizacje ustawiają republikanom listy wyborcze, a ich wpływy w Kongresie są naprawdę imponujące, patrzyli na Polskę z podziwem, a ich przywódcy stawali w kolejce po konsultacje do polskich obrońców życia.

A co z systematyczną pracą formacyjną, która była możliwa poprzez media publiczne? W zasadzie się nie odbyła. Pojedyncze filmy za życia (nieplanowane w dniu wyroku TK), niedawno w trakcie kampanii wyborczej film „Tętno”. Ich emisje były wielkimi wydarzeniami, szeroko komentowanymi. Dlaczego? Bo podobne treści w telewizji gościły rzadko. Temat aborcji pojawiał się w mediach publicznych sporadycznie i najczęściej w jednym celu: żeby pokazać, że Platforma Obywatelska jest gorsza od PiS. Polityczna instrumentalizacja fundamentalnej kwestii, którą jest bezpieczeństwo poczętych dzieci, była aż nadto widoczna. Towarzyszył jej specyficzny przekaz niczym środek terroru: musicie akceptować wszystkie nasze ruchy w sprawie aborcji, bo jak przyjdzie inna władza, to może być jeszcze gorzej. Stratedzy i spin doktorzy rządu nie zauważyli jednej rzeczy: oferty polityczne dla obrońców życia zaczęły się pojawiać. I były to alternatywy albo mające ochronę dzieci przed aborcją wprost w programie, albo przynajmniej dość wyraźnie głoszące, że taka ochrona jest konieczna.

I jeszcze co najmniej dwie akcje, które miały pomóc, a zostały przeprowadzone w takim momencie, że niesmak u katolickiego elektoratu tylko się zmógł. Pierwsza z nich to odpalona z wielką pompą obrona dobrego imienia św. Jana Pawła II. Rozpoczęła się w marcu dokładnie dzień po tym, jak Sejm odrzucił w pierwszym czytaniu projekt obywatelski „Aborcja to zabójstwo”, który dawał lepsze narzędzia do ścigania przestępczości aborcyjnej. Stu posłów koalicji rządzącej głosowało przeciw projektowi i chyba nie zdawali sobie sprawy, jak działają projekty obywatelskie. Otóż wprowadzenie do Sejmu takiej ustawy to wiele tygodni zbiorów podpisów, tytaniczna praca u podstaw, a w zbiórki zaangażowane są tysiące osób. Ci ludzie, widząc, że władza jednym ruchem wyrzuca efekt ich pracy do kosza, raczej tej władzy nie pokochają. Kto nie

Po wyroku Trybunału Konstytucyjnego **pol ski rząd** miał rzadką okazję stać się liderem pro-life na świecie

rozumie tak prostego mechanizmu, ten po prostu traci wyborców.

Rzecz charakterystyczna – w okresie po odrzuceniu ustawy spotykaliśmy się czasem z zarzutem, że „walczymy z PiS” (kampania „Sejm bez aborderów”). Tymczasem informacja, którzy politycy odrzucili ustawę, dotyczyła wszystkich posłów, niezależnie od przynależności partyjnej. Okazuje się zatem, że o ile posłowie Lewicy, Koalicji Obywatelskiej nie mieli problemu z głosowaniem za aborcją, o tyle posłowie PiS z jednej strony zagłosowali źle, z drugiej – oczekiwali, że wyborcy się o tym nie dowiedzą.

Obrona czci papieża Polaka – dzień po głosowaniu wbrew jego nauczaniu – wypadła więc w takim terminie, że polityczna hipokryzja stała się aż nadto widoczna.

JEDEN Z NAJWIĘKSZYCH BŁĘDÓW

Druga niestosowność wiąże się z przyjazdem delegacji rządowej na uroczystości beatyfikacyjne rodziny Ulmów. Wrzesień był już czasem intensywnej kampanii wyborczej, więc politycy ochoczo ruszyli do Markowej. W łóży rządowej zasiadła m.in. minister zdrowia Katarzyna Sójka, a już dwa dni po powrocie do Warszawy wydała zarządzenie o przedłużeniu prac zespołu mającego opracowywać wytyczne zwiększające dostęp do aborcji. Wyjątkowa chwila, gdy Kościół po raz pierwszy wynosi do chwały ołtarzy dziecko jeszcze nienarodzone – w zderzeniu z pracami nad aborcją. Czy w ten sposób PiS chciał budować zaufanie wśród wyborców pro-life?

Powołanie zespołu do spraw wytycznych do aborcji to zresztą jeden z większych błędów obozu rządzącego. Pojawiają się nieoficjalne głosy, że przepływ elektoratu pro-life nie był analizowany w trakcie kampanii. W te zapewnienia nie da się uwierzyć. Każdy ruch kilka miesięcy przed wyborami ma znaczenie, szczególnie gdy ten ruch jest robiony

w życie), potem sam prezydent wysłał do Sejmu ustawę przywracającą eugenikę w wersji teoretycznej okrojonej, w praktyce ponownie dającej możliwości szerokiej interpretacji. W prezydenckim projekcie zawarto możliwość zabijania dzieci, które są chore letalnie, a definicja pojęcia była nieostra. Projekt nigdy nie został skierowany do pierwszego czytania, ale leżał do końca kadencji Sejmu niewycofywany – jakby na wszelki wypadek. Gesty życzliwości wobec ulicznych awanturników dawały im paliwo i utwierdzały w przekonaniu, że trzeba kontynuować akcje, bo przynoszą efekty.

Po wyroku TK polski rząd miał rzadką okazję stać się liderem pro-life na świecie. Amerykanie do dziś zazdroszczą Polakom, że to nie oni byli pierwsi, bo Sąd Najwyższy USA zniósł federalne prawo do aborcji dopiero półtora roku po decy-

■ w blasku fleszy. Zespół kierowany przez krajowego konsultanta do spraw ginekologii i położnictwa prof. Krzysztofa Czajkowskiego miał inaugurację na konferencji prasowej z udziałem swojego nowo mianowanego szefa oraz samego ministra zdrowia Adama Niedzielskiego. Był czerwiec – dokładnie cztery miesiące do wyborów.

Przed dziennikarzami padły deklaracje o konieczności interpretacji prawa – tak by „zagrożenie zdrowia lub życia kobiety” odnosiło się także do samopoczucia psychicznego. Która kobieta w ciąży nie doświadcza mniejszego lub większego kryzysu? Zmiany hormonalne, nowa sytuacja, czasem zaskoczenie samym faktem zajścia w ciążę, konieczność reorganizacji życia, może zła reakcja otoczenia (np. porzucenie przez ojca dziecka), złe wyniki badań matki lub dziecka – wszystko może być przyczyną złego samopoczucia psychicznego, a nawet stanów depresyjnych. Wystarczy wtedy zadeklarować u psychiatry, że pojawiają się myśli samobójcze, i mamy papier na aborcję. Tę ścieżkę Ministerstwo Zdrowia postanowiło wykorzystać do obejścia dwóch wyroków Trybunału Konstytucyjnego – z 1997 r. (o aborcji z przyczyn społecznych) oraz 2020 r. (o eugenicie).

Logika złego stanu psychicznego jest zresztą drogą do eutanazji niemowląt. Od 10 do 22 proc. matek doświadcza depresji poporodowej. U części dochodzi do poważnych zaburzeń mogących prowadzić do samobójstwa lub samobójstwa rozszerzonego. Oficjalne serwisy rządowe podają, że w podobnych przypadkach hospitalizuje się matkę, aby uniknąć ryzyka dla dziecka. Nieco młodsze dzieci natomiast mają być abortowane. Pomysł z piekła rodem.

Do listy dziwnych ruchów trzeba też dodać negocjacje nad traktatem pandemicznym Światowej Organizacji Zdrowia – oddającym część kompetencji państwa instytucji międzynarodowej, zresztą instytucji zlobbowanej przez przemysł farmaceutyczny i kilkakrotnie skompromitowanej. Biorąc pod uwagę, że WHO przez wszystkie przypadki odmienia „prawa reprodukcyjne” i „zdrowie seksualne” – ustalanie z podobną organizacją zarządzania jakąkolwiek częścią polityki musi budzić zaniepokojenie konserwatywnych wyborców. Szczególnie gdy wia-

Głos pro-life ma znaczenie i nie da się go oddać na formację po cichu wspierając aborcję

domości o spotkaniach polskich urzędników przekazywane są w taki sposób, że widać, że ktoś gdzieś był, z kimś z WHO się spotkał, o czymś rozmawiał, ale treść rozmów lub ewentualnych ustaleń jest zρέcznie pomijana.

SZCZEPIONKI SKAŻONE ABORCJĄ

Ogłoszenie pandemii COVID-19 i wojna na Ukrainie to dwa ważne wydarzenia ostatnich lat i w obu przypadkach były tam wątki związane z aborcją.

Szczepionki zakupione przez rząd były skażone aborcją. Początkowo próbowano zażegnać ten kryzys, informując, że jedynie niektóre preparaty produkowane są w oparciu o linie płodowe. Dość szybko wyszło na jaw, że do produkcji wszystkich szczepionek na jakimś etapie produkcji lub testów używano linii komórkowych HEK-293 (z nerki 12-tygodniowego płodu) lub PER.C6 (z siatkówki oka 18-tygodniowego płodu). Szokujące informacje w połączeniu z mniej lub bardziej formalnym przymusem szczepień – tak nie pozyskuje się wyborców.

W pierwszych tygodniach masowego napływu obywateli Ukrainy środowiska feministyczne wymyśliły, że wykorzystają historie o masowych gwałtach wojennych, aby w Polsce przeprowadzać aborcje (rzekomo z gwałtu). Pierwsze szpitale szykowały się już do wdrożenia rozwiązań, akcji przewodziły władze Warszawy będące organem prowadzącym dla kilku stołecznych lecznic.

Równocześnie grupy aborcjonistek ruszyły na granicę z informacjami po ukraińsku, jak legalnie przerwać ciążę w Polsce. Wyprawom towarzyszyła narracja, że nie można aborcji nie oferować, skoro Ukrainki miały ją bez ograniczeń w swojej ojczyźnie. Gdy obrońcy życia rozdali własne materiały ze wskazówkami, aby próby pomocy w aborcji zgłaszać na policję, gdyż zabijanie dzieci jest co do zasady nielegalne – Ministerstwo Zdrowia wysto-

sowało zaskakujące pismo, żeby dodali w ulotkach informację, kiedy aborcja jest legalna i jak ją uzyskać. Oczekiwało zatem działania sprzecznego z ideą pro-life jako taką.

NIEBEZPIECZNA MNIEJSZOŚĆ

Imigracja z Ukrainy (kraju radykalnie proaborcyjnego) od początku jest szansą dla środowisk lewackich. Dość wspomnieć o blokach ukraińskich na marszach LGBT („Warszawa-Kijów”, „Katowice-Odesa Pride”) czy próbach budowania zaplecza społecznego do legalizacji aborcji na życzenie. Mniejszość ta – na co wskazuje wielu komentatorów – z czasem może zyskać prawa wyborcze i zacząć bezpośrednio uczestniczyć w życiu politycznym w Polsce. Mniejszości mają zaś tendencję do głosowania na lewicę. Nawet Meksykanie w USA – imigranci z kraju raczej tradycyjnego i katolickiego – głosują na demokratów, bo lepszy dla nich kosmopolityzm niż hasła narodowe.

W ostatnich wyborach 355 tys. głosów dostała mało znana partia Polska Jest Jedna. Poza liderem – bez rozpoznawalnych działaczy. Wystarczyły katolickie, czasem wręcz mistyczne hasła. Z kolei liderzy Konfederacji postanowili iść do centrum i zdziwili się, bo ich ruch wzmocnił niewielką frakcję konserwatywnej Korony Grzegorza Brauna. Zdegustowanie proaborcyjnymi wypowiedziami niektórych liderów Konfederacji było powszechne. Dodajmy do tego sygnały, że wiele osób o poglądach tradycyjnych po prostu zostało w domach, co przy wyjątkowej mobilizacji elektoratu opozycji spowodowało kłopot dla PiS.

Trudno uwierzyć, że sztab na Nowogrodzkiej nie analizował przepływów elektoratu pro-life. Jeśli naprawdę nie było takich analiz, to może pora zacząć je robić. A jeśli analizy były, to chyba stwierdzono błędnie, że nie ma wielu chętnych na obronę życia. Po wyborach zaś okazało się, że ta mniejszość miała na wybory zasadniczy wpływ. Głos pro-life ma znaczenie i nie da się go oddać na formację po cichu wspierając aborcję. Dobrze, jeśli politycy wreszcie to zrozumieją.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest założycielką Fundacji Życie i Rodzina, pełnomocnikiem

inicjatywy ustawodawczej Zatrzymaj Aborcję.

Homoseksualny problem Kościoła



Paweł Chmielewski

Niestety, odejście bp. Grzegorza Kaszaka to bynajmniej nie koniec problemu. To tylko jedna wygrana bitwa w wojnie przeciwko zgorzleniom – wojnie, która wydaje się nie mieć końca

24 października Nuncjatura Apostolska w Polsce poinformowała, że Ojciec Święty przyjął rezygnację bp. Grzegorza Kaszaka z Sosnowca. Tymczasowo, jako administrator apostolski, diecezję będzie kierować abp Adrian Galbas z Katowic; w przyszłości zostanie wybrany nowy biskup (o ile ktokolwiek zechce podjąć się tego trudnego zadania, jakim będzie uprzątnięcie narosłych przez lata problemów). Nuncjatura nie wspomniała ani słowem o przyczynach rezygnacji. Nie zająknęli się na ten temat również bp Kaszak w liście pożegnalnym ani abp Galbas w liście powitalnym. Z jednej strony to uwłaczające i w pewnym sensie głęboko „klerykalne” – wiernych potraktowano jak dzieci, którym nie trzeba wyjaśniać motywów podejmowanych decyzji. Z drugiej strony, może po prostu nikt nie chce mówić o sprawie głośno, bo wstyd może być nie tylko bp. Kaszakowi, lecz także nuncjaturze i tym polskim hierarchom,

którzy od lat milcząco tolerowali sytuację w Sosnowcu.

O tym, co tam się działo, pisałem obszernie w „Do Rzeczy” kilka tygodni temu [„DRz” nr 40/2023 – przyp. red.]. Przypomnę tylko krótko kilka najważniejszych faktów. W 2009 r. Grzegorz Kaszak został biskupem diecezji sosnowieckiej. Rok później media poinformowały, że ówczesny rektor seminarium diecezjalnego odwiedza gejowskie kluby. Rektor został usunięty z funkcji dopiero półtora roku później. W 2013 r. seminarium zostało przeniesione – dziennikarze pisali, że przyczyną były skandale homoseksualne. W marcu tego roku wydarzyła się tragedia: według medialnych relacji kapłan zabił diakona i popełnił samobójstwo. Księża z diecezji, prosząc o anonimowość, informowali mnie, że poszło o sprawy obyczajowe. Wreszcie we wrześniu ujawniono homoseksualną orgię w Dąbrowie Górniczej; jej gospodarzem był wpływowy kapłan, właśnie z diecezji sosnowieckiej. Gdy pytałem

księży – zarówno z Sosnowca, jak i z innych miejsc – dlaczego bp Kaszak przez tyle lat tolerował takie patologie, patrzyli na mnie jak na idiotę i uśmiechali się z politowaniem, tak jakby przyczyny tego stanu rzeczy były po prostu oczywiste.

GŁĘBOKIE PATOLOGIE

Formalnie bp Kaszak ustąpił sam, bo w Kościele katolickim biskupa nie można tak po prostu usunąć z urzędu. Wszystko wskazuje jednak na to, że Stolica Apostolska de facto wymusiła taki krok. Sankcje wobec biskupa nie są w Polsce niczym nowym; w ostatnich latach Watykan ukarał sporą grupę hierarchów, głównie w sprawach o tuszowanie nadużyć. W przypadku Sosnowca chodzi co do zasady o tolerowanie struktur homoseksualnych.

Można tu przywołać dwa precedensy z przeszłości. Pierwszym z nich jest sprawa abp. Juliusza Paetza, który w 2002 r. złożył rezygnację z urzędu metropolity Poznania, przyjętą przez św. Jana Pawła II. Różnica polega na tym, że to Paetz osobiście był oskarżany o popełnianie aktów homoseksualnych z dorosłymi klerykami (na marginesie należy przypominać, że jego sprawa do dzisiaj nie została wyjaśniona, a wokół poczynąń hierarchy panuje w episkopacie zмова milczenia).

W przypadku bp. Kaszaka publicznie nie pojawiły się nigdy podobne oskarżenia; chodziłoby raczej o ogólny klimat rozpasania w diecezji. Bliższą analogię stanowi zatem przypadek biskupa kaliskiego Edwarda Jania, usuniętego z diecezji w 2020 r. Hierarchę oskarżano m.in. o tolerowanie praktyk gejowskich w seminarium kaliskim, a także o naciskanie na wyświęcenie kleryka, który zarówno miał być homoseksualistą, jak i posiadać pornografię dziecięcą; jednak i w przypadku bp. Jania problemów było więcej niż tylko homoseksualnej natury. Znamienne jednak, że w Kaliszu – tak jak w Sosnowcu – zgorzelenie dotyczyło również seminarium, które wskutek przeprowadzonych śledztw zostało zamknięte.

Sytuację w diecezji Sosnowca lepiej można zrozumieć, porównując ją do tej, która panowała przed laty w Płocku. Głęboko patologiczną atmosferę kościelną w tamtej diecezji media opisywały od 2007 r.; skandale dotyczyły przede wszystkim okresu posługi Stanisława Wielgusa, ■

■ biskupa płockiego w latach 1999–2006. Chodziło o wykorzystywanie seksualne nieletnich, nakłanianie do zachowań homoseksualnych, molestowanie kleryków i ministrantów, pornografię (również dziecięcą), wreszcie o potężne malwersacje finansowe w diecezjalnej Caritas. Media pisały o pełnej świadomości kurii biskupiej, która nie robiła zupełnie nic, by to bagno oczyścić. Wielu duchownych z Płocka, głęboko uwikłanych w zbrodzone praktyki, nie zostało nigdy w żaden sposób ukaranych; trafiali do innych diecezji, np. do toruńskiej, gdzie mogli liczyć na dobre przyjęcie. Większość z nich już nie żyje, ale są i tacy, którzy wciąż robią karierę; jeden z wymienianych przez media jako ważny uczestnik homoseksualnej kliki w Płocku wciąż robi karierę uniwersytecką zarówno w Polsce, jak i w Rzymie. Sam abp Wielgus doczekał się jeszcze awansu i przeniesienia do Warszawy, jakkolwiek po wyjściu na jaw faktu współpracy z SB ustąpił.

Oczywiście problemów natury homoseksualnej jest w Kościele w Polsce znacznie więcej. Czytelnicy „Do Rzeczy” pamiętają na pewno sprawę ks. Andrzeja Dymera ze Szczecina, który został uznany za winnego wykorzystywania seksualnego nastolatka, dziś franciszkanina Tarsycjusza Krasuckiego. Pomimo istnienia wyroków potwierdzających jego winę ks. Andrzej Dyrer spokojnie pracował w diecezji; stwierdzona sądowo przeszłość nie przeszkadzała abp. Stanisławowi Dziędzie korzystać z jego usług jako specjalisty w sprawach finansowych. Niedobra sytuacja panuje też we Wrocławiu, gdzie kilka lat temu symbolicznie ukarano nieżyjącego już kard. Henryka Gulbinowicza. O ile wciąż toczy się spór o życiorys samego kardynała, o tyle nie ulega wątpliwości, że pod władzą jego i jego następców karierę udało się zrobić wielu księżom homoseksualistom. Dziś jednemu z nich, wpływowemu profesorowi, grunt nieomal pali się pod nogami; lokalne media regularnie publikują różne informacje na jego temat, choć te szybko znikają z sieci ze względów procesowych. Księża z diecezji nie mają jednak wątpliwości, że prędzej czy później rzecz wyjdzie na jaw, wywołując kolejny ogólnopolski skandal.

PRZYKŁAD IDZIE Z SAMEJ GÓRY

W samym Sosnowcu jest przynajmniej jakaś nadzieja na poprawę. Usunię-

cie bp. Grzegorza Kaszaka, dokonane najpewniej również dzięki zakulisowym działaniom kilku polskich biskupów, pokazuje, że świadomość wagi problemu nieco się w naszym kraju zmieniła. Nie oznacza to jeszcze automatycznego przełomu. Na to wpływa również sytuacja w Watykanie, która pomimo dobrego PR, jakim cieszy się w mediach lewicowych papież Franciszek, jest zdecydowanie daleka od ideału.

Przecież Grzegorz Kaszak, zanim trafił do Sosnowca, przez kilka lat pracował w Watykanie u boku kolumbijskiego kardynała Alfonsa Lópeza Trujillo, którego bujne homoseksualne życie opisał w książce „Sodoma” Frédéric Martel. Również Juliusz Paetz przez kilkanaście lat robił karierę w Watykanie, zanim został odesłany do Łomży. Jest tajemnicą poliszynela, że o jego skłonnościach wiadano w Rzymie; były tolerowane tak długo, jak długo nie sprawiały zbyt dużych problemów. Nie chodzi tylko o personalia; kłopotem są również wzorce zachowań. Polaków zgorszyła niedawna księżowska orgia w Dąbrowie Górniczej, ale w zepsutych środowiskach klerykalnych w Rzymie takie rzeczy nie są zupełnie wyjątkowe. W 2017 r. włoski dziennik „Il Fatto Quotidiano” ze szczegółami opisał podobną imprezę, która miała odbyć się w mieszkaniu położonym w tym samym budynku, w którym znajdują się biura Kongregacji Nauki Wiary. Lokal należał do prominentnego księdza, osobistego sekretarza kard. Francesca Coccopalmerio, wówczas pełniącego urząd prefekta Papieskiej Rady ds. Tekstów Prawnych. Do mieszkania – pisał dziennik – weszła watykańska żandarmeria w związku ze skargami innych lokatorów na hałasy. Sekretarz miał trafić do kliniki Piusa XI, żeby przejść detoksykację; podczas homoseksualnej orgii miał zażywać kokainę.

Sam Franciszek zaledwie kilka miesięcy po przejęciu władzy mówił o istnieniu w Watykanie homoseksualnego lobby. Wypowiedział się w ten sposób, zapoznawszy się z tajnym raportem, który w 2012 r. przygotowała komisja watykańska powołana przez Benedykta XVI po wybuchu afery Vatileaks; komisji przewodniczył kard. Julián Herranz Casado. Niestety, nie wydaje się, by Franciszek chciał na poważnie uporać się z proble-

mem. Może na to wpływać jego osobisty stosunek do homoseksualnych skłonności duchownych. Zapytany o ten problem u progu pontyfikatu odpowiedział słynnymi słowami: „Kim jestem, żeby osądzać?”.

W praktyce tę szczególną niechęć do osądzania pokazała sprawa bp. Oscara Zanchetty. Zanchetta, dobry znajomy papieża Bergoglia sprzed objęcia papiestwa, był jedną z pierwszych nominacji Franciszka; trafił do diecezji Orán w Argentynie, gdzie od razu zabrał się do wykorzystywania seksualnego seminarzystów. Po ujawnieniu kompromitujących go zdjęć papież zaprosił go do Watykanu i dał mu dobre stanowisko. Chronił Zanchettę tak długo, jak mógł; w końcu biskup został skazany przez sąd w Argentynie i trafił do więzienia, ale... karę zamieniono wkrótce na pobyt w domu księży emerytów, rzekomo z powodu zdrowia Zanchetty.

Inny przykład? W 2013 r. Kongregacja Nauki Wiary prowadziła śledztwo w sprawie brytyjskiego kardynała Cormaca Murphy’ego-O’Connora, jednego z głównych elektorów Franciszka. Chodziło o oskarżenia dotyczące tuszowania przestępstw seksualnych jednego z podległych mu księży, Michaela Hilla. Śledztwo nagle się urwało. Dziennikarz Marco Tosatti w książce „Watykańska galeria osobliwości” stwierdził, że była to osobista decyzja Franciszka, który przez telefon nakazał ówczesnemu prefektowi Kongregacji, kard. Gerhardowi Müllerowi, bezzwłoczne zatrzymanie wszelkich działań w sprawie Murphy’ego-O’Connora.

Takie problemy nie dotyczą tylko pierwszych lat pontyfikatu. Wielu komentatorów łapało się za głowę, gdy 1 lipca papież Franciszek wręczył nominację na prefekta Dykasterii Nauki Wiary Victorowi Manuelowi Fernándezowi, arcybiskupowi La Platy w Argentynie – i nie chodziło tylko o jego wątpliwą kompetencje doktrynalne. Fernández, podobnie jak Murphy-O’Connor, był oskarżany o tuszowanie przestępstw seksualnych księdza wykorzystującego seksualnie nieletnich. Przeciwno kapłanowi toczyło się postępowanie; ostatecznie mężczyzna odebrał sobie życie. Fernández w niedawnych wywiadach przyznał, że nie zachował się wtedy tak jak trzeba. Co z tego? Dykasteria Nauki Wiary, którą Franciszek powierzył pieczy Fernándezowi, ma dwie



sięcy temu nagrał film, w którym chwalił dzieła artystyczne Rupnika. We wrześniu spotkał się z dyrektorką Centrum Aletti, instytutu artystyczno-teologicznego, który założył Rupnik. Dyrektorka tej instytucji broniła Rupnika, uznając stawiane mu zarzuty za zniesławienie. Po spotkaniu służby prasowe wikariatu diecezji rzymskiej wydały oświadczenie, które wyrażało solidarność z Centrum Aletti i marginalizowało oskarżenia pod adresem Rupnika. Wywołało to oburzenie; zakonnice wykorzystane seksualnie przez byłego jezuitę napisały list otwarty, w którym wyrażały swoją niezgodę na działania papieża. A jednak pod koniec października Rupnik został przyjęty do posługi w swojej macierzystej diecezji Koper w Słowenii... Dopiero po tym wydarzeniu Franciszek zareagował i polecił Dykasterii Nauki Wiary wszczęcie śledztwa w sprawie kapłana.

WOJNA BEZ KOŃCA

Biorąc to wszystko pod uwagę, trudno uznać, by Stolica Apostolska mogła dziś stanowić świetlany wzór do naśladowania w sprawie walki z przestępstwami seksualnymi. Tym bardziej cieszy, że pomimo takiego klimatu w Rzymie udało się doprowadzić do zmiany w diecezji sosnowieckiej. Niestety, odejście bp. Grzegorza Kaszaka to bynajmniej nie koniec problemu; to tylko jedna wygrana bitwa w wojnie przeciwko zgorzleniom; wojnie, która wydaje się nie mieć końca. O ile w przypadku wykorzystywania nieletnich można liczyć na pomoc państwowych organów ścigania, o tyle w przypadku rozpusty homoseksualnej między dorosłymi mężczyznami już nie; a to przecież był i pozostaje największy problem moralny części katolickiego kleru. Od strony formalnej rozwiązanie jest dość proste, bo aktualne przepisy kościelne zabraniają udzielania święceń kapłańskich księżom o skłonnościach homoseksualnych. Można byłoby wprowadzić analogiczne przepisy odnośnie do kandydatów na biskupów. Niestety, prawo to jedno – kluczowa jest wola jego egzekwowania, a dziś jej po prostu brakuje. Rolą świeckich i zdrowej, przecież przeważającej części duchowieństwa jest zadbać o to, by to się zmieniło.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

sekcje: doktrynalną i dyscyplinarną. Jako że Fernández ewidentnie nie nadaje się do tego, by nadzorować postępowania w sprawie nadużyć seksualnych, Franciszek... po prostu zwolnił go z obowiązku zajmowania się tą problematyką. To sytuacja bez precedensu: szef watykańskiego urzędu programowo nie kontroluje prac formalnie podległych sobie pracowników.

Cały czas skandal wzbudza też sposób działania papieża w sprawie ks. Marko Rupnika, słoweńskiego twórcy mozaik, oskarżanego o wykorzystywanie seksu-

alne zakonnic. Rupnik miał podejmować z nimi praktyki erotyczne, zasłaniając się swoistym „mystycyzmem artystycznym”. W 2020 r. został ekskomunikowany, bo wyszło na jaw, że udzielił rozgrzeszenia zakonnicy, która grzesznych czynów dopuściła się... właśnie z nim. Ekskomunikacja została bardzo szybko zniesiona, najprawdopodobniej pod naciskiem z Rzymu. W czerwcu tego roku Rupnik został wyrzucony z Towarzystwa Jezusowego. Pomimo tego Franciszek bardzo długo wspierał jezuitę. Jeszcze kilka mie-

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Gdyby nie masakra na Wybrzeżu w grudniu 1970 r., nie doszłoby w Polsce do produkcji aut osobowych dla prywatnych klientów?

PRZEMYSŁAW SEMCZUK: To śmiała teza, która zapewne wzbudzi reakcję historyków. Jednak uważam, że jest dowodem przygotowań do przejęcia władzy przez Gierka. Jak inaczej wytłumaczyć, że jeszcze latem 1970 r. wysłał do Turynu swojego człowieka, aby ustalił z prezesem Fiata Giovannim Agnelli zakup licencji na mały samochód popularny (tak go początkowo nazywano)? Gierek nie miał wtedy pojęcia, o jaki model chodzi. Zresztą to nie miało wtedy żadnego znaczenia. Jeszcze nie podpisano umowy, jednak wystarczyło ustne zapewnienie. Zatem Gierek musiał się liczyć z tym, że Gomułka upadnie. I wbrew temu, co pokazano niedawno w karykaturalnym filmie „Gierek”, nikt go nie zachęcał i nie przekonywał do objęcia stanowiska pierwszego sekretarza. Zresztą pokazany w filmie wątek zakupu licencji na Fiata 126p to również parodia niezgodna z faktami historycznymi.

Dlaczego akurat nabyto licencję od włoskiego koncernu motoryzacyjnego?

Po pierwsze, współpraca z Fiatem miała długą historię, sięgającą jeszcze dwudziestolecia międzywojennego. Po drugie, samochody oferowane przez inne koncerny były bardziej skomplikowane, a co za tym idzie – droższe zarówno w produkcji, jak i dla nabywców. Dodam, że były to starsze modele, a Fiat 126p stanowił nową konstrukcję. I tu wielu czytelników zaprotestuje. Tak, pamiętam, że to odświeżony Fiat 500. Ale to nie był – jak to dziś nazywamy – face lifting, lecz nowe auto, oparte na starej koncepcji, które wywołało furorę na Zachodzie. I po trzecie, najważniejsze, Gierek nie miał pieniędzy. Podczas wspomnianego spotkania w Turynie padło pytanie, czy zakup licencji będziemy mogli spłacić produkowanymi u nas samochodami i silnikami. I tak wracamy do poprzedniego pytania. Gdyby Gierek przejął władzę pół roku później, malucha by nie było. Po prostu Włosi mieliby u siebie już kilka linii produkcyjnych i nasze silniki nie byłyby im już potrzebne.



Z Przemysławem Semczukiem, dziennikarzem i pisarzem rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Samochód dla Kowalskiego

JAK MALUCH STAŁ SIĘ MODNYM KLASYKIEM

Pierwsza publiczna prezentacja wprowadzonego do produkcji Fiata 126 p, Warszawa, 1972 r. FOT. EDMUND UCHYMAK/CAF/PAP



czywistości stanowiły promil sprzedawanych samochodów. Talon wcale nie oznaczał, że samochód się dostawało. Słowo „dostać” miało wtedy inne znaczenie. „Dostałem herbatę” oznaczało, że udało się kupić herbatę. Podobnie talon. Uprawniał do zakupu poza kolejnością, jednak po zapłaceniu pełnej kwoty. A to się liczyło, bo produkcja nie zaspokajała zapotrzebowania. Zdarzało się, że talon otrzymywali ludzie, którzy nie potrzebowali samochodu i/lub nie mieli pieniędzy. Pożyczali, kupowali malucha i jechali na giełdę, gdzie był wart niemal dwa razy więcej niż w Polmozbycie. Właśnie dlatego, że nie można go było kupić. I druga sprawa: talony otrzymywali dziennikarze, lekarze, weterynarze, geodeci. Wszyscy, dla których samochód był narzędziem pracy. Przy okazji były narzędziem wpływu. Niepokorny dziennikarz nie miał szans na talon. To mocno motywowało do właściwej postawy wobec władz.

Sprzedawano go ratalnie. Z racji wysokiej na przeciętną kieszeń ceny?

Paradoksalnie odwrotnie, aby wyrównać albo nawet dać szansę tym, których nie było stać na kupno samochodu. Dzisiaj uważamy, że w PRL ludzie byli biedni. Zarabiali 20 dolarów amerykańskich miesięcznie. Istniała jednak spora grupa, która mogła od razu zapłacić pełną kwotę. Przedpłaty stanowiły sposób, aby ustawić ich w kolejce razem z robotnikami, którym też dano szansę. Choć robotnik i tak musiał czekać. Dzisiaj biorąc samochód na raty, auto mamy od razu i spłacamy. Przedpłata oznaczała spłacanie przez kilka lat, by na koniec odebrać auto. Dlaczego? Znowu ekonomia. Rozdawnictwo Gierka powodowało nadmiar pustego pieniądza na rynku. Regularne oszczędzanie likwidowało nawis inflacyjny. Jednocześnie państwo zaciągało darmowy kredyt u obywateli. Bo nie chodzi tu tylko o samochód. Tak samo wpłacało się na mieszkanie.

Malucha można też było wygrać na loterii...

To był sposób na promocję. Tylko czego? Bo wóz nie potrzebował reklamy i w PRL nie był reklamowany. Ludzie kupowali losy, licząc na wygraną. Oczywiście szanse mieli niewielkie, gdyż do wygrania było ledwie kilka samochodów. A wartość sprzedanych losów wystarczyłaby na kilka

tysięcy. Poza tym państwo miało monopol na hazard: totolotek i regionalne loterie. Jednak w socjalistycznym społeczeństwie trzeba to było jakoś ładnie opakować, bo przecież homo sovieticus miał mocny kręgosłup moralny. Dlatego dochód z loterii trafiał na szczytny cel. Pieniądze przeznaczano na odbudowę Zamku Królewskiego. Znaleźli się jednak spryciarze, którzy fałszowali losy i odbierali wygraną. Po jakimś czasie zgłaszał się właściciel prawdziwego losu. I wtedy zaczynało się dochodzenie. Służby kryminalne okazały się wyjątkowo skuteczne i bardzo szybko ujawniały oszustwo. Przestępcy trafiali za kratki, co skrzętnie nagłaśniano, żeby odstraszyć kolejnych amatorów szybkiego zdobycia samochodu.

Pełnił on funkcję polskiego okna na świat?

Stał się tym samym, czym volkswagen „garbus” dla Niemców, citroën 2CV dla Francuzów i ford T dla Amerykanów. Samochód daje niezależność, pozwala na swobodne przemieszczanie. Na dotarcie tam, dokąd nie jeździ komunikacja. Na grzyby można było pojechać samemu, a nie zakładowym autobusem. I wreszcie wybrać się za granicę. Gierk był dobrym obserwatorem. Wiedział, że to się sprawdziło na Zachodzie. Poza tym ludzie mieli dość zaciskania pasa. Trzeba było podnieść standard życia, a nie karmić masy pracujące informacjami o sukcesach w oddaniu kolejnego wielkiego pieca. Stąd również rozluźnienie w podróżowaniu za granicę. Dotąd była możliwa wyłącznie z Orbisem. Krążyła nawet anegdota o tym, jak polski kierowca w latach 60. zaparkował nowiutką warszawę w centrum Wiednia. Od razu podszedł do niego jakiś mężczyzna i zapytał, jak udało mu się zachować w takim stanie zabytkowy wóz. Maluchami rozjechaliśmy się po kraju i po Europie.

A nawet świecie...

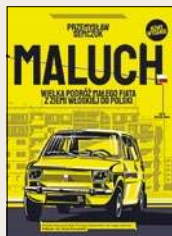
Znalazło się trzech śmiałków, którzy w 1976 r. postanowili wyruszyć dwoma maluchami w podróż dookoła kuli ziemskiej. Przejechali spory kawał Europy, później przez Turcję, Iran, Afganistan i Pakistan dotarli do Indii. Statkiem wrócili do Europy i na pokładzie kolejnego trafili do Nowego Jorku. Udało im się dojechać do Panamy. Przed paroma laty o tej podróży opowiadał mi Janusz Chmiel, jeden z uczestników. Aż trudno uwierzyć, ile

Zrazu fiata 126p mogły kupić jedynie uprzywilejowane grupy zawodowe?

To nieprawda. Maluch był symbolem propagandy kreującej zmiany. Aby robotnicy uwierzyli, że to samochód dla mas, musiał od początku trafiać do zwykłych obywateli. Inaczej nikt by w to nie uwierzył. Wśród osób, które wpłaciły na przedpłaty pełną kwotę, rozlosowano auta z pierwszej produkcji. Fiaciki przydzielono również wykonującym je robotnikom. Mówiąc „przydzielono”, należy dodać, że nie rozdano. Szczęśliwcy musieli za nie zapłacić.

Kto decydował o rozdawnictwie talonów na ten pojazd?

Oczywiście partyjni decydenci. Talony to kolejny mityczny symbol PRL. W rze-



PRZEMYSŁAW SEMCZUK
„MALUCH”
30. PLENUM
SPÓŁDZIELNI
ZENUM

■ trzeba było odwagi, aby ruszyć w taką drogę z paroma częściami zamiennymi, mając w kieszeni ledwie kilkaset dolarów. I tu kolejna anegdota, nawet dwie. Najpierw władze nie chciały im dać paszportów. Bo Chmiel nielegalnie przedłużył poprzedni wyjazd turystyczny, by pracować na Zachodzie. Stąd miał pieniądze na malucha. Pomógł syn ówczesnego premiera, kierowca rajdowy Andrzej Jaroszewicz, udzielając rekomendacji. Później chłopcy zebrali o części zamienne. Pomogli centrale handlu i Polmozbyt. Fabryka Samochodów Małolitrażowych odmówiła. Gdy wrócili do kraju i wjechali na krakowski Rynek Główny, na huczonym powitaniu podróżników pojawił się przedstawiciel FSM. Wręczył im w nagrodę torbę porządkowników i długopisów!

Ale maluch trafiał także na eksport...

Początkowo do tzw. krajów demokracji ludowej, lecz stał się także niezwykle popularny w Europie Zachodniej. Gdy Włosi wstrzymali produkcję, FSM otrzymała zgodę na eksport do Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii. I to za twardą walutę. Z tego powodu dostępność na krajowym rynku spadła. Gdy w latach 80. zaczął się kryzys ekonomiczny, został ważnym towarem barterowym. Za maluchy kupowano deficytowe towary. Węgrzy „płacili” konserwami mięsnymi, pastą do zębów, dżemami. Wszystkim, czego brakowało na naszym rynku.

Uchodził za łatwego w obsłudze i naprawie. Ma pan osobiste wspomnienia związane z tym autem?

To było jedno z założeń. Kowalski miał sobie sam poradzić z większością awarii. I to się sprawdziło. Oczywiście funkcjonowała sieć Polmozbyt, mająca serwisować fiaciki. Mój maluch wiele razy stawał na trasie. Ale za każdym razem udawało mi się go naprawić. Raz miałem poważną usterkę, wracając z Niemiec. Rozsypał się aparat zapłonowy. Nowy kupiłem od kierowcy, który zatrzymał się na tym samym parkingu i akurat miał zapasowy w bagażniku.

Czy modele wytwarzane w Bielsku-Białej różniły się od tyskich?

Miejsce produkcji nie miało znaczenia. Ale maluch bardzo się zmieniał

w miarę upływu lat. Pierwszą serię maluchów określamy dzisiaj jako standard. W 1978 r. z fabryki zaczęły wyjeżdżać wozy z serii P2, z silnikiem o większej pojemności. Przy okazji wzrosła cena malucha, z 69 tys. do 87 tys., co wywołało ogromne oburzenie. Władze tłumaczyły, że przedpłaty przyjmowano na auto z mniejszym silnikiem. Nie wszyscy zgodzili się na podwyżkę i jeszcze przez

rok produkowano pierwszą wersję. Aby zachęcić odbiorców do nowego modelu, wprowadzono trzy dodatkowe odmiany. Wzbogacony 650 otrzymał deskę rozdzielczą z wnęką na radioodbiornik Tramp z dzierzoniowskiej Diory. Oczywiście radio należało dokupić oddzielnie i – jak się łatwo domyślić – graniczyło to z cudem. Wersja 650 specjal miała dodatkowo blokadę kierownicy, ogrzewaną tylną szybę, regulator wycieraczek, regulację oparcia przednich foteli i przednią szybę z paskiem przeciwsłonecznym. W modelu 650 lux wstawiono lepsze fotele pokryte welurową tapicerką. Były też światła awaryjne, kontrolki niskiego poziomu płynu hamulcowego i zaciągniętego hamulca ręcznego. Do najbardziej widocznych zmian należały: nowe felgi oraz plastikowe nakładki.

Osoby zaangażowane w produkcję pojazdu niekiedy trafiły przed oblicze Temidy?

Po kolejnej zmianie władzy przed sądem stawali ci, którzy obalili poprzednią. Stanęli również Gierk i całe jego otoczenie. A wśród nich dyrektor FSM Ryszard Dziopak, któremu zarzucono nadużycia finansowe i nieuzasadnione wręczanie talonów na maluchy. Sąd zbadał sprawę dogłębnie. Nie było łapówek ani nadużyć. A talony? Dziopak rozdał 6905 talonów. 5537 otrzymali robotnicy FSM. Pozostałe 1368 dyrektor rozdał wedle własnego uznania. Sprawdzono, kto i dlaczego je otrzymał. Przy okazji prokuratura wojewódzka się skompromitowała. Sześć otrzymał bowiem jej szef, wręczając je swoim podwładnym. Zasadność przydziału zakwestionowano tylko w 14 przypadkach. Sąd uznał, że nie było to właściwe rozporządzenie państwowym mieniem, ale 14 z 6905 wyczerpywało znamiona znikomej szko-

dlivości społecznej. Po długim procesie sąd uniewinnił Dziopaka. Ale to już nie miało znaczenia. Jego czas minął.

Do renesansu zainteresowania wozem przyczynił się Tom Hanks?

W pewnym sensie. W 2016 r. w Budapeszcie, podczas zdjęć do filmu „Inferno”, na swoim instagramowym profilu umieścił zdjęcie z maluchem. Zgarnęło setki tysięcy lajków. Malucha już nie trzeba się było wstydzić. Stał się modnym klasykiem. Mieszkańcy Bielska-Białej w podziękowaniu ofiarowali aktorowi fiata 126p. Prawdziwy powrót zapewniły maluchowi portale społecznościowe. Powoli zaczęło przybywać grup i profili entuzjastów historycznej motoryzacji. Maluch – samochód nie do zajechania, Maluchomaniacy, Krakowskie Maluchy Nocą, Terytorium 126p, 126Hooligans, Gang Maluchów Kołobrzeg, PCH 126p, Sochaczewskie Fiaty – to tylko niektóre, skupiające zarówno posiadaczy, jak i miłośników marki. Można je znaleźć na Facebooku i na Złotach. Jedną z największych jest grupa Wesołe Maluchy, założona przez Tomasza Nowickiego oraz Magdalenę i Andrzeja Łażewskich. Od 2020 r. logo wesołych znalazło się niemal na 600 małych fiatach. A w sieci grupa ma niemal 9 tys. fanów. Maluch stał się też obiektem kolekcjonerskim. Jednym z najbardziej rozpoznawalnych kolekcjonerów jest Grzegorz Sztobryn, który w swoim garażu 126Collection zgromadził aż 30 wyjątkowych maluchów, każdy z innego roku produkcji. Wśród nich są modele bardzo rzadkie, z serii wysyłanych wyłącznie na eksport. Jest też prototyp malucha z silnikiem Diesla. Mnóstwo rzadkich modeli zebrał również Antoni Przychodzień, który w Bielsku-Białej prowadzi Muzeum Fiata 126p im. Ryszarda Dziopaka.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Przemysław Semczuk

– dziennikarz i pisarz, autor książek, m.in.: „Czarna Wolga, kryminalna historia PRL”, „Wampir z Zagłębia”, „Kryptonim Frankenstein”, „M jak morderca”, „Żywioły. Katastrofy i wypadki w czasach PRL” oraz „Maluch. Wielka podróż małego fiata z ziemi włoskiej do Polski”.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„Bandy
pozorowane”

Do dziś nie ma całościowego opracowania ponurego zjawiska „band pozorowanych”, działających po 1944 r. Wiemy, że popełniały one liczne zbrodnie, aby zożydzić podziemie niepodległościowe w oczach społeczeństwa. Były organizowane przez struktury komunistycznego państwa – od UB, przez KBW, MO, ORM, „ludowe” WP, aż do cywilnych bojówek PPR (w tym osławionych „szwadronów śmierci”).

Polscy niepodległościowcy praktycznie od początku wiedzieli, z czym mają do czynienia. Na przykład komendant Okręgu Białostockiego NZW już w czerwcu 1945 r. ostrzegał przed nimi, nazywając je „ponurym zjawiskiem”: „Zdarza się, że jakieś nieznane, uzbrojone oddziały grasują w nocy po okolicach i w imię patriotyzmu, pod groźbą śmierci, biciem nakładają na najlepszych Polaków wysoką kontrybucję lub grabią majątek rzekomo na cele podziemnej organizacji. Przy tym katują ludzi, bijąc dzieci i łamiąc ręce niewiastom”.

Prowokacje komunistyczne objęły właściwie teren całego kraju, zewsząd napływały podobne w treści meldunki: „Przebrane oddziały AL-owców i Enkawudzi-
stów w nocy niespodziewanie wymordowały zaskoczonych we śnie. Ofiarą noży i kul padli bez wyjątku mężczyźni w sile wieku, kobiety i dzieci. Po dokonaniu tego makabrycznego dzieła jego sprawcy starają się zmobilizować opinię społec-

zeństwa przeciw ludziom lasu”.

Funkcjonariusze partyjni po latach ujawniali swój udział w tworzeniu „band pozorowanych”, ale jako sprawców fałszywie wskazywano... żołnierzy AK! Tak zrobiła m.in. Maria Turlejska: „Wiemy z autopsji, że już jesienią 1944 r. w Otwocku utworzona została specjalna szkoła przy Komendzie Głównej MO do szkolenia dywersantów i terrorystów. Z tej właśnie kadry, szkolonej celowo, powstały pierwsze oddziały pozorowane”. Byli to AL-owcy, co potwierdził ich pierwszy komendant, Gutman Ałef (Gustaw Ałef-Bolkowiak): „Do oddziału naszego została włączona 25-osobowa grupa »Czwartaków«. Warto dodać, że nawet we własnych szeregach określano ich jako skrajnie zdemoralizowanych przestępców!

Terror stosowany był również na oślep, aby wywołać psychozę strachu. Komunistyczna prasa na bieżąco donosiła o takiej działalności „reakcyjnego” podziemia, przypisując mu okrutne mordy i grabieże, sprowadzając je w swej propagandzie na płaszczyznę terrorystycznych bojówek pozbawionych jakichkolwiek skrupułów. Ofiarom mordów często urządzano demonstracyjne pogrzeby, przekształcane w wiece poparcia dla „demokracji ludowej”. Spędzano na nie szkoły, pracowników administracji, wojsko. To zapadało w pamięć lokalnych społeczności. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć
Piasta

Na schyłku panowania Kazimierza Wielkiego cieniem położyła się sprawa następstwa tronu. Król był czterokrotnie żonaty, ale nie doczekał się narodzin syna. Przed laty obiecał sukcesję po sobie królowi Węgier – Ludwik Andegawęński był synem rodzonej siostry Kazimierza i najbliższym krewnym polskiego władcy.

Król zbliżał się do 60. roku życia, ale upływ lat w niczym nie hamował jego energii. Po podboju Rusi skierował swoje zainteresowania na zachodnie granice państwa. W ciągu kilku lat odzyskał wielkopolskie miasta, utracone przed wieloma laty na rzecz Brandenburgii. W Santoku, Drahimie, Wałczu i Czaplinku ponownie stanęły polskie załogi. Królestwo uzyskało bezpośrednią granicę z Pomorzem Zachodnim, gdzie władzę miał objąć człowiek, z którym Kazimierz wiązał wielkie nadzieje. Był nim jego wnuk i imiennik.

Młody książę słupski wychowywał się na dworze dziadka. Mimo że Kazimierz uznał sukcesję Andegawenów, miał nadzieję, że jego wnuk obejmie kiedyś władzę w Polsce. Ludwik Węgierski nie miał dotychczas dzieci i panowanie Kaźka po jego śmierci wydawało się całkowicie realne.

Wprawdzie w Polsce żyło jeszcze kilkunastu innych Piastów, ale żaden z nich nie nadawał się na władcę. To były dzielnicowe książątka o możliwościach umysłowych

na poziomie wielkości ich państw. A tutaj potrzebny był polityk europejskiego formatu – a takim był bez wątpienia Ludwik. Ten jednak nigdy nie zapominał, że przede wszystkim był królem Węgier.

We wrześniu 1370 r. Kazimierz wybrał się na łowy w okolicy Sandomierza. Podczas pogoni za jeleniem przewrócił się wraz z koniem i złamał nogę. Otoczony opieką lekarzy wracał wolno do Krakowa, ale nie przestrzegał zaleceń medyków. Nie dbał o dietę, korzystał z łaźni i pił alkohol. W Krakowie poczuł się tak źle, że sporządził testament. Zmarł 5 listopada 1370 r. jako ostatni Piast na tronie polskim.

Testament króla zaskoczył dostojników państwa. Zmarły władca potwierdził sukcesję dla Ludwika Węgierskiego, ale dokonał licznych zapisów dla Kaźka słupskiego. Pomorski książę miał objąć władzę na Kujawach oraz na ziemiach sieradzkiej i łęczyckiej. Cel Kazimierza był jasny. Zapisał wnukowi tereny należące do kujawskiej linii Piastów, których posiadanie miało ułatwić mu zdobycie polskiego tronu po śmierci Ludwika.

Dokument został jednak unieważniony. Kaźko zrezygnował z większości zapisów dziadka i złożył hołd Ludwikowi. Węgierski władca bez przeszkód koronował się na króla Polski, a potem urządził uroczysty pogrzeb zmarłego poprzednika. W Polsce rozpoczęły się rządy dynastii Andegawenów. ©



Maciej Pieczyński

Antyżydowskie rozruchy w Dagestanie to tylko symptom większego zjawiska. Muzułmanie odgrywają w Rosji coraz większą rolę. Tym większą, im bardziej Moskwa odwraca się od Europy w stronę Azji

Na lotnisku w stolicy Dagestanu, Machaczkale, rozwścieczony tłum z okrzykiem „Allah ak-bar!” na ustach chciał dokonać samosądu na Żydach, którzy przylecieli samolotem z Tel Awiwu. Pod hotelem w Chasawjurtie kilkaset osób żądało wyrzucenia na bruk jednego z gości – uchodźcy z Izraela. W stolicy Kabard-Bałkarii, Nalczyku, nieznani sprawcy podpalili żydowskie centrum kultury. W Machaczkale i Czerkiesku (stolicy Karaczajo-Czerkiesji) odbyły się antysemitckie wiece. Ich uczestnicy domagali się wydalenia Żydów z regionu. Wyznawcy Allaha stanowią większość mieszkańców w kaukaskich republikach Rosji. W Dagestanie jest ich 94 proc., a w Czeczenii – aż 96 proc. W obu tych republikach Putin cieszył się zawsze ogromnym poparciem. Jednak o ile w rządzonej twardą ręką przez Ramzana Kadyrowa Czeczenii jakiegokolwiek protesty są w zasadzie niemożliwe, o tyle Dagestan już drugi raz po inwazji na Ukrainę staje się zarzewiem niepokojów społecznych. Po ogłoszeniu mobilizacji protestowały kobiety, nie chcąc puścić na front swoich mężów i synów. Teraz ci mężowie i synowie rzucili się do krwawej zemsty za Palestynę. Rosyjskie służby z opóźnieniem, ale jednak zareagowały. Zidentyfikowano 150 uczestników szturm na lotnisko, z czego 60 zatrzymano.

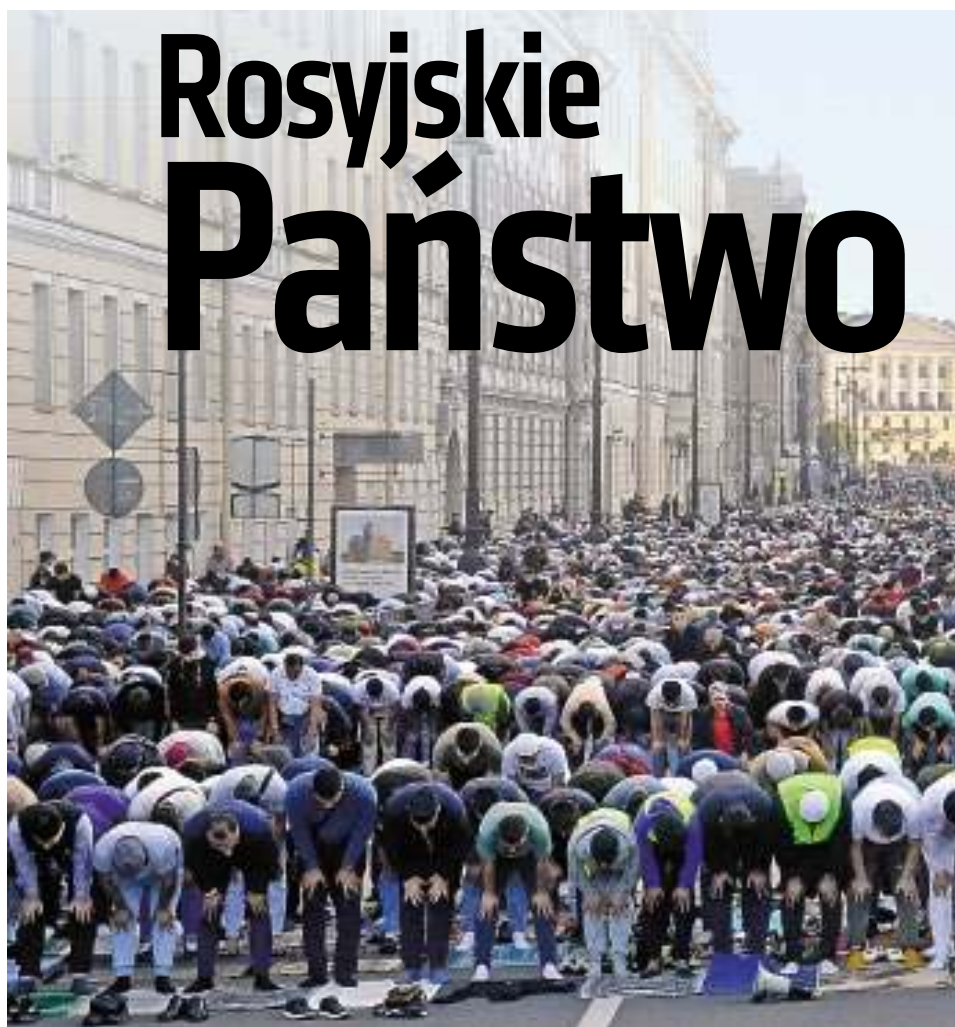
Moskwa odcięła się od antysemitckich zamieszek i oskarża o ich wywołanie Zachód. „Na Ukrainie, pod przywództwem zachodnich patronów, próbują podżęgać do pogromów w Rosji. Nie jestem pewien, czy USA w ogóle zdają sobie z tego sprawę – dobrze by zrobiły, gdyby przestudiowały, co robią służby

specjalne na Ukrainie. To szumowiny, nie ma innego sposobu, aby to ująć” – stwierdził Putin. Faktem jest, że sygnał do ataku na lotnisko w Machaczkale dał profil „Utro Dagestanu” („Poranek Dagestanu”) na Telegramie, z którym związany był kiedyś Ilja Ponomariow, rosyjski opozycjonista o szemranej reputacji, działający aktualnie na Ukrainie. Ponomariow już wcześniej twierdził, że współpracuje z antyputinowską partyzantką, która miała rzekomo odpowiadać za zamach na Darię Duginę. Niewątpliwie zamieszki w Rosji są w interesie zarówno Kijowa, jak i rosyjskiego opozycjonisty. Wywołanie ich nie było zresztą rzeczą trudną. Prawie dwa lata wojny na Ukrainie, w której uczestniczy również wielu poborowych z Kaukazu, wzrost antyżydowskich nastrojów wśród muzułmanów na całym świecie, wywołany konfliktem na Bliskim Wschodzie i zbrodniami

Izraela, wreszcie gorąca kaukaska krew – to wszystko razem stworzyło beczkę prochu, której potrzebna była tylko iskra.

PRZED WSZYSTKIM PAŃSTWO

Wątpliwe, by rozruchy były inspirowane przez Kreml. Dominującą ideologią w Rosji nie jest nacjonalizm, tylko imperializm. Naczelnymi wartościami są państwo i jego aparat, a nie naród. Tradycyjnie wielkim powodem do dumy, podkreślanym przez rosyjską (a wcześniej sowiecką) propagandę, jest pokojowe współistnienie różnych kultur i religii pod panowaniem silnej władzy w Moskwie, która z kolei gwarantuje nienaruszalność i bezpieczeństwo tego układu. Wzorem jest relacja na linii Putin – Kadyrow. Czeczenia jest właściwie państwem islamskim wewnątrz państwa rosyjskiego, ale kadyrowcy, zamiast prowadzić pełnowymiarowy dżihad



Islamskie



Muzułmanie modlą się w centrum Sankt Petersburga, czerwiec 2023 r. FOT. OLGA MALITSEVA/JAFF/EAST NEWS

przeciwko giaurom w granicach imperium, skupiają się z reguły na mordowaniu niewiernych „szajtanów” na froncie wojny z Ukrainą.

Wszelkie właśnie międzyetniczne godzą nie tylko w powagę państwa policyjnego, lecz także w mit różnorodności. Przy czym buntowniczość Dagestanu jest też w pewnym sensie skutkiem ubocznym pobłażliwości, z którą Putin traktuje mużulmańskie prowincje, a przede wszystkim ich administratorów. W przypadku Czeczenii taka była cena pacyfikacji regionu. Republikę najpierw zrównano z ziemią, by następnie wpompować miliony rubli w jej odbudowę i rozbudowę, a także nadać jej tak szeroką autonomię wewnętrzną (przede wszystkim kulturową, związaną z faktyczną wyższością prawa szariatu nad prawem federalnym), by głęboko wierzącym czeczeńskim mużulmanom

nie opłacało się walczyć o niepodległość. Jednak kadyrowcy czują się bezkarni nie tylko w swojej enklawie, lecz także na terenie całego kraju. Nawet moskiewscy policjanci skarżyli się swego czasu obrońcom praw człowieka na gwardię przyboczną czeczeńskiego satrapy.

KADYROWCY ROSNĄ W SIŁĘ

Bezkarność klanu Kadyrowów jest ostentacyjna. Pod koniec września szef republiki opublikował w Internecie nagranie, na którym jego 15-letni syn w areście śledczym w Wołgogradzie brutalnie bije lokalnego mieszkańca, oskarżonego o spalenie Koranu. Ojciec nie ukrywał dumy ze swojej pociechy. Jak wiadomo, Wołgograd nie jest czeczeńskim miastem. W żaden sposób nie podlega jurysdykcji Kadyrowa. Ponadto nawet w świetle rosyjskiego prawa pobicie aresztowanego jest przestęp-

stwem. Nic jednak nie wskazuje na to, że Adam Kadyrow – nawiasem pisząc, pomimo młodego wieku już utytułowany zawodnik MMA – poniesie jakiegokolwiek konsekwencje. Pytany o tę sprawę rzecznik Kremla odmówił komentarza. Co więcej, już po tym incydencie Adam Kadyrow został przez ojca nagrodzony Medalem Bohatera Czeczenii. Oficjalnie za sukcesy sportowe. Nietrudno się jednak dziwić jednemu z internautów, który gorzko ironizował, że teraz w rosyjskim „supermocarstwie” medale dostaje się za bicie Rosjan.

Adam Kadyrow został nagrodzony również przez władze dwóch innych republik z przewagą ludności mużulmańskiej. Prezydent Tatarstanu odznaczył go orderem Dusłyk (przyjaźń) – za... „znaczący wkład w umocnienie pokoju i zgody między narodami i wyznaniaми”. Z kolei za obronę „tradycyjnych wartości islamskich” Kadyrowa juniora nagrodziła orderem Karaczajo-Czerkiesja. Rosyjski opozycyjny dziennikarz Siergiej Miedwiediew ocenia, że to triumfalne tournée 15-latkę po stolicach regionów jest czymś więcej niż jedynie kolejną PR-owską akcją jego ojca, lubiącego brylować w Internecie (często w sposób niezamierzenie komiczny – nieprzypadkowo kadyrowców okrzyknięto „tiktokową armią”).

Czeczeński dyktator, wystawiając pierś syna do kolejnych orderów, zbiera symboliczną daninę od przywódców regionów mużulmańskich. Prawdziwym powodem, dla którego Adam Kadyrow zbiera laury, jest przecież pobicie „giaura” w zemście za świętokradstwo. Tym samym jego ojciec umacnia swoją pozycję jako najważniejszy obrońca mużulmanów w Rosji. A nawet nie tylko w Rosji. Po wybuchu wojny na Bliskim Wschodzie Kadyrow potępił „izraelski faszyzm” i niejednokrotnie wyrażał chęć wysłania swoich „sił pokojowych” do Palestyny, na pomoc Hamasowi. Najprawdopodobniej jego ludzie przejęli część sprzętu wojskowego po Grupie Wagnera.

Kadyrowcy rosną w siłę. To jednak nie oznacza, że są zagrożeniem dla władzy Putina. Przeciwnie. Kadyrow jest wiernym sługą swojego kremlowskiego pana. Bezkarny kaukaski watażka załatwił za skórę wielu wpływowym ludziom w Rosji. Dlatego ewentualne przetasowania

na Kremlu mogą zachwiać jego pozycją. Co najwyżej zachwiać. Niezależnie bowiem, kto w przyszłości zastąpi Putina, wątpliwe, by odważył się obalić Kadyrowa, którego autorytet i siła gwarantują Rosji spokój na Kaukazie.

25 MLN MUŻULMANÓW

Według różnych danych w liczącej ok. 147 mln obywateli Rosji żyje między od 20 do 25 mln mużulmanów. W samej tylko Moskwie jest ich od 3 do 4 mln. Statystyki dotyczą nie tyle deklarowanego wyznania, ile pochodzenia. Za mużulmanów uważa się przedstawicieli tradycyjnie mużulmańskich grup etnicznych. Islam jest procentowo drugim, po prawosławiu, najliczniejszym wyznaniem w Rosji. Liczba jego wyznawców rośnie. Podobnie jak na Zachodzie przyczyną jest demografia. Etnicznie rosyjska część społeczeństwa się starzeje (sprzyja temu wysokie statystyki rozwodów i liberalne prawo aborcyjne), ustępując powoli miejsca wielodzietnym i tradycyjnie konserwatywnym rodzinom przedstawicieli społeczności mużulmańskich.

Rosyjscy wyznawcy Allaha są w większości radykalnie konserwatywni. Duchowni i politycy islamscy ramię w ramię z prawosławnymi hierarchami potępiają aborcję, homoseksualizm, krytykują „zgniły Zachód” i popierają rosyjski imperializm. Są przy tym, jak to mużulmanie, bardziej skrajni niż chrześcijanie. Kadyrow nie ogranicza się do delegalizacji homoseksualizmu – w Czeczenii geje są bez wyroku sądu porywani, torturowani i zabijani. Inwazję na Ukrainę dyktator otwarcie nazywa „dżihadem”. Na tej „świętej wojnie” wrogami kadyrowców są „sataniści, faszyści” oraz „satanistyczna demokracja”, polegająca – według Kadyrowa – na prześladowaniu ludzi wierzących.

W Groznom za pieniądze z Moskwy zbudowano największy w Europie meczet. Wbrew pozorom to nie Francja czy Niemcy, ale Rosja właśnie ma najliczniejszą na całym Starym Kontynencie populację mużulmańską. Dlaczego więc te miliony wyznawców islamu, inaczej niż na Zachodzie, nie stały się naturalną bazą poparcia dla obozu lewicowo-liberalnego? Odpowiedź jest prosta. Lewica otacza opieką (i propagandową osłoną) głównie migrantów i uchodźców.

Ludność napływową, która oderwana od swoich korzeni w nowym miejscu staje się obiektem (prawdziwej lub wyдуманnej) niechęci ze strony większości. Te warunki spełniają w Rosji migranci ekonomiczni z Azji Środkowej i Kaukazu, pracujący często nielegalnie. Rzeczywiście, często nazywani są pogardliwie przez rosyjskich nacjonalistów „czarnymi”. Nawet uwielbiany na Zachodzie opozycjonista Aleksiej Nawalny niegdyś publicznie postulował deportację migrantów jako „szkodników”.

Jednak większość rosyjskich mużulmanów to rdzenna ludność zamieszkująca dane terytorium od setek lat. Kaukaz Północny Rosjanie podbili dopiero w XIX w. Pomimo miażdżącej przewagi liczebnej i technicznej przełamanie oporu zawziętych górali zajęło im pięć dekad. Kaukaz odcisnął wyraźne piętno na rosyjskiej kulturze. Podbój tego regionu opisywali w swoich dziełach wielcy pisarze – Puszkina, Lermontow i Lew Tołstoj (każdy z nich napisał własny utwór pt. „Jeniec kaukaski”). Biorący udział w tym podboju Kozacy pogardzali podbitym ludem, a jednak nie tylko zaczęli ubierać się jak czerkiescy czy czeczeńscy górale, lecz także naśladować ich tradycyjny, akrobatyczny taniec – lezginkę, którą dziś na froncie ukraińskim tańczą zarówno kadyrowcy, jak i etniczni Rosjanie. Tak popularna stała się tradycja zwyciężonych w kulturze zwycięzców.

Oprócz północnokaukaskich republik (Dagestanu, Czeczenii, Inguszetii, Kabard-Bałkarii, Karaczajo-Czerkiesji) mużulmanie stanowią większość również na południowym wschodzie europejskiej części Rosji, na Powołżu – w Tatarstanie i Baszkirii (po 54 proc.). W Kazaniu, stolicy Tatarstanu, od 2009 r. organizowany jest Międzynarodowy Szczyt Gospodarczy „Rosja – świat islamski”. W tym roku jednym z punktów wydarzenia była wystawa „RussiaHalalExpo”, podczas której swoją produkcję zareklamowali przedstawiciele 11 krajów, w tym Turcji, Iranu czy Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Generalnie, według organizatorów, w tegorocznym szczycie udział wzięło ponad 16 tys. osób z 86 państw islamskich oraz z 84 regionów Federacji Rosyjskiej. Prezydent Tatarstanu Rustam Minnichanow przewodniczył grupie „Rosja – świat islamski”, odpowiadającej

oficjalnie za relacje z krajami mużulmańskimi. Niedawno spotkał się oficjalnie z prezydentem Azerbejdżanu İlhamem Alijewem.

Podobnie jak na Kaukazie, również na Powołżu islam ma dłuższą tradycję niż rosyjskie panowanie. We wczesnym średniowieczu funkcjonowała tutaj Bułgaria Kamska (nie mylić ze współczesną południowosłowiańską Bułgarią). Z tym państwem związana jest legenda o „wyborze wiary” przez księcia kijowskiego Włodzimierza. Zanim zdecydował się na przyjęcie prawosławia i ochrzcił Ruś, przyjmował przedstawicieli różnych wyznań. Bułgarzy Kamscy proponowali mu przejście na islam. Zniechęcił go jednak zakaz spożywania alkoholu, bo – jak się wyraził – „na Rusi jest weselem pić, nie możemy bez tego być”. W XIII w. Mongołowie podbili Bułgarię i m.in. na jej terenie założyli swoje nowe państwo – Złotą Ordę. Ruś miała więcej szczęścia. Tatarzy zrównali ją z ziemią, ale nie wymazali z mapy, a „jedynie” podporządkowali ją sobie politycznie na ponad dwa wieki. Pod ich panowaniem urosło znaczenie Moskwy, która następnie wyrwała się spod tatarskiego buta i zaczęła podbijać pozostałe ziemie ruskie. W tym czasie Złota Orda przyjęła islam. Tatarzy słabli, Ruś moskiewska (późniejsza Rosja) rosła w siłę. W wyniku rozpadu Złotej Ordy na terenie dawnej Bułgarii (a dzisiejszych Tatarstanu i Baszkirii) powstał chanat kazański, w XVI w. podbity i zlikwidowany przez cara Iwana Groźnego.

Od tego momentu Rosja zaczęła ekspansję w stronę Azji, wchłaniając kolejne nieprawosławne ziemie. Od Tatarów właśnie Rosjanie nauczyli się budować potężne, despotyczne imperium. Jeszcze do niedawna nawet w nauce obowiązywał oficjalny termin „jarzmo mongolsko-tatarskie”. Dziś rosyjscy historycy mówią raczej o „zależności od chanów” lub o „panowaniu ordyńskim”. Po pierwsze, kremlowska polityka historyczna, na fali rosnącej wrogości wobec Zachodu, coraz częściej usprawiedliwia, a nawet zachwala azjatyckie wątki w tożsamości i przeszłości Rosji. Po drugie, to kwestia poprawności politycznej. W końcu potomkowie dawnych najeźdźców stanowią dziś większość mieszkańców tych dwóch republik.



WYKRĘCILI NUMER PREMIER MELONI

Rosyjscy komicy Vovan i Lexus, którzy do tej pory nabrali wielu zachodnich polityków i celebrytów (w tym prezydenta Andrzeja Dudę, który rozmawiał z nimi telefonicznie, przekonany, że rozmawia z prezydentem Francji), wykręcili numer premier Włoch. Udało im się porozmawiać przez telefon z Giorgią Meloni, gdy podali się za przedstawicieli „Komisji Unii Afrykańskiej”. W rozmowie – ujawnionej potem w Internecie – Meloni opowiadała m.in. o zmęczeniu Europy wojną na Ukrainie. Oficjalnie włoski urząd doradcy dyplomatycznego prezes Rady Ministrów oświadczył, że „wyraża ubolewanie” związane z dopuszczeniem oszustów do rozmowy z premier.

FOT. L'ESPRESSO/ROBERTO MONALDO/SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

CZECZEŃSKI SPÓSÓB NA PROTESTUJĄCYCH

Prezydent Czeczenii Ramzan Kadyrow nakazał policji brutalne przerywanie protestów w tym kraju. – Jeżeli będziemy mieli chociaż jedną osobę, która wyjdzie na nieautoryzowane zamieszki, to zatrzymajcie ją i wsadźcie do aresztu. Albo strzelcie trzy razy w powietrze i jeśli nie będzie przestrzegać prawa, to za czwartym razem strzelajcie w głowę. Nikt więcej nie wyjdzie. To jest mój rozkaz – powiedział prezydent na posiedzeniu z rządem.

ODSZKODOWANIE ZA PIĘĆ DNI BEZ ZABAWY

W czasie pandemii gubernator Sycylii Nello Musumeci – zanim rząd wydał własne regulacje w tej sprawie – zakazał całkowicie wychodzenia z domów. Rodzice 10-letniego chłopca z Sycylii, który przez ograniczenia nie mógł bawić się

z rówieśnikami, zaskarżyli rozporządzenie gubernatora (obecnie jest ministrem we włoskim rządzie). Sąd przyznał dziecku zadośćuczynienie w wysokości 200 euro za każdy dzień ścisłego lockdownu. W sumie otrzyma więc tysiąc euro.

WORLD PRESS PHOTO TYLKO DLA DOROSŁYCH

Na tegoroczną wystawę zdjęć World Press Photo w Budapeszcie nie mogą wejść osoby poniżej 18. roku życia. Powód? Wśród wszystkich fotografii jest pięć, które dokumentują życie starszych osób LGBTQ+ na Filipinach. Prawniczka Dora Duro po odwiedzeniu wystawy złożyła skargę – zauważając, że są na niej treści sprzeczne z węgierską ustawą o ochronie dzieci z 2021 r. „To, co uważamy za normalne, co przedstawiamy i co przekazujemy dzieciom jako wartościowe, ma na nie wpływ, a ta wystawa jest wyraźnie szkodliwa dla nieletnich i, jak sądzę, także dla dorosłych” – stwierdziła Duro cytowana przez AP. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Cena prywatności

Facebook i Instagram do-czekały się płatnych wersji w krajach UE, Szwajcarii i Europejskiego Obszaru Gospodarczego (EEA). Jak poinformowała firma Meta, dostęp do tych platform bez reklam od listopada wymaga wykupienia abonamentu, którego koszt wynosi 9,99 euro (równoważność ok. 44,6 zł) miesięcznie za dostęp na komputerach osobistych lub 12,99 euro (ok. 58 zł) za mobilny dostęp do Facebooka i Instagrama na urządzeniach na systemach iOS lub Android.

Drogo? Ma być jeszcze drożej. Do końca lutego subskrypcja obej-

muje wszystkie połączone konta w Centrum kont użytkownika na Facebooku i na Instagramie, ale od 1 marca abonament za każde dodatkowe konto będzie wymagał dopłaty 6 lub 8 euro miesięcznie (w zależności od rodzaju dostępu).

Nowa usługa to po części odpowiedź na ruch konkurencji – platforma X (dawny Twitter) oraz serwisy streamingowe mają już w ofercie płatne konta. Wprowadzenie płatnej subskrypcji ma jednak głównie na celu rozwianie obaw unijnych regulatorów dotyczących praktyk Meta w zakresie targetowania reklam i gromadzenia danych użytkow-

ników. Ci, którzy nie będą chcieli abonamentu, mogą zostać przy darmowej wersji przepełnionej reklamami. Korzystanie z bezpłatnego dostępu będzie jednak równoznaczne ze zgodą na stosowane przez Meta praktyki gromadzenia danych. A jeśli ktoś się na wykorzystywanie swoich prywatnych danych nie zgadza? Meta zapewnia, że dopóki ktoś używa płatnej wersji, dopóty jego dane nie będą wykorzystywane do targetowania reklam. A co z tymi, którzy nie chcą płacić za luksus prywatności i poszanowania swoich praw? Mogą opuścić Facebook i Instagram. ©



Wojciech Golonka

Antony Blinken jest jednym z tych, którzy mają najważniejszy głos w sprawie amerykańskiego interwencjonizmu dzisiaj.

A świat zaczyna właśnie płonąć od konfliktów

Podczas gdy w powyborczej Polsce, w próżni władzy-niewładzy, uwaga opinii publicznej skupia się głównie na słownych utarczkach między obozami politycznymi, urastających do rangi informacji dnia, na Bliskim Wschodzie trwa w najlepsze koncentracja sił mocarstw i regionalnych potęg mogąca poskutkować najgorszym. Dla wszystkich.

USA i Izrael dają czytelne znaki gotowości do ewentualnej rozprawy z Iranem, z kolei Chiny i Rosja dają do zrozumienia, że przyglądać się tej potencjalnej wojnie biernie nie zamierzają. Dodając do tego niebagatelną okoliczność w postaci cieśniny Ormuz, przez którą, jak wiadomo, rozlewa się na świat czarne złoto Półwyspu Arabskiego, nie trzeba być prymusem geopolityki, by dostrzec w obecnej sytuacji zarzewia kryzysu, przy którym COVID, a nawet sama wojna na Ukrainie, to niedorostki na tle problemów naszej i tak już wystarczająco biednej planety.

W tej wybuchowej sytuacji jedną z kluczowych ról odgrywa obecny sekretarz stanu USA, Antony Blinken. Jakkolwiek bałnie by to brzmiało, potencjalna wojna, wojna możliwie światowa, zależy przede wszystkim od tego, czy decydenci będą to zarzewie podsycać tudzież gasić. W tym truizmie zachodzi wiele istotnych niewiadomych – poczynwszy od napiętych muskułów tandemu Rosja-Chiny (dla pokazu czy już tak na serio?), przez dwuznaczną postawę krajów arabskich (sojusznicza zmienność to akurat trwały element ich regionalnej geopolityki), a skończywszy na jawnych i ukrytych celach amerykańskiej dyplomacji USA, które pod impulsem neokonserwatystów niejednokrotnie szły ochoczo na wojnę w ostatnich trzech dekadach.

A właśnie zagorzałym, choć osobliwym neokonserwatystą jest Antony Blinken,

Wiele twarzy sekretarza

człowiek pod wieloma względami w Polsce w zasadzie wciąż niepoznany tudzież źle rozpoznany pod swą mylną aparycją polityka niewyraźnego, wręcz nijakiego. Tymczasem w administracji Joe Bidena, który z tkliwą prostodusznością starca dotkniętego demencją już niejednokrotnie dawał do zrozumienia, że robi to, co mu każą (sporo się przy tym niestety potykając), to właśnie Blinken jest jednym z głównych decydentów w kwestii amerykańskiego interwencjonizmu dzisiaj.

To prawda, że dla obserwatora zagranicznego Blinken mógł się zdawać mianowany na swą arcyważną funkcję jak gdyby znikąd, w kontraście do swego poprzednika Mike'a Pompeo, który miał za sobą rozpoznawalny cursus honorum (wcześniej był dyrektorem CIA). I również prawdą jest, że od czasu objęcia Departamentu Stanu w administracji Joe Bidena Blinken dotychczas nie zdołał dać się poznać inaczej niż jako rzecznik recytujący bezdusznie przemówienia, miało wypadający w rozmowach z zagranicznymi partnerami, czasem nawet boleśnie miało. Jego próba strofowania strony chińskiej podczas jego pierwszej rozmowy dwustronnej na Alasce w 2021 r. skończyła się dlań nagłościonym przez media nokautem, z kolei podczas jego ostatniego tournée po krajach arabskich w Rijadzie książę koronny Arabii Saudyjskiej Muhammad ibn Salman kazał mu czekać

ze spotkaniem praktycznie całą noc – jak donosił „The Washington Post”, miało się ono odbyć późnym wieczorem, Blinken czekał, a ostatecznie doszło do skutku dopiero następnego dnia rano. Ten obraz nijakości sekretarza stanu zaznał jednak raz bardzo wymownego wyjątku, kiedy to płakał przed kamerami wobec cierpień jego własnego ludu – jak zaznaczył, Izraela – i zaczął, od czasu niesławnego ataku Hamasu, okazywać mu tak bezwzględne i bezkresne wsparcie, że krytycy wytykają mu, że równie dobrze mógłby być członkiem izraelskiego rządu czy tamtejszego Komitetu Obrony Narodowej.

ZWOLENNIK ZBROJNYCH INTERWENCJI

Tymczasem Blinken nie jest bynajmniej nowicjuszem w stosunkach międzynarodowych, ma za sobą błyskotliwy staż pracy w ośrodkach decyzyjnych amerykańskiej polityki zagranicznej, a także bez wątpienia przejawia własne wyartykułowane poglądy jako notoryczny zwolennik amerykańskiego interwencjonizmu zbrojnego.

Urodzony w 1962 r. w żydowskiej rodzinie zawodowych amerykańskich dyplomatów (zarówno jego ojciec, jak i wujek byli ambasadorami USA), ukończył studia w zakresie nauk społecznych na Harvardzie, a następnie podjął chwilowo pracę redaktora w prestiżowym czasopiśmie „New Republic”. W latach 90. przez



FOT. BREW ANGERS/CETV IMAGES

praktycznie całe dwie kadencje Billa Clintona był członkiem Rady Bezpieczeństwa Narodowego kraju. W tym okresie młody Blinken był również specjalnym asystentem prezydenta oraz jednym z redaktorów jego przemówień.

Po przejściu Białego Domu przez republikanów Blinken przeniół się do amerykańskiego Senatu, gdzie został dyrektorem personelu komitetu ds. zagranicznych i wspierał ówczesnego przewodniczącego komitetu, ówczesnego senatora Joe Bidena, w skutecznym przeprowadzeniu głosowania za inwazją Iraku, które Blinken nazwał wtedy nawet „głosowaniem za twardą dyplomacją”. Ścieżki obu panów wiązały się wówczas na dobre. W 2008 r. Blinken brał aktywny udział w kampanii prezydenckiej, która wyniosła Baracka Obamę do władzy, a następnie był jego asystentem oraz doradcą wiceprezydenta – właśnie Joe Bidena – do spraw bezpieczeństwa narodowego. Pnać się wzwyż, Blinken w 2014 r. otrzymał stanowisko zastępcy sekretarza stanu USA – ewidentnie mógł on wywierać pewien wpływ za obu kadencji Obamy na ówczesne interwencje zbrojne USA.

W rzeczy samej, Blinken, demokrat, jest najwyraźniej zwolennikiem starej dobrej zasady monarchów, którzy zwykli grawerować na swych armatach sentencję „ultima ratio regis” (ostateczna racja króla). Począwszy od prezydentury Clin-

tona, kiedy NATO bombardowało Serbie, przez wspomnianą już inwazję Iraku czy wojnę w Afganistanie, skończywszy na interwencji w Syrii i Libii (i nie tylko tam), nie zapominając o kolosalnym zbrojeniu Ukrainy po Majdanie w 2014 r. – wszystkie te największe przejawy amerykańskiego interwencjonizmu cieszyły się poparciem tego doradcy działającego na styku polityki i urzędniczego wykonawstwa. Poparciem bynajmniej niepołowicznym. Choć w 2014 r. podczas przesłuchania w Senacie przed objęciem stanowiska wicesekretarza stanu Blinken był mocno grillowany przez przedstawiciela frakcji jastrzębi par excellence, republikanina Johna McCaina, to w rzeczywistości była to klótnia w rodzinie neokonserwatystów. Blinken popierał wojnę w Iraku, proponował nawet rozbiór tego państwa, ale nie zamierzał pozostawać tam bezterminowo, skoro nie wykorzystano należycie okupacji kraju, jak uważał. Podobnie i w Afganistanie – Blinken już w 2014 r. lobbował na rzecz wycofania się stamtąd, uważał, że należało przykładowo ukarać wrogów Ameryki, ale skoro kraj był niereformowalny na zachodnią modłę, to dalsze pozostawanie na miejscu traciło sens. McCain oskarżał go także o współudział w resecie Obamy. Z drugiej strony Blinken ubolewał, że w kwestii Syrii USA nie posunęły się o wiele dalej w swej interwencji (Al-Asada, jak wiadomo, uratowała Rosja), nie wspominając o Libii. Inny żal, tym razem nawet wyrzut sumienia, to chybiłoby poparcie USA dla działań Arabii Saudyjskiej w Jemenie, które na skutek tamtejszej wojny domowej podsycał z zewnątrz wywołało katastrofę humanitarną.

GWAŁTOWNA POLARYZACJA

To właśnie ten Blinken, popierający amerykański interwencjonizm, a zarazem dość łatwo umywający ręce od jego konsekwencji, na początku 2019 r. wraz z Robertem Kaganem napisał artykuł krytykujący ówczesną politykę Trumpa pod hasłem „America First” – po pierwsze Ameryka. Tytuł artykułu brzmiał: „»America First« jedynie pogarsza położenie świata. Oto lepsze podejście”. Warto w tym miejscu przypomnieć, że Robert Kagan to współzałożyciel powstałego w 1997 r. neokonserwatywnego think tanku „Projekt Nowego Amerykańskiego Stulecia”, po którym pochodnie neokonserwatyzmu przejął

w 2007 r. „Ośrodek dla nowego amerykańskiego bezpieczeństwa” (którego notabene prezesem przez pewien czas była małżonka Kagana Victoria Nuland, obecna zastępca Blinkena w Departamencie Stanu). W swym artykule o potrzebie zmiany polityki zagranicznej Blinken z Kaganem postawili na cztery filary: 1) dyplomacja przewencyjna i odstraszenie; 2) handel i technologia (międzynarodowa wymiana informacji przy jednoczesnym zachowaniu prymatu USA w dziedzinie technologii); 3) nowe sojusze i nowe instytucje międzynarodowe; 4) kryzys migracyjny – reforma krajów, skąd napływają imigranci.

W praktyce jednak, kiedy Blinken dwa lata później został odpowiedzialny za politykę zagraniczną w administracji Joe Bidena, ogłosił nagle, że „należy umieścić w centrum naszej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa narodowego kwestię kryzysu klimatycznego”. Następnie, w miejsce proponowanej przez Blinkena dyplomacji przewencyjnej i odstraszenia, miało miejsce spektakularne fiasko Amerykanów w Afganistanie, inwazja rosyjska na Ukrainie, przewroty wojskowe w Afryce zorientowanej na Rosję, wzrost BRICS kuszącego coraz bardziej kraje arabskie, partnerstwo strategiczne Chiny-Rosja i na koniec brutalny atak Hamasu na Izrael.

Jeśli przesadą byłoby zrzucać odpowiedzialność za całość tych bolączek na barki Blinkena, to trzeba przyznać, że bycie doradcą w kwestiach polityki zagranicznej w domenie bezpieczeństwa narodowego (gdzie główne pytanie brzmi, komu ewentualnie i jak przyłożyć), a bycie dyplomata, a tym bardziej szefem dyplomacji najsilniejszego kraju na świecie odpowiedzialnym za równowagę pax Americana, to dwie różne rzeczy. Tak się złożyło, że za kadencji Blinkena i z pewną jego pomocą nastąpiła gwałtowa polaryzacja sił na świecie, w której wojna palestyńsko-izraelska jest tylko, może nie w pełni jasnym, ale wielce wybuchowym ogniem szerszej układanki. Kto w Blinkenie weźmie zatem górę – neokonserwatysta robiący dwa kroki do przodu i jeden w tył, który w tej sytuacji może okazać się nie do wykonania? Żyd w pełni i bezwarunkowo identyfikujący się z interesem Izraela, z cichym przyzwoleniem na likwidację Strefy Gazy łącznie? Wytrwany dyplomata (którym jeszcze nie jest)?

Na pierwszy rzut oka dobra wiadomość w ciężkich czasach dla rządu Olafa Scholza: bezrobocie w Niemczech spada. Po pandemii rozwija się zwłaszcza biznes horyzontalny. Tak nazywa się w Niemczech potocznie prostytucję. Między Odrą a Renem zarejestrowano ok. 30 tys. prostytutek płci obojga. Oznacza to wzrost o 19 proc. w porównaniu z poprzednim badanym okresem – informuje Federalny Urząd Statystyczny. To wynik zniesienia wszelkich ograniczeń wywołanych pandemią. Znacznie więcej prostytutek pracuje bez rejestracji, a na nich państwo w roli alfonsa nie zarabia. Ale i z tej strony niemieckiej gospodarce zagraża cios: badacze zwracają uwagę na to, że prawo o prostytucji jest sprzeczne z konstytucją Niemiec.

WSPÓŁCZESNE NIEWOLNICTWO

„Niemcy burdelem Europy” – krzyczy berliński „Die Welt”. Najnowsze badania utrzymują, że nie da się pogodzić seksbiznesu z ustawą zasadniczą. Elke Mack, specjalistka w zakresie etyki społecznej na uniwersytecie w Erfurcie, jest przerażona rozwojem sytuacji w Niemczech: „Dawniej była Tajlandia, a dziś są Niemcy. Jesteśmy burdelem świata”. Mack, profesor z Erfurtu, wraz z dwoma uniwersyteckimi ekspertami z dziedziny nauk prawnych zbadała ustawę o prostytucji z 2002 r. (uchwaloną przez lewicowy rząd SPD/Zieloni Gerharda Schrödera) i ustawę o ochronie prostytutek z 2017 r. pod kątem treści art. 1 konstytucji Niemiec. Naukowcy doszli do wniosku, że prostytucja degraduje człowieka do roli obiektu. Narusza to wprost dyspozycję ustawy zasadniczej, dla której godność człowieka jest nienaruszalna. Czyżby twórcy ustawy o prostytucji nie znali konstytucji? A może oglądali w telewizji Lilo Wanders, niemieckiego aktora, ojca trojga dzieci, który występował wtedy w kobiecej roli w popularnym programie „Wa(h)re Liebe?” („(Czy) to miłość?”) w VOX TV?

Elke Mack i jej zespół badawczy podkreślają, że opinia państwa prawa, jakoby w ramach legalnej prostytucji dało się zapewnić prawa osób uprawiających ten proceder, była iluzją. Zwracają oni uwagę, że większość prostytutek w Niemczech to cudzoziemki o niskim poziomie wy-

Niemcy: bezrobocie spada



Jan Bogatko

Prostytucja degraduje człowieka do roli obiektu. Narusza to wprost dyspozycję niemieckiej ustawy zasadniczej, dla której godność człowieka jest nienaruszalna. Rząd Niemiec z jednej strony żąda przestrzegania praw człowieka w innych krajach, a z drugiej toleruje u siebie niewolnictwo

kształcenia. Obsługują one codziennie od 10 do 20 klientów. Wiele z nich to ofiary szantażu – mówi prof. Mack. Badacze przedstawiają opinie lekarzy. Wskazują oni na liczne poważne obrażenia, na choroby przenoszone drogą płciową. Podkreślają obłudę rządu Niemiec, który z jednej strony żąda przestrzegania praw człowieka w innych krajach, a u siebie toleruje niewolnictwo.

Niczego w tym nie zmienia ustawa o ochronie prostytutek z 2017 r., której celem było złagodzenie skutków liberalizacji i zwalczanie handlu żywym towa-

rem, przemocy i wyzysku prostytutek. Jej główne elementy to zezwolenia na działalność burdeli i dokument prostytutki, po niemiecku potocznie „Hurenpass”. Ale ta ustawa to kit – mówią eksperci z grupy badaczy Elke Mack. Większość prostytutek (kobiet i mężczyzn) pracuje w szarej strefie. I to nie na własny rachunek. Na domiar złego jest ich ponad ćwierć miliona – zwraca uwagę mecenas Ulrich Rommelfanger, konstytucjonalista z Wiesbaden. A nawet ich liczba wynosi ok. 450 tys. – dodaje prof. Mack. Ponad 90 proc. prostytutek, większość z nich



FOT. ADRIEN STUCK

to kobiety, nie pracuje dobrowolnie. Rommelfanger uważa je za ofiary handlu żywym towarem i przymusowej prostytucji. Píše on: „Absolutną większość tych kobiet, pochodzących zazwyczaj z Europy Południowo-Wschodniej, Afryki czy z Azji, do prostytucji przymuszono; bezwzględni alfonsi, niewolnictwo czy wyzysk to reguła, a nie wyjątek”.

Adresy tych najbardziej znanych seksryneków w Niemczech zna każdy turysta. Wśród nich oczywiście Reeperbahn w hamburskiej dzielnicy Sankt Pauli w Hamburgu. Najbardziej znana ulica w Hamburgu to miejsce akcji licznych filmów, w tym klasyków sztuki filmowej, jak „Na Reeperbahn o pół do pierwszej” z 1954 r. czy o 10 lat starszy (powstały w ostatnich dniach tysiącletniej Rzeszy) „Große Freiheit Nr. 7”, wpisany na listę stu najważniejszych niemieckich filmów. To one uwieczniły dzielnicę rozrywki na taśmie filmowej dla setek tysięcy kinomanów. I seksturystów z całego świata.

Ściągają oni też do Kolonii, do pierwszego w Europie burdelu wieżowca (11 pięter, różowa elewacja). Cieszy się on nie najlepszą opinią u policji, prowadzącej śledztwa w sprawie zabójstw, obrotu narkotykami, rozboju czy burd. Na próżno szukać tu opiewanej w przebojach romanzyki. Może Jonni Hamburg śpiewać „Auf der Reeperbahn nachts um halb drei”, pytając, czy miłość może być grzechem, ale tu chodzi o twardy biznes. A seks, do którego się przymusza niewolnice, to nie miłość. Lekarz Wolfgang Heide dodaje, że z psychicznymi traumami prostytutki radzą sobie za pomocą lekarstw, alkoholu i narkotyków. Ich stan zdrowia jest katastrofalny, wiele przedwcześnie się starzeje. Z wywiadów, przeprowadzonych wśród 210 terapeutów, zajmujących się traumami pacjentów, wiadomo, że większość prostytutek cierpi z tego powodu. Ich osobowość ulega rozbiciu. Taki odsetek chorych występuje poza prostytutkami u ofiar tortur czy wśród żołnierzy na froncie.

KOBIETY KOBIETOM

Prostytucja i handel żywym towarem są ze sobą powiązane. Ostatnio ten handel wyraźnie się wzmógł. Ściganie tego przestępstwa jest w Niemczech bardzo trudne, ponieważ prostytucja jest legalna. Niewiele prostytutek zgłasza się na

policję, by zeznać, że jest ofiarą przemocy. W tej sytuacji prokuratorzy mogą jedynie mówić o bezsilności. Ponadto w Niemczech mamy do czynienia z potężnym lobby feministek, zaangażowanych swego czasu na rzecz legalizacji prostytucji. Występują one jako nowoczesne kobiety w debacie publicznej (często są one właścicielkami burdeli), głównie w popularnych programach telewizyjnych. Sprawia to wrażenie, że reprezentują one pozostałe 90 proc. pracowników horyzontalnego biznesu.

Dla badaczy to humbug. Zwłaszcza wtedy, kiedy przekonują one, że prostytucja to taki sam normalny zawód jak każdy inny. Tak samo ryzykowny i tak samo odbijający się na zdrowiu. Tymczasem większość prostytutek to psychiczne wraki. Były wysoki funkcjonariusz policji kryminalnej, który przez wiele lat pracował w dzielnicy „czerwonych latarni”, Helmut Sporer, uważa, że aktualne ustawodawstwo w Niemczech rozmija się z realiami. prostytutka, pracująca samodzielnie na własny rachunek, to raczej wyjątek. Większość z nich pracuje dla alfonsa, nie dla siebie.

SZUKANIE ROZWIĄZANIA

Skoro problem prostytucji zdefiniowano, to powstaje pytanie, jak go rozwiązać. Może należałoby wprowadzić tzw. model skandynawski, w którym karze podlegają klienci, a nie prostytutki. O to walczy Inge Bell, przewodnicząca Niemieckiego Instytutu Stosowanej Analizy Kryminalnej, dziennikarka i aktywistka organizacji Terre des Femmes. Czy istnieje w ogóle taka wola? Wśród posłów do Bundestagu zdania na temat delegalizacji branży horyzontalnej są podzielone.

Do zdecydowanych orędowników modelu skandynawskiego (obowiązuje on także we Francji) należy posłanka SPD, partii, która wraz z Zielonymi ponad 20 lat temu wprowadziła w życie krytykowaną dziś powszechnie ustawę na rzecz legalizacji prostytucji, Leni Breymaier. Jest ona rzeczniczką klubu poselskiego SPD do spraw kobiet. Breymaier, sama dość kontrowersyjna, uważa ustawę byłego kanclerza Schrödera w sprawie legalizacji prostytucji za sprzeczną z konstytucją Niemiec. Ale jej zdanie to jedno. Aby obalić postanowienia ustawy o prostytucji, wprowadzającej faktycznie

handel żywym towarem w Niemczech, potrzeba poparcia ze strony 184 posłów do Bundestagu. Breymaier uważa, że można to poparcie uzyskać. Przeczy temu jednak wynik ankiety, przeprowadzonej przez berlińską gazetę „Die Welt”. Na przykład dla Nicole Bauer, rzeczniczki do spraw kobiet współrządzającej w Berlinie partii FDP, model skandynawski nie byłby dla Niemiec właściwym rozwiązaniem. Jej zdaniem wprowadzenie go, równające się zakazowi prostytucji, mogłoby zgoła zwiększyć przemoc wobec kobiet.

W podobnym tonie wypowiadają się inni politycy. Poseł sprawozdawca SPD, Ariane Fäscher, uważa, że „należy odczekać” na zbadanie skutków ustawy o ochronie prostytutek oraz że aktualnie za wcześniej jest na dyskusję o zakazie prostytucji. Podobnie sądzi Denise Lopp, posłanka Zielonych. Jej zdaniem zakaz prostytucji to „łatwa, ale błędna odpowiedź polityki na handel żywym towarem i przymusową prostytucję”. Powołuje się ona na badania, z których wynika, że przemoc wobec prostytutek w przypadku zakazu jej uprawiania rośnie. Profesor Elke Mack wyraża diametralnie odmienną opinię. Wskazuje ona na doświadczenia poczynione z zakazem prostytucji w Szwecji, Irlandii, Izraelu i Francji, które to kraje przestały być atrakcyjne dla handlarzy żywym towarem. Także klienci prostytutek nie są więcej zainteresowani ich usługami. Karalność z pewnością odgrywa tu rolę. Ciekawe rozwiązanie wprowadzono we Francji. Klienci prostytutek przechodzą szkolenia, unaoczniające im cierpienia wykorzystywanych seksualnie kobiet i mężczyzn.

CDU/CSU już dzisiaj opowiada się za wprowadzeniem w Niemczech modelu skandynawskiego. Wiceprzewodnicząca klubu poselskiego CDU/CSU, Dorothee Bär, podkreśla, że sytuacja prostytutek w Niemczech, wśród których jest wiele nieletnich, jest katastrofalna. Jak nigdy dotąd. Nie da się jej zdaniem chronić ludzi w prostytucji, lecz trzeba ich chronić przed prostytucją. Zakaz biznesu horyzontalnego uczyni rynek niemiecki dla alfonsów i handlarzy żywym towarem nieatrakcyjnym – przekonuje Bär.

Na razie bezrobocie w niemieckim seksbiznesie spada. Inna sprawa, czy to jest jednak dobra wiadomość.



Jacek Przybylski

Majątek ekscentrycznego inwestora stopniał przez kilka tygodni o kilkadziesiąt miliardów. Okazuje się też, że bogacz mocno przepłacił, kupując Twitter. Platforma jest dziś warta mniej niż połowę tego, co przed rokiem. Musk nie zamierza jednak składać broni. Chce stworzyć platformę będącą jednocześnie portalem społecznościowym, bankiem i serwisem randkowym. I ostrzega ludzkość przed sztuczną inteligencją

Twórca takich firm jak Tesla, PayPal, Boring Company czy SpaceX mimo topniejącej fortuny z powodu kiepskich wyników Tesli za trzeci kwartał 2023 r. jest nadal najbogatszym człowiekiem świata (w październiku wartość jego majątku spadła poniżej 200 mld dol., ale 3 listopada Bloomberg wycenił już majątek słynnego 52-latk na 208 mld dol., a „Forbes” na 229,9 mld dol.). Majątek 74-letniego „króla luksusu” Bernarda Arnaulta, właściciela luksusowego koncernu LVMH, stopniał bowiem w ostatnich tygodniach jeszcze bardziej (Bloomberg 3 listopada szacował jego wartość na 163 mld dol., a „Forbes” na 183,1 mld dol.).

Elon Musk może jednak liczyć na to, że giełdowa wycena Tesli wzrośnie. Gorzej jest z X, czyli dawnym Twitterem. Miliarder zapłacił za tę platformę aż 44 mld dol. Po roku zmian, masowych zwolnień i utracie dużej części reklamodawców zarząd spółki (wciąż tworzony jednoosobowo przez Elona Muska) oszacował obecną wartość platformy X na ok. 19 mld dol. To aż 55 proc. mniej niż w październiku 2023 r. wyłożył najbogatszy człowiek świata. Tymczasem wycena platformy może być jeszcze niższa. Już pod koniec maja analitycy funduszu Fidelity Blue Chip Growth Fund oszacowali wartość Twittera (tak się jeszcze wówczas nazywał) na zaled-

Ambitne plany „zbawcy świata”



wie 15 mld dol. Z informacji podanych przez amerykańskie media w ubiegłym tygodniu wynika zaś, że eksperci Fidelity we wrześniu obniżyli wartość platformy społecznościowej o kolejne 8 proc.

NIEROZSĄDNY ZAKUP

Prywatny fundusz Fidelity Investments nie wyjaśnia, w jaki sposób jego analitycy obliczają wartość akcji spółek nienotowanych na giełdzie papierów wartościowych. Może się więc okazać, że rację ma sam „zarząd” spółki, a nawet że gdyby akcje X zadebiutowały na parkiecie, to wycena platformy byłaby jeszcze wyższa.

Jedno jest pewne: zarówno liczba pobrań X (dawnego Twittera), jak i przychody z reklam platformy pod rządami miliardera znacząco spadły. Z szacunków takich firm

jak Sensor Tower wynika, że od października 2022 r. do września 2023 r. liczba pobrań X na całym świecie spadła o ok. 38 proc., a liczba pobrań tej aplikacji na urządzenia mobilne zmalała aż o 57 proc. Jednocześnie w ciągu roku o 2 proc. zmalały zarówno średni czas, który statystyczny użytkownik spędził na platformie, jak i liczba sesji. Jak ocenili analitycy SimilarWeb, liczba aktywnych użytkowników X spadła globalnie o 14,8 proc.

Kiepskie wyniki oraz kontrowersje wokół Twittera/X przełożyły się na istotnie głębszy spadek przychodów reklamowych X niż innych firm technologicznych (żeby być fair wobec miliardera, trzeba zauważyć, że spowolnienie dotyczące ruchu na platformach, a także w kwestii przychodów z reklam, obserwowane jest w ostat-



nie opłat dla wszystkich użytkowników swojej platformy społecznościowej. Według „San Francisco Chronicle” miliarder miał niedawno tłumaczyć w rozmowie z premierem Izraela Benjaminem Netanjahu, że niewielka, wręcz symboliczna opłata za korzystanie z serwisu miałaby stanowić oręż w walce z ogromnymi armiami botów. Wprowadzenie obowiązkowych opłat miałoby też zniechęcić różne osoby do tworzenia fałszywych kont, wykorzystywanych do szerzenia spamu, dezinformacji czy antysemityzmu.

Ekscentryczny biznesmen nie ujawnił, jak wysoka byłaby ta „symboliczna opłata”. Analitycy spekulowali, że rocznie wynosiłaby ona 1 dol. (równowartość 4,2 zł). „Opłatę subskrypcyjną” dokładnie takiej wysokości od połowy października X testuje na dwóch rynkach – w Nowej Zelandii oraz na Filipinach. Nowi użytkownicy serwisu w tych krajach w ramach programu „Not a Bot” („Nie jestem botem”) muszą zapłacić 1 dol. rocznie, aby móc publikować posty oraz wchodzić w interakcje z innymi użytkownikami. Ci, którzy płacić nie chcą w ogóle, nadal mogą mieć konto, ale mogą jedynie czytać posty, oglądać zamieszczane w serwisie filmy, nie mogą już jednak brać udziału w żadnych dyskusjach.

WSZYSTKO W JEDNYM

Płatne konta dla wszystkich użytkowników platformy mają być jedynie początkiem rewolucji X. Elon Musk w październiku obecnego roku miał zlecić pracownikom platformy, aby przygotowali się do udostępnienia na portalu wszelakich usług finansowych. Platforma X do końca 2024 r. ma umożliwiać użytkownikom nie tylko wykonywanie przelewów czy opłacanie rachunków, lecz także inwestowanie w papiery wartościowe. – Kiedy mówię o płatnościach, tak naprawdę mam na myśli całe życie finansowe danej osoby – mówił na zebraniu z pracownikami miliarder, cytowany przez portal The Verge, który otrzymał nagranie audio z tego spotkania. – Jeżeli coś dotyczy pieniędzy, to ma być na naszej platformie. Pieniądże, papiery wartościowe czy cokolwiek innego – precyzował Elon Musk. Usługi finansowe oferowane przez platformę mają być tak rozwinięte, aby użytkownicy X nie tylko mogli przysyłać sobie pieniądze, lecz także nie potrzebowali już żadnego konta w banku.

nich miesiącach również przez innych graczy na amerykańskim rynku). Portal Insider Intelligence szacuje, że w 2023 r. globalne przychody reklamowe X wyniosą 2,98 mld (!) dol. zamiast prognozowanych wcześniej 4,74 mld dol. Sam Elon Musk przyznał z kolei we wrześniu, że jego platforma straciła na terenie Stanów Zjednoczonych ok. 60 proc. zysków z reklam.

NA RATUNEK LUDZKOŚCI

Sam Elon Musk przyznał publicznie, że zakup Twittera nie był „rozsądny finansowo”. W programie znanego amerykańskiego prezentera telewizyjnego Joe Rogana przekonywał zaś niedawno, że zdecydował się na tę transakcję nie ze względu na chęć zarobku, ale kwestie ideologiczne.

Chciał bowiem uratować ludzkość przed działającą w Kalifornii grupą, która na Twitterze propagowała ideologię „zmieniającą ludzi w zombie”.

Miliarder widzi jednak w platformie ogromny potencjał do zarabiania pieniędzy. Skoro X traci przychody z reklam, to najbogatszy człowiek świata próbuje zwiększać źródła dochodu na innych polach. Uruchomił więc możliwość wykupienia kont premium (użytkownicy korzystający z płatnego abonamentu mogą m.in. edytować swoje posty, nie wyświetla im się też tak dużo reklam jak pozostałym; posty osób, które płacą za swoje konta na platformie, są też wyświetlane priorytetowo).

W ostatnich tygodniach Elon Musk wspominał zaś, że rozważa wprowadze-

FOT. TOBY MEVILL/POOL / GETTY IMAGES

■ Według informacji amerykańskich mediów Elon Musk chce przebić założony przez siebie przed laty PayPal i stworzyć serwis, który nie tylko umożliwiałby transfery pieniężne z dowolnego miejsca na świecie w czasie rzeczywistym, lecz także oferowałby konta oszczędnościowe, wydawałby karty płatnicze oraz udzielałby kredytów.

Zresztą już w kwietniu 2022 r. – jeszcze przed zakupem Twittera – miliarder zauważył, że widzi potrzebę istnienia platformy społecznościowej, która oferowałaby obsługę płatności. Na wspomnianym zebraniu z października 2023 r. właściciel X bardzo jasno dał więc podwładnym do zrozumienia, że „wścieknie się, jeśli nie uda się tego zrobić w terminie”.

Według serwisu CoinDesk.com platforma X uzyskała już niezbędne licencje na przesyłanie pieniędzy zarówno drogą tradycyjną, jak i elektroniczną (w stylu PayPal) oraz obsługę walut w siedmiu amerykańskich stanach. W stanie Rhode Island X ma już nawet licencję na obsługę kryptowalut. Najtrudniejsze będzie jednak nie tyle zdobycie odpowiednich pozwoleń – choć jeśli X.com ma działać globalnie, to musi zdobyć licencje nie tylko we wszystkich stanach USA, lecz także w wielu państwach świata – ile przekonanie setek milionów ludzi, że mogą na tyle zaufać platformie X.com, aby powierzyć firmie Elona Muska całe swoje finansowe życie.

Zresztą miliarder ma chrapkę również na inne dziedziny życia internautów. Platforma X ma się stać „apką do wszystkiego”. I jest to pomysł, na który miliarder wpadł w marcu 1999 r. Jak zauważył Walter Isaacson, autor biografii Elona Muska, ekscentryczny przedsiębiorca już wówczas uruchomił internetowy bank X.com. Jego koncepcja działania serwisu już wtedy była bardzo ambitna. Doszedł on bowiem do wniosku, że pieniądze to po prostu zapis w bazie danych. „Jeśli usunie się wszystkie powody, dla których konsument miałby wycofywać pieniądze z systemu, to stworzy się miejsce, w którym znajdują się wszystkie pieniądze, a to sprawi, że firma będzie warta wiele bilionów dolarów” – tak wyglądał wówczas plan kontrowersyjnego innowatora, opisany w wydanym we wrześniu 2003 r. bestsellerze autorstwa Waltera Isaacsona. To zaś wreszcie wyjaśnia, dlaczego tak szybko Musk pozbył się kojarzonej na

całym świecie nazwy Twitter i zmienił platformę na X.com, która umożliwia rozszerzenie działalności poza serwis społecznościowy. Stworzony przez niego serwis ma skupiać uwagę użytkowników przez długi czas, umożliwiając przesyłanie wiadomości, oglądanie filmów, dokonywanie płatności oraz robienie zakupów. Zresztą w obecnych czasach nie brzmi to już tak bardzo jak science fiction jak na przełomie wieków XX i XXI. Aplikacje takie jak Alipay czy WeChat w Chinach mają już wiele podobnych funkcjonalności – umożliwiają nie tylko przesyłanie wiadomości, lecz także dokonywanie płatności, robienie zakupów, rezerwowanie lotów, pociągów i hoteli, zamawianie przejazdów czy dostaw jedzenia. Działa więc jak połączenie Twittera z PayPalem, zintegrowane o dodatkowe funkcje.

Oczywiście wiele z tych usług oferuje już lub planują również konkurenci X.com, jak Meta czy TikTok. X.com ma być jednak jeszcze bardziej rozbudowanym serwisem. Już w lipcu 2023 r. do opinii publicznej dotarła informacja, że serwis Elona Muska eksperymentalnie umożliwia wybranym przez siebie firmom błyskawiczne dodawanie za pomocą swojej platformy nowych ofert pracy. Miliarder kazał również swoim pracownikom rozpocząć prace nad uruchomieniem w ramach platformy społecznościowej pełnoprawnego serwisu randkowego.

POŻEGNANIE Z EUROPA?

Jednocześnie najbogatszy człowiek świata toczy ostry spór z urzędnikami Komisji Europejskiej, która przypomina miliarderowi, że działając na Starym Kontynencie, musi podporządkować się unijnym przepisom. W przeciwnym razie unijni biurokraci mogą nałożyć na platformę X kary finansowe wynoszące nawet 6 proc. rocznych przychodów firmy.

Na razie wiele wskazuje na to, że Elon Musk podporządkowywać się Brukseli absolutnie nie zamierza. I że prędkiej zaprzestanie działalności na terenie Unii Europejskiej. Zresztą ekscentryczny biznesmen już wcześniej zapowiadał, że należąca do niego platforma powinna być dostępna jedynie w tych państwach, w których jest najbardziej popularna (jak USA, Japonia, Indie, Indonezja, Brazylia, Wielka Brytania, Turcja czy Meksyk). Tymczasem posiadacz kont z państw

UE stanowią obecnie niecałe 10 proc. wszystkich użytkowników na platformie X (najwięcej jej użytkowników w krajach Unii Europejskiej jest w Niemczech, we Francji oraz w Hiszpanii).

KOSMICZNE ZYSKI

I chociaż ostatnie miesiące pokazały, że ekscentryczny miliarder nie jest królem Midasem, to wiele jego śmiałych projektów – początkowo powszechnie wyśmiewanych – po czasie okazuje się być trafem w dziesiątkę. W ubiegłym tygodniu Elon Musk, który jest jednocześnie dyrektorem generalnym spółki SpaceX, ogłosił, że usługa satelitarnego Internetu znana jako Starlink przekroczyła wreszcie próg rentowności. Wiele osób śmiało się też z ekscentrycznego miliarda, gdy ogłaszał, że chce budować międzyplanetarne rakiety, a teraz jego spółka ma już zawarte kontrakty z amerykańskim rządem na obsługę kosmicznych transportów, a SpaceX realizuje również kontrakty na misje dla Departamentu Obrony.

STRACH O PRZYSZŁOŚĆ LUDZKOŚCI

Elon Musk chętnie zabiera też publicznie głos we wszelkich kwestiach. Na początku listopada kolejny raz poparł politykę prorodzinną rządu w Budapeszcie. „Posiadanie dzieci powinno być zachętą, a nie karą finansową, jak to ma miejsce w większości państw” – napisał na X.com biznesmen, który wielokrotnie wyrażał wcześniej obawy przed starzeniem się społeczeństw i spadkiem populacji. I chociaż najbogatszy człowiek świata jest akurat stanu wolnego, to nie można zarzucić mu, że nic nie robi poza tym, iż ostrzega ludzkość przed nagłym spadkiem populacji. Pięćdziesięciodwulatek ma już 10 dzieci z trzema różnymi kobietami.

Ekscentryczny miliarder udostępnił również dostęp do satelitarnego systemu komunikacji Starlink Ukraincom walczącym z Rosją, a także organizacjom humanitarnym działającym w brutalnie atakowanej przez Izrael Strefie Gazy. Na początku listopada Elon Musk wziął też udział w AI Safety Summit w Bletchley Park, gdzie ostrzegał publicznie przed „wyginięciem ludzkości” i zgubnymi skutkami niekontrolowanego rozwoju sztucznej inteligencji. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czy ktoś się odważy?

Czy ktoś się odważy powiedzieć Polakom prawdę? Prawdę o tym, że w ostatnich latach – za rządów PiS – zaczęliśmy żyć sporo ponad stan; zaczęliśmy wydawać dużo więcej, niż powinniśmy. I albo będziemy tę politykę kontynuować – aż do upadku – albo się opamiętamy i w porę wrzucimy tryb oszczędzania.

Pisząc „ktoś”, mam na myśli liczącego się polityka – o wielkim znaczeniu dla opinii publicznej, a więc także o decydującym wpływie na rozwój wypadków w Polsce, który rozumie powagę sytuacji i będzie miał odwagę, by z takim niepopularnym przesłaniem zderzyć się z wyborcami. Polityka, który interes państwa gotów byłby przedłożyć ponad interes własny i swej partii. Przy czym, przy całym szacunku dla rozmiarów ich wpływów, nie chodzi mi o poseła Lubnauer czy posła Petru.

Z grubsza wiadomo, co należałoby uczynić. Trzeba na powrót przedstawić wajchę z konsumpcji na inwestycje – tak, aby ich udział w PKB z obecnych, fatalnych 17 proc. co najmniej powrócił do ponad 20 proc. z 2015 r., a najlepiej – by wzrósł do 25 proc. PKB, o których marzył rząd PiS. A tego zapewne nie da się dokonać, nie tnąc wydatków socjalnych – trzeba byłoby co najmniej ograniczyć program „800+” do najbardziej potrzebujących i polikwidować wszystkie te „wyprawki szkolne+”, „bony wakacyjne+”, „wakacje kredytowe+”, „kredy-

ty mieszkaniowe 2 proc.+” itd. A także czym prędzej na powrót zacząć podnosić wiek emerytalny – do uprzednich 67 lat dla kobiet i mężczyzn oraz zlikwidować drożyzniane zasiłki, szumnie nazywane 13. i 14. emeryturami.

No dobrze, to wszystko mniej więcej wiadomo, lecz czy – jak wspomniałem wyżej – znajdzie się w Polsce ów śmiałek – ów liczący się, ważny polityk – który dla dobra Polski zaryzykuje swoją karierę i powodzenie swojej partii? I odważy się powtórzyć za byłym ministrem finansów Jackiem Rostowskim – choć dobrze byłoby, gdyby uczynił to lepszą polszczyzną – że „piniendzy po prostu nie ma”?

Czy też znów się okaże, że jedyną w Polsce osobą, która zawsze – także wtedy, gdy sprawowała władzę lub o jej sprawowanie zabiegała – miała odwagę bez ogródek mówić o koniecznych terapiach gospodarczych, nawet jeśli oznaczały one trudne do zaakceptowania oszczędności, jest Leszek Balcerowicz? Dwukrotnie wicepremier i minister finansów, a także szef NBP w czasach, gdy złoty uchodził za jedną z najstabilniejszych walut; polityk, któremu odwaga mówienia owych niepopularnych rzeczy nie przeszkadzała w zdobywaniu władzy, a jego wyborcom – w obdarzaniu go nią.

Chociaż, wiadomo – było to „w zupełnie innych czasach”. Dziś – „w nowych czasach” – Leszek Balcerowicz może już tylko wołać na puszczy. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Halloweenowe chuligaństwo

Znajomy katecheta z niewielkiej miejscowości opisał i pokazał na Twitterze, jak jego okna zostały obrzucone jajkami po tym, jak odmówił udziału w halloweenowym rytuale „cukierek albo psikus” („treat or trick”). Szybko się okazało, że to nie odosobniony przypadek, ale coraz powszechniejsze zjawisko. Osoby odmawiające udziału w całkowicie obcej kulturowo zabawie, przywleczonej do Polski przez popkulturę jako

nie miały chęci uczestniczyć. Z czasem takie przypadki jednak zniknęły niemal całkowicie. Pytanie, czy dlatego, że zabrała się za nie energicznie policja, czy dlatego, że polskie zwyczaje jakoś straciły na atrakcyjności – nawet w wypaczonych formie.

Jednak w przypadku Halloween wydaje się chodzić o coś więcej. Odmowa wzięcia udziału w zabawie, która jest ewidentnie sprzeczna z polskim obyczajem i tradycją – te bowiem w tym okresie nakazują skupienie i wspomnienie o zmarłych, a nie przebieganie się za kościotrupy – jest odczytywana jako opowiedzenie się za tym zestawem wartości, które u „fajnopolaków” wywołują furję. I nie ma znaczenia, że mówimy tutaj o niepełnoletnich.

Jeśli nastolatek uważa, że wolno mu 31 października nachodzić obcych ludzi, a jeżeli nie zostanie przyjęty, to może im obsmarować drzwi keczupem albo obrzucić ścianę jajami, to takie przekonanie wynosi przecież z domu. Stamtąd wynosi też przyzwolenie na agresję wobec osób niechętnych tym modom.

A jeśli już ktoś konieczne chce coś przedsięwziąć w nocy z 31 października na 1 listopada, to zawsze może skorzystać w tradycji dziadów jesiennych, najlepiej sięgając po drugą część poematu Mickiewicza jako przewodnik. ©

Nastolatki przyzwolenie na agresję wobec osób niechętnych modom sprzecznym z polskim obyczajem wynoszą z domu

gatunek pasożytniczy, coraz częściej stają się ofiarami zwykłego chuligaństwa. Ich domy albo drzwi są obrzucane jajkami, oblewane keczupem, a nawet zdarza się, że na ścianach pojawiają się wulgarne napisy.

Przypomina to nieco chuliganerię, która przez lata panoszyła się w lany poniedziałek, wypaczając tym razem rdzennie polski obyczaj i oblewając wiadrami wody przypadkowe osoby, które wcale w tej „zabawie”

Libertariański lew na ratunek Argentynie



Jakub Wozinski

Głoszący radykalnie wolnorynkowe poglądy ekonomista Javier Milei ma spore szanse, żeby wyrwać Argentynę z socjalistycznego koszmaru, w którym kraj ten tkwi od kilkudziesięciu lat

Już 19 listopada mieszkańcy kraju, który zmaga się obecnie z inflacją sięgającą 138 proc., zdecydują, czy chcą, aby ich krajem rządził znany z krewkiego zachowania polityk, zapowiadający całkowite zerwanie z dominującym od lat peronizmem. Choć osób całkowicie przekonanych do głoszonych przez niego poglądów jest stosunkowo niewiele, to wynędniali i zmęczeni socjalizmem obywatele mogą zechcieć spróbować wreszcie czegoś nowego.

KRAJ Z UPADŁĄ WALUTĄ

Argentyna to kraj, który od lat zmierza konsekwentnie w tym samym kierunku, w którym wcześniej przez lata zmierzała Wenezuela. Już dziś 40 proc. obywateli żyje w ubóstwie, a argentyńskie peso jest w zasadzie walutą upadłą, której nikt nie chce przyjmować, o ile nie jest do tego zmuszony. Nie powinno więc

dziwić to, że w ciągu ostatnich kilku lat tak zawrotną karierę zrobił Javier Milei, postulujący dolaryzację gospodarki. Wcześniej uczyniły tak już inne kraje regionu, jak choćby Ekwador czy Salwador, i nie wyszły na tym najgorzej. Rezygnacja z własnej waluty to rozwiązanie drastyczne, ale stan, w jakim znalazła się gospodarka Argentyny, jest tragiczny i wymaga drastycznych rozwiązań.

Analizując całą sprawę na chłodno, trudno nie zauważyć, że uzyskanie przez Javiera Milei tak znacznego poparcia w wyborach prezydenckich (30 proc. oddanych głosów w pierwszej rundzie) to prawdziwy fenomen. Kraje latynoamerykańskie, a zwłaszcza Argentyna, nie słyną bynajmniej z wielkiego entuzjazmu społecznego wobec idei wolnorynkowych. W większości krajów świata politycy odwołujący się do tego rodzaju narracji rzadko zyskują więcej niż 10 proc.

głosów. A tymczasem nagle okazało się, że szczególne wzięcie wśród wyborców ma polityk, który głosi hasła najbardziej libertariańskie spośród wszystkich, które dotąd przedarły się do politycznego głównego nurtu w ostatnich latach.

Gdybyśmy chcieli zrozumieć, na czym polega niezwykłość kariery Milei, najlepiej zestawzić go ze Sławomirem Mentzenem. Oba polityków łączy to, że są szczególnie popularni wśród młodych osób, posiadają wykształcenie ekonomiczne, głoszą wolnościowy przekaz oraz dobrze odnajdują się w nieco luźniejszej formule publicznych wystąpień. O ile jednak Konfederacja Mentzena zdołała uzyskać w wyborach raptem 7,16 proc. głosów, łagodząc stopniowo pierwotny przekaz likwidacji „PIT, CIT, ZUS, VAT”, o tyle Milei na hasłach likwidacji Banku Centralnego Argentyny oraz całkowitej prywatyzacji służby zdrowia zyskał realną szansę na zwycięstwo w wyborach.

Podczas gdy Mentzen pije na swoich spotkaniach piwo, Milei tańczy w skórzanej kurtce przy muzyce rockowej, zachowując się niczym gwiazdor estrady. W typowy dla południowców sposób bywa bardzo ekspresyjny i nie powstrzymuje gniewu, gdy ma do czynienia z irytującymi go politykami. Jego kariera polityczna zaczęła się zresztą od tego,



Javier Milei jest zawzięcie zwalczany zarówno przez miejscowy, jak i międzynarodowy establishment

FOT. TOMAS F. CUESTA/POOL/AP/EAST NEWS

że jako ekonomista odwiedzający stacje telewizyjne w roli eksperta wdawał się w ożywione spory z ideowymi przeciwnikami. Im bardziej Argentyna pograżała się w koszmarze hiperinflacji, tym bardziej jaśniała telewizyjna gwiazda eksperta wskazującego palcem winnych oraz tłumaczącego w przystępny sposób mechanizm ciągłego wzrostu cen oraz narastającej biedy. W czasach, gdy kanony marketingu politycznego nakazują powściągliwość i opanowanie, Milei postawił na swoją ekspresyjność oraz cięty język i osiągnął dzięki temu niemały sukces.

PRZECIW MORDERCOM GOSPODARKI

Javier Milei pochodzi ze stołecznego Buenos Aires, gdzie w młodości uczęszczał do katolickich szkół. Pasjonowała go muzyka rockowa i próbował swoich sił na scenie, ale ostatecznie został ekonomistą. Od ponad 20 lat pnie się po kolejnych szczeblach kariery jako doradca w prywatnych firmach i funduszach, członek think tanków oraz fundacji i wreszcie główny ekonomista wielkich banków i instytucji. Ostatnie lata przed podjęciem kariery w wielkiej polityce spędził w Corporacion America, czyli firmie należącej do czwartego najbogatszego

Argentyńczyka Eduarda Eurnekiana. Były pracodawca wspiera obecnie Javiera Milei, przekonując, że to znający się na rzeczy fachowiec, co jednocześnie budzi u wielu osób obawy, że ekonomista to tak naprawdę osoba dobrze ugruntowana w miejscowym establishmentie i nie doprowadzi do żadnych zmian.

To, na ile Milei rzeczywiście jest fachowcem, a na ile libertariańskim populistą, pozostaje oczywiście kwestią sporną. Jako główny ekonomista z bogatym doświadczeniem z pewnością zna się na finansach i zarządzaniu, lecz doświadczenie z wielkiego biznesu niekoniecznie musi przekładać się na praktykę sprawowania funkcji publicznej i zarządzania państwem. Można odnieść wrażenie, że Milei zbyt łatwo transponuje kategorie i schematy znane z rynków kapitałowych na sferę rządzącą się innymi prawami. Jego krytycy zauważają, że gdy Milei bywa skonfrontowany z różnego rodzaju trudnościami praktycznymi, reaguje gniewem lub wygłasza libertariańskie formułki sprowadzające się do wykazywania, że państwo to w gruncie rzeczy jedna wielka grupa przestępcza.

W bezkompromisowym przekazie serwowanym przez argentyńskiego polityka rządzącego Argentyną od lat politycy to dosłownie „mordercy”, którzy

wszystko niszczą i kierują się nienawiścią. Swego czasu wiele kontrowersji wzbudziło także to, że określił papieża Franciszka mianem „ohydne go lewicowca” oraz „imbecylem broniącym sprawiedliwości społecznej”. Zdaniem Javiera Milei argentyński następca św. Piotra sympatyzuje z „krwawymi dyktatorami” i „zawsze bierze stronę zła”, ponieważ jest klasycznym przykładem socjalisty peronisty, którego światopogląd zbudowany jest na zazdrości, resentymentach i niechęci wobec wolności. W reakcji na tak zdecydowane opinie na temat papieża część argentyńskich kapłanów odprawiła nawet nabożeństwa wynagradzające.

OBUDZIĆ LWY

Inwektywy i wybuchy gniewu Javiera Milei można z całą pewnością odczytywać jako wyraz krańcowej frustracji tym, co dzieje się w Argentynie. Kraj, który obfituje w bogactwa naturalne i teoretycznie powinien zaliczać się do najbogatszych na świecie, znalazł się na równi pochyłej i niweczy swój potencjał. Bojowe wyposażenie libertariańskiego kandydata na prezydenta zyskuje rosnący pokłask właśnie dlatego, że odzwierciedla społeczną potrzebę powstrzymania zakłętą marszu ku coraz większej nędzy. Charakterystyczny wygląd Milei, na który składają się bujna czupryna i długie bokobrody, przyczynił się do tego, że oficjalnym symbolem jego kampanii stał się ryczący lew. Sam Milei nie stroni od porównań do lwa, gdyż kreuje się na polityka agresywnie walczącego o wydobycie ojczyzny z gospodarczej otchłani. W jednym ze swoich haseł wyborczych stwierdzał nawet: „Nie przyszedłem, żeby przewodzić owieczkom, lecz żeby obudzić lwy!”.

W swoich wypowiedziach na temat gospodarki i państwa Javier Milei odwołuje się nieustannie do klasyków myśli wolnościowej. Swoje opinie wspiera licznymi odwołaniami m.in. do Ludwiga von Misesa, Fryderyka von Hayeka czy Murraya Rothbarda. Znajduje to niekiedy przełożenie na głoszenie dość kontrowersyjnych propozycji, jak choćby wprowadzenia wolnego handlu organami. Tego rodzaju postulat nie stanowi oczywiście sedna programu argentyńskiego ekonomisty, lecz dostarcza wody na

■ młyn krytyków, którzy przedstawiają go jako niebezpiecznego radykała. Tymczasem Milei przekonuje, że najważniejszą rzeczą dla jego kraju jest uwolnienie gospodarki. Zapowiedział, że zredukuje wydatki socjalne, ograniczy biurokrację, przestanie wprowadzać nowe podatki i okiełzna inflację. Jego zdaniem aby to się powiodło, Argentyna musi ponownie postawić na własność prywatną, dlatego postuluje m.in. stopniową prywatyzację służby zdrowia, sprzedaż najbardziej niedochodowych państwowych firm oraz wprowadzenie bonu edukacyjnego. Najważniejszym punktem jego programu wydaje się jednak wprowadzenie swobodnej konkurencji w zakresie walutowej – obywatele mieliby odtąd sami decydować, z której waluty chcą korzystać na co dzień, a oficjalną walutą państwa stałby się amerykański dolar.

WRÓG ESTABLISHMENTU

Mimo że w wielu aspektach Javier Milei głosi bardzo liberalne postulaty w kluczowych kwestiach współczesnej wojny kulturowej, reprezentuje bardziej konserwatywny światopogląd. Świadczy o tym choćby podejście do aborcji, którą uważa wprost za niedopuszczalne morderstwo. Milei dąży również do tego, aby mieszkańcy Argentyny mieli swobodny dostęp do broni oraz aby ze szkół wyrzucono obowiązkowe zajęcia z wychowania seksualnego. Jego zdaniem naturalną konsekwencją oparcia życia społecznego na własności prywatnej powinno być pozostawienie rodzicom decyzyjności w zakresie tego, w jaki konkretnie sposób chcą wychowywać swoje pociechy.

Milei jest zawzięcie zwalczany zarówno przez miejscowy, jak i międzynarodowy establishment. Otwarcie przyznając, że wzorem dla niego są tacy politycy jak Donald Trump czy Jair Bolsonaro, skupił na sobie uwagę mediów z całego świata, które regularnie raportują na temat niebezpiecznie wzbierającej fali „prawicowego populizmu”. Javiera Milei można oczywiście określić mianem populisty, lecz jedynie poprzez odwołanie do jego antyglobalistycznego programu. Politykę klimatyczną od dawna określa mianem „socjalistycznego kłamstwa”, co na międzynarodowych salonach brzmi jak największe bluźnierstwo. Wiele wpły-

Libertariański lew z Buenos Aires mówi rodakom wprost, że zamierza im stopniowo odbierać przywileje socjalne

wowych osób na świecie obawia się, że w razie przejścia przez „argentyńskiego mini-Trumpa” władzy siły prawicowe na świecie znów przejdą do kontrofensywy i wzorem Trumpa zaczną wycofywać się z polityki klimatycznej.

Antyestablishmentowy charakter Milei nie czyni go jednak rasowym populistą, ponieważ libertariański lew z Buenos Aires mówi swoim rodakom wprost, że zamierza im stopniowo odbierać przywileje socjalne. Już dawno temu przyznał, że w następstwie katastrofalnych błędów popełnianych przez kolejnych peronistów nie sposób dziś pozostawić milionów Argentyńczyków z dnia na dzień bez środków do życia. Jego zdaniem stopniowe wycofywanie się z obecnego państwa dobrobytu (które stało się de facto państwem nędzy) zajmie co najmniej 15 lat. Żyjący z socjału rodacy są jego zdaniem ofiarami, a nie prześladowcami.

ANTYCHIŃSKIE STANOWISKO

Ważnym elementem poglądów głoszonych przez Javiera Milei jest także jego wyraźne antychińskie stanowisko. W czasie kampanii zapowiedział wręcz, że zerwie wszelkie kontakty z Pekinem, co wzbudziło znaczny niepokój ze strony Komunistycznej Partii Chin. Obecny prezydent Fernández wraz z socjalistycznym rządem zgłosił niedawno akces Argentyny do grupy BRICS, lecz dla ceniącego wolność gospodarczą i własność prywatną Mileia taki krok przedstawia się jako absurdalny. Obecnie Chiny to drugi najważniejszy partner handlowy Argentyny oraz podmiot kredytujący m.in. budowę dwóch wielkich tam wodnych, lecz niezwykle prozachodni kurs libertariańskiego kandydata pozwala zakładać, że w razie triumfu byłby zdolny do podjęcia bardzo daleko idących decyzji.

Jak świat światem zestaw odważnych deklaracji i obietnic wyborczych zazwyczaj różni się diametralnie od

togo, co politycy faktycznie robią już po objęciu władzy. Nie ulega wątpliwości, że podobnie byłoby także w przypadku Javiera Milei, który jednak już samą kampanią wyborczą dokonał czegoś niezwykle rzadkiego. W kraju posiadającym skrajnie skorumpowane elity oraz społeczeństwo zdeprawowane przez lata socjalizmu prawicowy ekonomista zdołał obudzić spory entuzjazm oraz nadzieję na to, że Argentyna może uniknąć losu Wenezueli. Zwolennicy uprawiania polityki w bardziej stonowany sposób mogą patrzeć na jego postawę ze sporą rezerwą, lecz pokrzykujący na swoich przeciwników i pomstujący na państwo jako instytucję przestępczą Milei wydaje się obecnie wręcz mężem opatrznościowym dla Argentyny. Ojczyzna Leo Messiego już od ponad 20 lat jest faktycznym bankrutem utrzymywanym przy życiu dzięki kolejnym międzynarodowym pożyczkom, a ostatni kryzys covidowy jedynie pogłębił wszystkie niedomagania gospodarcze. Reformy znoszące socjalistyczny narzut są tak naprawdę spóźnione o kilka dekad i trzeba je podjąć tak szybko, jak to tylko możliwe.

Policzono, że w czasie rządów ustępującego prezydenta Alberta Fernández'a ceny wzrosły o 500 proc. Lewicowe elity na jego następcę namaściły obecnego ministra finansów Sergia Massę, który pomimo doprowadzenia gospodarki do jeszcze bardziej fatalnego stanu pokonał w pierwszej rundzie Javiera Milei, zdobywając 4,7 punktu procentowego więcej. Rezultat zaplanowanej na 19 listopada drugiej rundy jest w tej chwili otwarty, lecz nawet w razie porażki „libertariański lew” zgromadził już na tyle spory kapitał wśród wyborców, że z pewnością zechce go wykorzystać w kolejnych wyborach parlamentarnych.

Postawa Javiera Milei, nawet jeśli część jego propozycji wydaje się nie do zaakceptowania, powinna stać się źródłem inspiracji dla środowisk prawicowych na całym świecie. Warto pochylić się zwłaszcza nad tym, w jaki sposób zdołał pozyskać głosy młodych wyborców, co przy obecnych zmianach cywilizacyjnych wydaje się absolutnym priorytetem, gdy idzie o utrzymanie odpowiedniej liczebności prawicowego elektoratu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



Z PIEKŁA NA WOLNOŚĆ

**Polskie ucieczki
z niemieckich
obozów**

Ośmieszono SS – Jak czterech polskich więźniów uciekło z Auschwitz autem komendanta obozu

Upadek palatyna – Sieciech dążył do obalenia rodu Piastów i stworzenia własnej dynastii

Czarna godzina Habsburgów – Bez wojny z 1866 r. nie doszłoby do zjednoczenia Niemiec

Pionierka seksrewolucji – Zazdrość i wierność były, według Aleksandry Kołontaj, przeżytkami kapitalizmu

Śmierć od tysiąca cięć – Chińska kara lingchi mroziła Europejczykom krew w żyłach

Skąd się wzięła Moskwa – Jak niewielkie księstwo wyzwoliło od Tatarów, a następnie zniewoliło większość ziem ruskich?

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Jak wielu rozbitków z popowstaniowej Warszawy moi dziadkowie, pozbawieni dachu nad głową, trafili do Milanówka. Przedwojenna miejscowość letniskowa z eleganckimi willami w ogrodach przyjęła setki rozbitków ze stolicy, tak jak dziś przyjmujemy Ukraińców. Wille i domy letniskowe podzielono na mieszkania, pokoje, kawalerki.

Dziadkowie należeli do pokolenia urodzonego na przełomie wieków XIX i XX – dziadek do ostatniej dekady XIX w., babcia – już pierwszej XX w. Razem z innymi lokatorami wkwaterowano ich do przedwojennej, eleganckiej willi, z której nowa władza łaskawie nie wypędziła właścicielki, pani Kiersnowskiej. Zajmowała ona mały pokój na górze, urządzony antykami i pachnący perfumami. Wsparta na lasce przechadzała się po ogrodzie, lustrując zniszczenia spowodowane przez nas, hordę bachorów, które ogród traktowały jak pole bitwy, nie szanując gazonów. Wyobrażam sobie, co czuła na ten widok. My bardzo się jej baliśmy.

Poza nami w willi Jasna mieszkało jeszcze jakichś pięciu czy sześciu lokatorów – rodziny, pary, osoby samotne. Kuśnierz z żoną, robotnik z Ursusa z trojgiem dzieci, nauczycielka. Zajmowaliśmy mieszkanie na dole. Składały się na nie przedwojenny salon, oddzielony od niego kryształową szybą gabinet oraz jadalnia. Nie trzeba wyjaśniać, że funkcje te miały charakter czysto nominalny, ponieważ cały system pomieszczeń należało dostosować do nowej roli, czyli do życia czteroosobowej rodziny. Wytworny salon z wykuszem stał się u nas pokojem dziennym i sypialnią w jednym, gabinet – kuchnią. Jadalnia zachowała miejsce do jedzenia, będąc jednocześnie poko-

Wspólnota mieszkaniowa



Joanna Bojańczyk

Dom, w którym wszystko jest funkcjonalne, zaprojektowane i gotowe, nie wywołuje u mieszkańców potrzeby kontaktów z sąsiadami. Latami wchodzi i wychodzi ze swego kubiku, nie wiedząc, kto mieszka za ścianą, i nie interesując się tym specjalnie. Bo po co?

jem ogólnym. Babcia nie chciała dzielić kuchni z innymi lokatorami – urządziła ją w „gabiniecie”, kąciek toaletowy oddzielono parawanem. Na umeblowanie składały się resztki ocalonych tzw. antyków oraz fragmenty mebli art déco. Wszystko to było trochę bez ładu i składu, oczekiwano na zmianę, ale skąd ona miała nadejść, nie bardzo było wiadomo. Wciąż spodziewano się wojny. Z obawą, ale i nadzieją, że przyniesie wyzwolenie od sowieckiego okupanta.

W tych chwiejnych warunkach każdy z lokatorów willi Jasna otarbił się w swojej prywatności. Dzieci bawiły się razem, wspólnie wieczorami podlewałyśmy kwiaty w ogrodzie, pożyczanie soli czy nawet roweru nie było problemem, kuśnierz naprawiał motor otoczony zgra-

ją bachorów. Tworzyliśmy wspólnotę.

Myślę o tym wszystkim, czytając książkę Jolanty Muszczak „Architektura mieszkaniowa a kondycja współczesnego człowieka” (praca dyplomowa na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej napisana pod kierunkiem Macieja Miłobędzkiego). Autorka rozważa zależności, które zachodziły między architekturą a potrzebami ludzi. Jak architekci konstruowali – czy też próbowali konstruować – warunki mieszkaniowe. Jak człowiek potrzebował interwencji architekta, a także bronił się przed nią, chcąc samodzielnie wpływać na swoje najbliższe otoczenie.

I myślę o kondycji moich dziadków, którzy zaadaptowali na własne mieszkanie ofiarowaną im, czy raczej przydzie-



FOT. ANDRZEJ STOLIK

loną, przestrzeń cudzej willi. Ten, kto ją projektował, myślał o czteroosobowej rodzinie, nie o zgrai lokatorów. Do sytuacji trzeba było odnieść się jednak z elastycznością – dostosować do warunków. Prowizorka służyła moim dziadkom kilkanaście lat i w przypadkowym kolektywie własnym wysiłkiem zorganizowano skromne i nawet miłe warunki do prywatności.

I tak byliśmy w dobrej sytuacji – był ogród. W Warszawie większość ludzi gnieździła się w kłitkach bez żadnych wygód, dzieląc je z przymusowymi towarzyszami. Zasób mieszkaniowy Warszawy, liczący w przededniu wojny ok. 654 tys. izb, został umniejszony o ok. 480 tys., jak pisze Błażej Brzostek w książce „Wstecz. Historia Warszawy do początku”. Jednak miało to miejsce w czasie, kiedy rozpadły się materialne ramy życia, kiedy trzeba było zadowalać się tym, co jest.

OUTSOURCINGOWAĆ ŻYCIE

Nastaly lepsze czasy. Trochę lepsze. W połowie lat 60. przeprowadziliśmy się do Warszawy, do nowo wybudowanego mieszkania w bloku na osiedlu Zatrasię. Pisał o nim miesięcznik „Architektura”: „Ambicją projektanta było stworzenie eksperymentalnej »jednostki społecznej«, właściwie samowystarczalnego osiedla – ze szkołą podstawową, przedszkolem, dwoma zespołami sklepów, terenami sportowymi, garażami – których użytkowanie miało sprzyjać powstawaniu między mieszkańcami więzi społecznych”.

Babcia była nowym mieszkaniem zachwycona – ciepła woda leciała z kranu, nie trzeba palić w piecach, zdobywać węgiel, co za komfort. Czy jednak zamieniliśmy warunki na lepsze? Mieszkanie gomulkowski, 48 mkw., kłitki o wysokości

225 cm. W przedpokoju ledwo mogły się zmieścić dwie osoby na stojąco i płaszcz, kuchnia w obowiązującym wtedy standardzie – bez okna, łazienka – 2 mkw., wanna do przykucnięcia. Umywalki brak. Przecież ręce można umyć nad wanną.

Nasze osiedle realizowało plan modernistycznej architektury, wychodzący naprzeciw możliwościom materialnym epoki Gomulki. Plan był taki: dać ludziom minimalną przestrzeń do życia i stworzyć warunki, w których większość czynności domowych będzie wykonywana poza domem. Outsourcingowana, mówiąc dzisiejszym językiem – pranie w blokowej pralni i suszarni, opieka nad dziećmi w żłobku i przedszkolu, jedzenie w stołówce zakładowej. A jeśli w domu, to coś z podgrzanych gotowych dań ze sklepu. Lokatorzy niechętnie dostosowywali się do tych wymagań. Mama uparcie gotowała w domu, zamiast wysłać nas do stołówki, pranie odbywało się w mikroprzestrzeni łazieneczki, nie w pralni (w niej zresztą nikt nie prał – stała się wózkownią i rowerownią).

Takie przecież było jednak założenie modernizmu i Le Corbusiera: mieszkanie maszyna. Dobrze, że w domu ci architekci życia ludzkiego pozwalali się chociaż przepasać. Le Corbusier chciał odciąć się od przeszłości: „Spal to, co kochałeś, i czcij to, co spaliłeś” – pisał w liście do swego nauczyciela Charles L'Eplatteniera (cytuje za Jolantą Muszczak). Franciszek Starowieyski powiedział, że to, co zrobił Le Corbusier dla architektury, można porównać z „zasługami”... Hitlera.

„Zła reputacja kolektywnego sposobu zamieszkiwania związana z nadzorem i brakiem prywatności trwa do dziś – pisze Jolanta Muszczak. – Jednak na całym świecie pojawiają się przykłady nowych sposobów współdzielenia przestrzeni mieszkalnej, które nie powielają błędów z przeszłości. Współczesne realizacje starają się zorganizować przestrzeń w taki sposób, aby zaoszczędzić pieniądze i wygospodarować miejsce, które będzie służyło wszystkim mieszkańcom”.

TYLKO DLA SENIORÓW

Wierzę, że tak może być, ale zaczynam się zastanawiać, czy właśnie trudne warunki nie skłaniają ludzi do organizowania się we wspólnotę, do samopomocy. Kiedy wszystko jest luksusowe, funkcjo-

nalne i gotowe, nie ma potrzeby zwracać się do innych o pomoc czy radę. W nowych zamkniętych osiedlach mieszkańcy latami wchodzą i wychodzą ze swego kubiku, nie wiedząc, kto mieszka za ścianą, i nie interesując się tym specjalnie. Bo po co?

Wszystko dobrze, gdy są młodzi. Ale co z seniorami, którzy wymagają opieki, czasem pomocy, a przede wszystkim kontaktu ludzkiego? Tu coś w rodzaju Corbusierowskiej maszyny do mieszkania byłoby na miejscu. I są już takie realizacje.

W 2008 r. w Stargardzie Szczecińskim powstał niewielki kompleks mieszkalny przeznaczony dla grupy osób 55+. To projekt biura Domino, realizowany przez stargardzkie TBS. Trzy dwukondygnacyjne segmenty, w nich 22 dwupokojowe mieszkania. Są udogodnienia potrzebne starszym: czytelny system identyfikacji wizualnej – piktogramy, wypukła numeracja na drzwiach, zróżnicowana kolorystyka segmentów ułatwiająca identyfikację miejsca zamieszkania, wykończenie ciągów komunikacyjnych linoleum, które ma stworzyć nastrój „swojskości”. Przestrzeń wspólna, świetlica z kuchnią, dwa tarasy. Obiekt zapewnia całodobową opiekę, ma miejsce dla lekarza, pielęgniarki i wolontariuszy, którzy najczęściej pochodzą z sąsiednich domów. Czy lokatorzy tego obiektu, w którym stworzono wszelkie dogodne warunki, są w nim szczęśliwi?

A może wszystko jest zbyt łatwe, zbyt dobrze zorganizowane, aż za bardzo dostosowane do potrzeb tych 55+? Którzy skądinąd w tym wieku znajdują się najczęściej w zupełnie dobrej kondycji. Niepotrzebne im piktogramy pomagające trafić do mieszkania. Doceniam dobre intencje architektów, ale myślę, że życie zmodyfikuje ich pomysły.

Bo przecież, jak pisze Jolanta Muszczak: „Zamieszkiwanie jest zmiennym spontanicznym i nieprzewidywalnym procesem. Odejdźcie od funkcjonalizmu, który stara się organizować ludzkie zachowania według przyjętych konwensów w stronę wielofunkcyjności, może pozwolić na kreowanie środowiska zamieszkiwania, które będzie odpowiedzią na nieprzewidywalność życia człowieka”. Mówiąc nienaukowo: człowiek sam się urządzi tak, jak uważa najlepiej.

VOLVO XC40 RECHARGE TWIN MOTOR



Twin od zera do 100 km/h przyspiesza w 4,9 s. Również w trasie mocy nie brakuje. I chociaż XC40 Recharge Twin Motor to auto przeznaczone głównie do rozsądnych podróży małej rodziny, to gdy zajdzie potrzeba, ten model potrafi pokazać się od szybkiej strony.

W kabinie króluje minimalizm. Fotele są wygodne. A na tylnej kanapie z powodzeniem usiądą również osoby o wzroście ponad 180 cm. Podczas zimowej podróży przez gęste od dymu z komi-nów osiedla docenić można też czyste powietrze w kabinie. I to nie tylko dlatego, że samo XC40 emituje zero dwutlenku węgla na 100 km. Zastosowany w tym modelu filtr eliminuje do 80 proc. groźnych dla zdrowia cząstek stałych PM 2.5 z powietrza z zewnątrz. Na ekranie można też łatwo sprawdzić stan powietrza w kabinie i na zewnątrz, a alergicy szybko dowiedzą się nawet, jakie jest w okolicy stężenie pyłków drzew, traw czy chwastów.

Kufer nie sprzyja długim podróżom, ale 419 l pojemności pozwala wyjechać już poza miasto (jest też drugi, niewielki bagażnik z przodu auta).

Cena XC 40 Recharge Single Motor (oficjalny zasięg 474 km w cyklu mieszanym WLTP) zaczyna się 249,3 tys. zł, a z zasięgiem rozszerzonym do ok. 571 km wynosi co najmniej 258,3 tys. zł. Obie wersje mają napęd na tylną oś. Testowany model z napędem Recharge Twin ma napęd na wszystkie łapy oraz oficjalny zasięg wynoszący 537 km, a jego cena zaczyna się od 280,3 tys. zł. ☹☹

Kompaktowy elektryczny SUV debiutował jako pierwsze w pełni elektryczne auto w rodzinie Volvo. Na szczęście menedżerowie „szwedzkiej Tesli” nie popełnili błędów, który wciąż się zdarza niektórym producentom na niezwykle konkurencyjnym rynku e-samochodów. Marketingowcy Volvo nie muszą więc próbować przekonywać kierowców, że jeśli realny zasięg nowego auta wynosi nieco ponad 200 km, to jest to dobry wynik – nikt nie kupuje bowiem nowego auta po to, aby ciągle myśleć o kompromisach i z duszą na ramieniu sprawdzać w aplikacji, gdzie są ładowarki.

Oficjalnie elektryczne XC40 Recharge Twin Motor zużywa 18,2 kWh/100 i pozwala na przeje-

chanie 537 km. W prawdziwym życiu tak dobrze nie ma, ale nawet przy zimowych temperaturach realny zasięg przekracza 400 km, a jeśli kierowca się postara, to na jednym ładowaniu nawet zimą może przejechać 450 km bez podłączania auta do wtyczki (i to mimo że miałem włączoną klimatyzację, podgrzewanie kierownicy i fotela kierowcy).

W Volvo zadbane nie tylko o spokój ducha kierowcy, lecz także o wygodę. Na stałe można zmienić ustawienia, tak aby – w większości przypadków – hamować i przyspieszać przy pomocy tylko jednego pedału. Na szczęście przywoity już zasięg XC40 Recharge nie jest wynikiem fabrycznego poskromienia apetytu na moc. Testowe XC40 w najmocniejszej wersji Recharge

FOT. JAP

HUAWEI FREEBUDS PRO 3

Dobra jakość rozmów, wysoki komfort użytkowania, nowoczesne wzornictwo, znakomita jakość dźwięku oraz wsparcie nie tylko dla SBC czy AAC, lecz także dla LDAC czy L2HC – to największe zalety flagowych słuchawek bezprzewodowych chińskiego producenta.

Lekkie dokanałowe słuchawki (każda waży zaledwie 6 g) wyglądają nowocześnie i są stosunkowo proste w obsłudze. Dobrze trzymają się w uszach (na wszelki wypadek w aplikacji AI Life można zrobić szybki test dopasowania), a jednocześnie są na tyle wygodne, że pozwalają na bezproblemowe wielogodzinne słuchanie muzyki. Połączenie za pomocą Bluetooth 5.2 działa bardzo stabilnie i pewnie. Multipoint pozwala z kolei na sparowanie słuchawek z dwoma urządzeniami jednocześnie, co ułatwia przełączanie się między zdalnym spotkaniem ze współpracownikami na laptopie a np. aplikacją z muzyką na smartfonie.

Największą zaletą testowanego modelu jest jakość dźwięku. Słuchawki brzmią znakomicie. Grają czysto i pozwalają usłyszeć w ulubionych utworach najdrobniejsze szczegóły.

Scena muzyczna jest szeroka, a aplikacja AI Life ułatwia dostosowanie brzmienia do osobistych upodobań (poprawić basy, wysokie tony czy przygotować słuchawki np. do odtwa-

rzania ulubionej symfonii). FreeBuds Pro 3 obsługują dźwięki zakodowane nie tylko w standardach SBC czy AAC, lecz także LDAC (do 990 kb/s) czy L2HC (to autorski kodek firmy Huawei dla muzyki jakości Hi-Res).

Dzięki zastosowaniu trzech mikrofonów oraz czujnika przewodzenia kostnego jakość rozmów telefonicznych jest bardzo dobra. W testowanym modelu sprawnie działa też aktywna redukcja hałasu (ANC).

Słuchawki na jednym ładowaniu grają do czterech godzin z włączonym ANC i 6,5 godziny bez redukcji hałasu. Czas działania „pchelek” bez szukania gniazdka elektrycznego można przedłużyć za pomocą etui-powerbanka aż do 31 godzin (jeśli nie korzysta się z systemu aktywnego tłumienia hałasu ANC). Plusem tego modelu jest także możliwość szybkiego ładowania, a także ładowania indukcyjnego. Fajnie, że w testowanym modelu działa też funkcja znajdowania słuchawek.

Wady? Stopień odporności na kurz i wodę to IP54. To oznacza, że są one odporne na pył i zachlapania, ale pod prysznice lub w okolicy basenu zabierać ich nie wolno. W tej półce cenowej niektórzy konkurenci oferują słuchawki z lepszą normą szczelności (IP58). Drobnym minusem jest też mocno palący się przedni panel etui. Cena: 899 zł. ☹☹





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Hołd moskiewski na Zamku Królewskim



29 października 1611 r. Krakowskim Przedmieściem podążał ogromny pochód ludzi i koni. W królewskiej karecie jechał hetman polny koronny Stanisław Żółkiewski w otoczeniu ok. 60 senatorów, za nim chorągwie wojskowe, rotmistrzowie i porucznicy, a wśród nich kolejny pojazd. W nim zaś stary człowiek w szacie ze złotogłowiu, z koźnierzem wysadzonym klejnotami, w wysokim szłyku, czyli futrzanej czapie. Był to sam car moskiewski Wasyl Szujski, złożony z tronu rok wcześniej i przywieziony do Rzeczypospolitej, a pozostali to jego dwaj bracia – Dymitr i Iwan.

Orszak zatrzymał się przed Zamkiem. Tutaj w Sali Senatorskiej, na piętrze, przed połączonymi stanami, to znaczy izbami – senatorską i poselską – Szujski złożył hołd królowi Polski i wielkiemu księciu litewskiemu Zygmuntovi II Wazie. „Car z bracią, pokłon uczyniwszy głową przed jego królewską mością, szłyk w rękę trzymając i przed majestatem Jego Królewskiej Mości stojąc, wszystkim czynili żałosny widok szczęścia odmiennego na świecie. I kiwając wszyscy głowami swymi, dziwowali się błogosławieństwu od Boga, królowi jegomości nigdy niespodziewanemu. Takiego bowiem człowieka przytomność i dawnej świetności wspomnienie, litość wzbudzały w tych, co na niego patrzyli; stawały im przed oczyma niedawno kwitnący stan, siła i zamożność tak zawołanego państwa, a widząc cara z tego szczytu wielkości strąconego, użalali się nad nim” – pisał autor wspomnianej relacji. Hetman Stanisław Żółkiewski w wielkiej



FOT. DOMENA PUBLICZNA

przemowie przedstawiał jeńców, chwalił męstwo króla i rycerstwa polskiego, na koniec prosił o łaskę dla Szujskich. Potem car schylił się przed królem, dotknął prawą ręką ziemi i pocałował ją, Dymitr uderzył czołem jeden raz, a jego brat Iwan trzy razy. Następnie Zygmunt dopuścił obalonego cara i jego braci bezpośrednio do ucałowania ręki królewskiej.

Hołd Szujskich był zwieńczeniem ciągu wydarzeń w Moskwie zwanych wielką smutą i wojen, gdy Rzeczpospolita wmieszała się do walki o tron moskiewski. Gdy wojsko królewskie obległo Smoleńsk w 1609 r., Stanisław Żółkiewski z częścią sił pobił odsiecz pod Kłuszynem i podszedł pod Moskwę, gdzie obalono cara Wasyla Szujskiego (który wcześniej zrzucił z tronu i zamordował Dymitra Samozwańca I). Po długich rokowaniach z hetmanem bojarska Duma wybrała na kolejnego cara małoletniego królewicza Władysława, późniejszego króla. 7 października rotty polskie weszły do Moskwy, a hetman, wyznaczysz na komendanta Aleksandra Gosiewskiego, zabrał obalonego Szujskiego i wrócił do Rzeczypospolitej, prezentując jeńca rok później królowi w Warszawie.

W ten sposób 29 października 1611 r. doszło do sławnego i budzącego do dziś kontrowersje hołdu Szujskich w Warszawie. Możliwe do dziś o nim nie zapomnieli, a wydarzenie to było chwilą, w której potęga militarna i terytorialna Rzeczypospolitej była największa w historii. Na północy pod jej władzą pozostawały Inflanty, granica opierała się mniej więcej o dzisiejszą Estonię. Na południu, w Mołdawii, rządził hospodar Konstantyn Mohyła wspierany przez magnatów z Rusi Czerwonej i nastawiony propolsko. Na wschodzie armia królewska zdobyła Smoleńsk, garnizon polsko-litewski obsadzał Moskwę, a całe Wielkie Księstwo uznało królewicza Władysława za prawowitego cara i przysięgało mu, całując, chrzest. Obalony car ukorzył się przed władcą Rzeczypospolitej.

Jednocześnie hołd w Warszawie nazywany jest często i mylnie „hołdem ruskim”, „rosyjskim” i „carów Szujskich”. Określenie „hołd ruski” jest nieprawdziwe, gdyż tereny Rusi – Czerwonej i Kijowskiej, a także Białej i Czarnej – już wchodziły w skład Rzeczypospolitej. Rosyjski – błędne, gdyż słowo „Rosja” pojawiło się dopiero 100 lat później. Stwierdzenie „hołd carów Szujskich” także nie odpowiada prawdzie, gdyż Wasyl Szujski nie był już wówczas żadnym carem ani nie miał władzy nad Moskwą. Prawdziwym i legalnym jej władcą był królewicz Władysław Waza. Dlatego odpowiednia nazwa dla ceremonii, która wydarzyła się wówczas na Zamku, powinna brzmieć „hołd moskiewski” albo „hołd Szujskich”. © ©



SIOSTRY GOTUJĄ

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Kaszotto

Pomysł na przygotowanie kaszotto nawiązuje do włoskiej potrawy risotto, robi się to dokładnie tak samo z użyciem warzyw i bulionu warzywnego i gotuje się na wolnym ogniu, co jakiś czas dodając wspomniany bulion do osiągnięcia gęstej, ale kremowo-aksamitnej konsystencji. Wybierać powinniśmy kaszę, które zawierają sporo błonnika, bo on sprawia, że kaszotto ugotujemy w idealnej konsystencji.

Kasza pęczak to królowa kasz. Zawiera najwięcej błonnika pokarmowego i według nas idealnie nadaje się na kaszotto, to całe ziarno jęczmienia jedynie pozbawione łuski. Można ją długo gotować, a i tak zachowa swoje prozdrowotne właściwości, których przecież ma bardzo wiele. Przede wszystkim wspomniany już wcześniej błonnik, który ratuje w potrzebie osobę na diecie odchudzającej, wspiera pracę jelit, oczyszcza z toksyn, dzięki czemu czujemy się lekko i bardzo zdrowo. Arabinoksylany zawarte w kaszy zapobiegają wzrostowi glukozy, są zatem idealne dla diabetyków, poza tym zawierają magnez oraz witaminy z grupy B, cynk i potas. Warto zatem sięgać po kaszę szczególnie jesienią i zimą, dania z kaszą są bardzo sytące, a jeśli dodamy do niej rozgrzewające przyprawy i warzywa, to będziemy mieli idealny posiłek na chłodne wieczory.

Z kaszy możemy wyczarować o wiele więcej pysznych i zdrowych potraw. My lubimy jeszcze kotlety jajeczne z kaszą jaglaną czy prostą, ale jakże pyszną kaszę mannę z sosem malinowym; taką, jaką robiła nam nasza babcia podczas wakacji na wsi. To było zawsze najlepsze wakacyjne śniadanie, alternatywa



FOT. ADORÉ STOCK

dla kanapki. Na wschodzie Polski bardzo popularne są placki z kaszy gryczanej z twarogiem i zieloną cebulką czy najprostsze danie – kasza ze smażoną cebulką i zsiadłym mlekiem.

My dziś proponujemy kaszotto jęczmienne z grzybami, idealnie pasować będzie zarówno na co dzień, jak i od święta, szczególnie do gęsiń na 11 listopada, najważniejszego narodowego święta. Bo przecież na św. Marcina nie może zabraknąć tradycyjnej gęsiń podawanej z jabłkami i żurawiną oraz z kaszotto.

Kaszotto z grzybami

- 200 g kaszy pęczak • 1 duża cebula • 3 łyżki oleju rzepakowego
- 3 łyżki masła • 400 g świeżych grzybów lub mrożonych • 3 szklanki bulionu warzywnego • 1 kieliszek białego wina • ½ pęczka natki pietruszki • garść tartego parmezanu (opcjonalnie) • sól, pieprz

Grzyby oczyścić, pokroić na kawałeczki większe i dorodne, kapelusze odstawić, nie kroić. Cebulę pokroić w kosteczkę, posolić. Na rozgrzanym oleju z masłem podsmażamy cebulę, następnie dokładamy grzyby i podsmażamy, podlewamy białym winem, czekamy chwilę, aż wino odparuje. Następnie dodajemy kaszę i podlewamy bulionem warzywnym małymi porcjami, aż każda kolejna porcja zostanie wchłonięta przez kaszę. Gotujemy do miękkości kaszy. Przed podaniem posypujemy pieprzem oraz natką pietruszki i parmezanem. Smacznego! ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Dzień chryzantemy

Na angielskich i amerykańskich filmach cmentarze wyglądają sterylnie. Idealny porządek zakłócają tylko lekko przekrzywione przez wiatr i czas tablice. Takiego pejzażu nie wypada zaburzyć doniczką chryzantem, nie mówiąc o sztucznych kwiatkach czy jednym ze zniczy koszmaków, które ostatnio królują u nas na rynku. Położona na grobie z czułością jedna róża załatwia sprawę pamięci o zmarłych.

Co innego u nas. Wizyta na cmentarzu Powązkowskim kilka dni przed świętem Wszystkich Świętych ukazała mi Powązki w całej malowniczości. W bogactwie alejek, starych drzew, chodników wybrzuszonych od korzeni. Było pusto, bo lało wytrwale i bez przerwy, na przekór prognozie. Deszcz wypłoszył wdowy z grabkami i konewkami, zazwyczaj o tej porze krzątające się między grobami a pompą. Wszystko ślicznie lśniło w deszczu.

Zakłócił ciszę tylko jakiś pogrzeb, którego już nie dało się odwołać. A w nim wojskowa orkiestra; widocznie kompania honorowa należała się zmarłej. Eleganckie panie na obcasach idące za konduktem zρέcznie przeskakiwały przez kałuże.

Dzień Wszystkich Świętych jest zrośnięty z moim życiem. Na Powązki chodziłam z rodzicami i dziadkami.

Ten dzień był zimny, przez Czwartą Bramę z trudem przeciskały się panie w futrach i panowie w pelisach. Marzyły mi nogi, podwiewało spod kupionego na wyrost kożuszka. Rodzice taszczyli doniczki z chryzantemami, dziecko chłonęło rytuał – widok starych grobów, zapach zniczy, zgniłej zieleni i kwiatów. Nie bardzo go rozumiejąc, ale wiedząc, że jest ważny, i odczuwając jako nieusuwalną część życia rodzinnego.

Po cmentarzu następował obiad u dziadków. Zapamiętałam zapach pastowanych podłóg ich mieszkania na Ochocie, sardynki na przystawkę (wtedy luksus!), brukselkę i kompot z czereśni. Gotowała pani Władzia, gosposia. Nauczyła nas, dzieci, ukraińskich piosenek.

Teraz z własnymi dziećmi i ich dziećmi chodzę na groby tych, którzy wtedy prowadzili mnie za rączkę. Grobów przybyło, nie tylko na Powązkach, lecz także na Bródnie, gdzie leżą moi teściowie, na Cmentarzu Wojskowym, gdzie dwa lata temu pochowano najbliższego przyjaciela, wybitnego naukowca, profesora Politechniki Warszawskiej. Osobliwy urok ma mały cmentarz w Słomczynie, gdzie

leży moja przyjaciółka. Mąż architekt zbudował jej piękną kaplicę. ©©



FOT. ADORÉ STOCK



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Halloweenki czy Zaduszki?

Podczas ostatniej zbiórki „na Owsia” z badań oraz narracji wyszło, że szlachetny czyn dobra wspólnego motywowany był głównie chęcią przyłożenia PiS (oraz Caritasowi, który jest w przeciwieństwie do impulsowej owsiakowej Orkiestry konkurencją całoroczną). Jak widać, na dobre cele można zbierać i na złość. Ciekaw jestem, czy przy najbliższej zbiórce ktoś będzie pamiętał nauczkę, że te zebrane pieniądze idą nie tylko na dzieci (na sepsę znaczy się), na koncerty, by się młodzież indoktrynowała w *****^{***}, lecz także na plakaty, które już bez żenady udają akcję charytatywną, a są wyborczą akcją polityczną.

Tak i teraz, na Zaduszki. W internetach pełna promocja Halloweenków. Mnie tam egal, jak komercja sobie wyszukuje coraz to nowe okazje do zakupowych wzmożeń. Ale za tym całym chłamek idzie szlamowanie właściwych świąt – Wszystkich Świętych i Zaduszek. Te mają być ponoć zbyt ponure, zwłaszcza dla dzieci, lepiej więc zamienić ten smutny czas na zabawę: cukierki i nie wiadomo jaki psikus (widział kto?). Jest to typowa gra w podstawione go awatara. Najpierw wymyśla się, że katolicy mają jakieś upiorne Święto Zmarłych, które w katolickim kalendarzu nie istnieje, a potem wbija się w tę kukłę szpilki nowoczesnych zarzutów: że groby, że smutno, że trauma. Lepiej się

pomalować na trupa, a dzieci posłać na kolejną zbiórkę – tym razem z koszykiem po słodycze.

To nieporozumienie – katolickie święta 1 i 2 listopada to w sumie święta radosne. Ale kto tam będzie katolom zaglądał w katechizm? Mają być ponurzy i będą, choćby przekonywali, że jest na odwrót.

Na krakowskim Kazimierzu odbyła się msza przebłągalna w sprawie Halloween, przedmiot szyderstwa zainicjowanego przez, a jakże, „Gazetę Wyborczą”, że katolicy modlą się przeciwko Halloween. Wzmocnionym wyjaśniam: katolicy mają w zwyczaju odprawiać msze przebłągalne do Boga, by ten wybaczył występki społeczności. Niekoniecznie wierzącej. Tak, katolicy biorą na siebie część winy za te pogańskie bałwochwalstwo, czując swą odpowiedzialność za to, że do tego dopuścili.

Po drugiej stronie mamy zabawę w wyraźnie prowokującym celu. Zabawnie przebrani malcy i ich rodzice nie wiedzą nawet, że ich zabawa jest używana ideologicznie. Jak im o tym powiedzieć, to pukają się w głowę, jak im pokazać, to bagatelizują lub wypierają. Jak się okazuje, że można na złość PiS zebrać dziesiątki milionów, tak się okazuje, że i na złość katolom można zawłaszczyc sobie ich święto, i na złość im nie pójść na cmentarz, tylko na cmentarnego drinka do baru ze sztuczną pajęczyną. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Andrzej Bulc + pożegnanie

18 października zmarł Andrzej Bulc, współpracownik Joanny i Andrzeja Gwiazdów, jeden z założycieli Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża.

Encyklopedia „S” lakonicznie wspomina Andrzeja: „Urodził się 11 XI 1951 w Przasnyszu. Ukończył Studium Budownictwa Okrętowego w Gdańsku (1973). 1973–1979 pracował jako elektryk, następnie kontroler jakości w Zakładach Okrętowych Urzędzeń Elmor w Gdańsku. 1978–1980 był członkiem Komitetu Założycielskiego WZZ Wybrzeża. Rozpracowywany przez SB i wielokrotnie zatrzymywany. Od IX 1980 w »S«, przew. KZ »S«. Od IX 1981 organizator Wszechnicy Robotniczej »S« przy Zarządzie Regionu Mazowsze. 13 XII 1981 internowany w Ośr. Odosobnienia w Warszawie-Białolecie, 21 VII 1982 zwolniony. 1989–2005 w USA, nast. powrót do Polski. Odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności (2018)”.

Realizując z Ewą Stankiewicz cykl o bohaterach Solidarności „Ćwiczenie na wyobraźnię” (TVP 2010), spotkaliśmy się z Andrzejem. Choć wtedy od jego powrotu ze Stanów upłynęło pięć lat, to miałem wrażenie, że nie mógł sobie znaleźć miejsca w „nowej Polsce”. Nikt tak bezpretensjonalnie nie wytłumaczył nam etosu Solidarności: „Dziadek u Piłsudskiego, ojciec AK, a ja nic? Tak sobie siedzę? No trzeba było coś zrobić”.

To on pierwszy publicznie zaświadczył o istnieniu taśmy z nagraniem przyniesienia się Lecha Wałęsy do współpracy z SB. Należał do tych, którzy nie uwierzyli w sierpniowe „porozumienia”, przewidując siłową rozprawę z Solidarnością. Andrzej wybrał życie samotnika. Odkryta zbyt późno choroba nowotworowa była nie do zatrzymania. Reżyser Jerzy Zalewski, który utrzymywał z nim kontakt do końca, umieścił go w szpitalu na Szaserów, ale mimo postępów choroby Andrzej wolał wrócić do domu, do swoich psów. Do końca pozostał niezależny – odszedł, jak mówi Jerzy Zalewski, na własnych warunkach. Francuski socjolog Alain Touraine, wspominając ludzi „S”, napisał: „Solidarność jest jedną z najważniejszych spraw, jakie zdarzyły się ludzkości, [...] jednym z niewielu pięknych, pozytywnych doświadczeń XX wieku. Dużo jeździłem po świecie, ale nigdy nie spotkałem ludzi podobnych do tych z »Solidarności« – bezwarunkowo przywiązanych do wolności, ludzi, którzy zdecydowali się wziąć na siebie całą odpowiedzialność za historię”. Andrzej Bulc był jednym z nich.

9 listopada, w gmachu aresztu mokotowskiego przy Rakowieckiej 37, gdzie w sierpniu 1980 r. Andrzej dzielił celę ze Zbigniewem Romaszewskim, odbędzie się konferencja poświęcona zmarłemu bohaterowi Solidarności. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Przekorne
stworzenia

Rotacja, psze państwa, rotacja – to słowo robi oszałamiającą karierę i zapewne niejedno jeszcze wyrotuje! Stop. Otóż chętnych na bycie marszałkiem Sejmu jest tylu, że normalnie to się ich wszystkich na fotelu usadzić nie da, ale niestety trzeba, żeby koalicja z powodów ambicyonalnych nie rozpadła się przed sklejeniem. Stop. Objawił się więc pomysł genialny: aby się taki narodził, który by wszystkim dogodził. Stop. Tak się narodził Marszałek Rotacyjny, czyli twór stały, czyli zmienny. Stop. Znaczący będą się panowie z różnych partii co jakiś czas na tym stanowisku zmieniać i wszyscy chyba będą zadowoleni. Stop. Demokracja staje się bardziej demokratyczna, bo tu trzeba pójść za ciosem. Stop. Można by zostać rotacyjnym premierem, ministrem, prokuratorem, sędzią czy wreszcie skazanym na dożywocie. Stop.

Barbara Nowacka w czasie wywiadu z redaktorem Rymańskim rzekła: „Takie tłumy niekompetentnych mężczyzn, jakie oglądam na stanowiskach, powodują, że zaczynam wątpić, że są kompetentni mężczyźni”. Stop. To, że te słowa to feministyczna odwołana obrzydliwego seksizmu, oczywiście jest nawet dla feministek, ale... Stop. Baśka! Twoim szefem z Koalicji Obywatelskiej jest Donald Tusk, jak by nie patrzeć facet. Stop. Chciałabyś może coś dodać na temat kompetencji? Stop.

Jest taki profil na portalu X, dawny Twitter, „Eric”. Stop.

„Eric” przeszukuje Internet i dzieli się niecodziennymi odkryciami. Stop. Niecodziennymi to mało powiedziane. Stop. Teraz uraczył nas oryginalnymi oświadczeniami anonimowego internauty: „Od dawna chciałem zapytać, choć brakowało mi śmiałości. Zostaniesz paszтетem na bułce mojego życia?”. Stop. Nie wiemy, czy związek został skonsumowany. Stop.

No nie, no, tak daleko być nie może! Stop. Lewicowa „Krytyka Polityczna” piórem Piotra Wójcika robi wbrew! Stop. Zamiast wspierać powstającą koalicję, redaktor się znęca, wyciągając 10 najgłupszych cytatów, które padły z ust polityków KO. Stop. Bogusław Grabowski, cichy ekspert jeszcze opozycji, o Polakach, którzy w sondażu wypowiedzieli się przeciwko euro, rzekł: „Polacy nie mają pojęcia, o czym mówią. Przepraszam bardzo, muszę to powiedzieć, jestem ekonomistą. Oni wypowiadają się na podstawie swojej wiedzy, której nie mają, bo nie są ekonomistami”. Stop. Niezły jest ten Grabowski. Stop. Tabuny znanych polskich ekonomistów szczegółowo wyjaśniają, czemu euro nam się nie opłaca, nie spełniamy warunków przyjęcia euro, miliony Polaków mają swoje doświadczenia dotyczące innych krajów, które przyjęły euro, a on mówi nam właściwie: „Ja jestem autorytet i macie, Polaki, słuchać”. Stop. Boguś, ja tych Polaków znam. Przekorne stworzenia... ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Dzieci,
woły i owce

Coraz bardziej niepokojące stają się wypowiedzi izraelskiego premiera, Beniamina Netanjahu. Podczas konferencji prasowej przypomniał on izraelskim żołnierzom biblijną historię walki Izraelitów z Amalekitami. Zdaniem komentatorów miał on na myśli zalecenie z Pierwszej Księgi Samuela (Sm 15, 3): „Dlatego teraz idź, pobijesz Amaleka i obłożysz klątwą wszystko, co jest jego własnością; nie lituj się nad nim, lecz zabijaj tak mężczyzn, jak i kobiety, młodzież i dzieci, woły i owce, wielbłądy i osły”. Przedstawił konflikt z Palestyńczykami w perspektywie religijnej, widząc w zniszczeniu Hamasu dopełnienie biblijnego posłannictwa Izraela. Oznajmił żołnierzom, że uczestniczą dziś w zmaganiach będących częścią walki toczzonej przez Izrael od trzech tysięcy lat. Walka ta przedstawiana jest przez izraelskiego premiera w kategoriach uniwersalnego starcia sił dobra z siłami zła. „Żołnierze izraelscy są zdecydowani usunąć to zło ze świata – dla naszego istnienia i dla całej ludzkości”.

Wygłąda na to, że w retoryce Beniamina Netanjahu biblijne cytaty coraz częściej uzasadniają i tłumaczą działania polityczne. Odmowę podjęcia negocjacji z Palestyńczykami podparł on słowami Eklezjasty: „Biblia poucza, że »jest czas pokoju i jest czas wojny«. To jest czas wojny”. Cele wojenne przedstawił

zaś izraelski polityk w następujący sposób: „Wspólnymi siłami, z głęboką wiarą w sprawiedliwość naszej sprawy i wieczne istnienie Izraela zrealizujemy proroctwo Izajasza: »Już się nie usłyszysz o krzywdzie w twym kraju, o spustoszeniu i zagładzie w twoich granicach. Murom twoim nadasz miano Ocalenie, a bramom twoim Chwała« (Iz 60, 18).

Używanie w polityce pojęć zaczerpniętych z języka religijnego i przedstawianie współczesnych konfliktów międzynarodowych w kontekście zapisanej w Bożym planie ostatecznej konfrontacji absolutnego zła z najwyższym dobrem obecne było dotąd raczej w świecie islamu. Ludziom Zachodu podawano je za dowód jego irracjonalności i fanatyzmu. Beniamin Netanjahu cieszy się, także w swoim kraju, opinią polityka nadzwyczaj cynicznego i pozbawionego skrupułów. Stoi on na czele społeczeństwa zlaicyzowanego, którego większość obywateli przedstawia się jako osoby niereligijne lub przekonani ateści. Mobilizowanie wojennych emocji pod hasłem odpłacenia Amalekowi za jego biblijne przewinięcia wydaje się zabiegiem wyjątkowo niebezpiecznym. Uniemożliwia ono negocjacje i uzasadnia działania, których usprawiedliwić nie mogą ani współczesny prorok, ani tym bardziej premier. ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nieznośna lekkość kompleksu wyższości

Rozmowy ze znajomymi o odmiennej orientacji politycznej są niezwykle trudne. Zastanawiałem się długo, jaka jest tego najgłębsza przyczyna. Może różnica poglądów wynika z innego zasobu informacji albo może inaczej oceniamy skalę zjawisk lub stosujemy inne kryteria ocen? Ale jakie mogą być te kryteria w przypadku osób mówiących po polsku, z grubsza umiejących liczyć i myśleć logicznie, a nawet czasem będących członkami tego samego Kościoła? Faktem jest, że

cha się wyniośle, zmienia temat, a ostatecznie mówi: „Dziwię się, że człowiek wykształcony...”.

Cóż mam odpowiedzieć? Czy mówić, że ludzie wykształceni na ogół powinni wiedzieć, co wiedzą, a czego nie wiedzą, starać się poznać rzeczywistość i wyciągać wnioski poprawne logicznie, że nie mogą sami sobie zaprzeczać lub negować oczywistych faktów, a skoro tego nie czynią, to na co im wykształcenie? Chęć podtrzymania kontaktu lub po prostu grzeczność hamują tego rodzaju argumentację, podobnie jak stwierdzenie,

trzymanie się Dekalogu lub zalecenia, by nie robić bliźniemu, czego się nie chce dostać od niego, paść może oskarżenie o haniebne poglądy, wrogą ideologię lub brak godności. Znam to dobrze.

Tradycyjna analiza postaw politycznych niewiele tu wyjaśni. Nie chodzi tu o poglądy, o odmienną orientację umysłową, ale raczej o orientację psychologiczną, na wyrafinowane wmawianie rozmówcy, że jest się od niego po prostu i pod każdym względem lepszym i że on nie zasługuje na poważne traktowanie. Jak wykazała to historia pewnej popularnej gazety, absolutna prawda jest dziś tu, a jutro gdzie indziej i biada temu, kto tego nie uzna, a nawet kto to zauważy. Co ciekawe, podobną postawę przyjmują często zarówno kompletni ignoranci, jak i ludzie pozornie wykształceni. Można ich zaobserwować przy kioskach z prasą, gdy z namaszczeniem i ważną miną kupują wspomnianą gazetę. Oni po prostu wiedzą lepiej. I co im zrobisz?

Ktoś, kto z różnych powodów nie chce szukać prawdy, w poważnej rozmowie ucieka w urojone poczucie wyższości. Jakże to są powody? Psychiatra kliniczny mógłby ustalić całą listę tych powodów. Może to być apodyktyczny charakter rodziców, nieuporządkowane życie osobiste, nacisk środowiska lub jakieś ukryte obsesje i kompleksy. Tak czy inaczej, osoba o tej orientacji psychologicznej swobodnie leci ponad faktami, opiniami i odpowiedzialnością i nie da się schwytać. Może szkodzić sobie i innym, ale wie lepiej. ©

Ktoś, kto z różnych powodów nie chce szukać prawdy, w poważnej rozmowie ucieka w urojone poczucie wyższości. Jakże to są powody? Psychiatra kliniczny mógłby ustalić ich całą listę

zamknięcie się w bańce informacyjnej szalenie utrudnia wymianę myśli, podobnie jak różne skale ocen lub odmienne interpretacje faktów, ale przy minimum dobrej woli problem można by rozwiązać. Dlaczego więc w rozmowach towarzyskich osoby takie stosują wyrafinowane metody erystyki, żeby nie uznać nawet oczywistej racji?

W rozmowach takich zamiast zastanowić się nad tym, czy uszczelnienie budżetu jest rzeczą dobrą czy nie, jak brzmi stosowny zapis w naszej konstytucji, czy suwerenność jest lepsza niż niesuwerenność lub czy dla Polski lepsza jest opcja niemiecka czy amerykańska, rozmówca uśmie-

że ludzie mniej wykształceni też miewają rację.

Postawienie spraw w świetle tak oczywistych kryteriów zbliża podczas rozmowy do granicy emocjonalnego wybuchu, popartego ulubionymi w tych sferach intelektualnych brzydkimi wyrazami. Śmiertelna obraza jest niemal pewna. W przypadku bardziej wyrafinowanego rozmówcy można jeszcze usłyszeć argument erystyczny: „Może ja czegoś nie rozumiem, może to dla mnie za mądre...”. Jednak jest przecież oczywiste, że świat stoi na głowie, że ludzie nie różnią się od zwierząt, a ludzie normalni są wariatami. Upokarzanie innych nazywać można miłością. Na uparte

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANOWSKI

Mieliśmy na gospodarstwie pana Rysia (miał inne imię, ale nie chcę go ujawniać, bo ta historyjka jest nadal głośna na Kociewiu). Robotnik rolny do wszystkiego. Na gospodarstwie robota bywa nie tylko rolnicza – czasami trzeba postawić kawałek wiaty lub naprawić kurnik. Pewnego razu trzeba było położyć kabel w ziemi. Robota prosta jak drut, czyli nie da się spaprać. Dlatego zostawiliśmy pana Rysia z tą robotą i pojechaliśmy robić coś innego.

Wracamy, a tu kabla zabrakło kilka metrów. Był gruby jak męskie ramię, drogi jak jasny gwint, więc mierzyliśmy DOKŁADNIE, zarówno odległość w terenie, jak i potem sam kabel w sklepie. Nie ma takiej mocy, byśmy się pomylili! A Rysio siedzi na rowie, pakuje tabakę do nosa i wyśmiewa się z nas: „Mecenasy, magistry i doktory, a długości kabla między chałupami zmierzyć nie umnią. Ha, ha”.

Rysio się śmiał, a ja z bratem ruszyliśmy po tym kablu (już zakopanym) i szukamy przyczyny, dla której zabrakło kilku metrów. Znaleźliśmy jedno takie miejsce, gdzie kabel skręcał i nakładał drogi – jakby omijał podziemną przeszkodę.

– Ryś! W tym miejscu kabel coś okrążył? Tam pod ziemią jest jakiś głaz?

– Nii. Żadnych głazów. Sam piach.

– To czemu nie idzie prosto?
– Bo tu wcześniej stała betoniarka.

– To nie można było przesunąć?!!!

– Nii! Była stale poczebna. Zabrali dopiero niedawno.

Po tamtym doświadczeniu wypracowaliśmy sposób na

Rysia. W sytuacjach, gdy trzeba go było na czas jakiś zostawić bez nadzoru, Ryś dostawał instrukcję taką:

Żadnej inicjatywy własnej! Robić dokładnie tak, jak ja pokazałem. Żadnych własnych pomysłów, a gdyby pod moją nieobecność trzeba było podjąć jakąś własną decyzję, proszę pomyśleć, jak pan by to zrobił po swojemu, a potem zrobić na odwrót.

I takim panem Rysiem są każdy polityk, minister, premier, rząd oraz cała UE. Wymyślają coś, a cokolwiek wymyślą, powinno być robione na odwrót lub wcale.

Przykład: władza wymyśliła, że ludziom trzeba dać „500+”, aby wzrosła liczba urodzeń. Liczba urodzeń spadła. Władza podbiła stawkę do „800+” i mamy pierwszy raz dwucyfrowy spadek urodzeń – 11 proc., a 68 proc. kobiet nie planuje dziecka w ogóle.

A to takie proste. Gdzie rodzi się zawsze najwięcej dzieci? Tam, gdzie panuje bieda. Im biedniejszy rejon Polski czy świata, tym więcej urodzeń. A gdzie rodzi się dzieci coraz mniej? Tam, gdzie jest wysoki socjal na dzieci. Im bogatsze społeczeństwo oraz im więcej pomocy państwa, tym mniej dzieci. Czyli... Chcesz więcej dzieci, tnij socjal.

Podatki progresywne są stosowane powszechnie. Władza uzasadnia je w taki sposób, że im ktoś więcej zarabia, tym więcej ma i wtedy powinien więcej z tego, co ma, oddawać na resztę społeczeństwa w postaci coraz wyższych podatków.

A powinno być odwrotnie – PODATEK MALEJĄCY, czyli regresywny.

Teraz mamy podatki progresywne – w zależności od wysokości zarobków płacimy stopniowo coraz więcej podatku. Są ugrupowania, które głoszą chęć wprowadzenia podatku liniowego – co oznacza, że wszyscy płaciliby taki sam procent niezależnie od wysokości dochodów.

Argumenty za rozwiązaniem liniowym są takie, że nie powinno się karać wyższymi podatkami ludzi przedsiębiorczych i pracowitych, którym chce się walczyć o wyższe zarobki. Państwo powinno zachęcać dorobkiewiczów, by się dorabiali. Państwo jest przecież tak bogate, jak jego obywatele, a więc im więcej ludzi bogatych, tym bogatsze całe państwo.

Podatek liniowy to niezła forma zachęty, ale jeszcze lepszy byłby podatek MALEJĄCY wraz ze wzrostem zarobków. Tego nikt nie proponuje. A przecież można odwrócić progi podatkowe: wszyscy płacą 20 proc. Ci, którym udało się zarobić 200 tys. rocznie, płacą już tylko 15 proc.

A zarabiający powyżej miliona płacą 10 proc. To byłaby prawdziwa i mocna zachęta, wyzwalająca w ludziach dodatkowe pokłady aktywności.

Szczególnie lewica lubi hasła w stylu „Łupić bogaczy – niech płacą więcej od innych, skoro więcej mają”. A dlaczego więcej? Przecież ci bogacze nie zarabiają swoich fortun w pojedynkę, lecz z pomocą zatrudnianych przez siebie ludzi – zarabiając swoje fortuny, dają też zarabiać innym i mają wiele rodzin pracowniczych na utrzymaniu. Powinno się

ich za to nagradzać, a nie karać wyższymi podatkami.

W najgłupszej nawet grze komputerowej za zarobienie dużej liczby punktów jest premia. Dlaczego więc w grze społeczno-ekonomicznej jest na odwrót? Bo reguły tej gry wymyślają Rysie.

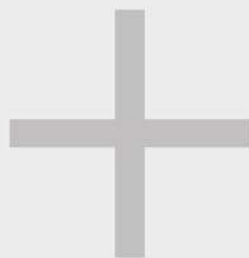
Kogo powyższa argumentacja nie przekonuje, niech sobie odpowie na pytanie, czy wolałby mieszkać w kraju, gdzie jest najwięcej milionerów, czy w kraju, gdzie jest najwięcej biedaków? Albo inaczej: Kogo wolałbyś mieć za sąsiada: milionera czy żebraka? A może wolisz mieszkać w kraju pełnym średniaczków, czyli w kraju, gdzie panuje... równość społeczna?

Wszystkie partie jak jeden Ryś wychwalają równość społeczną. Gdy tymczasem największy boom gospodarczy w historii USA i w Wielkiej Brytanii, epoka największego rozwoju ekonomicznego wszystkich warstw społecznych, był wtedy, gdy nierówności społeczne były ogromne. Bo wtedy każdy chciał zostać z pacybuta milionerem i WIEDZIAŁ, że taka szansa istnieje. W krajach, gdzie panuje równość społeczna, szanse przeskoczenia z dna na szczyt są niewielkie, bo cały system jest obliczony na kreowanie średniaczków. Bogatym się zabiera, a biednym dodaje, czyli dochody się spłaszcza, a ideałem lewicy jest to, gdyby wszyscy zarabiali tyle samo, bo to jest ich wymarzona „sprawiedliwość społeczna”. Stąd ustawy kominowe, stąd pomysły z płacą minimalną i zasiłkiem za niepracowanie oraz pomysły najnowszy: płaca gwarantowana (pensja państwowa wypłacana niezależnie od tego, czy masz chęć iść do pracy czy siedzisz w domu i się lenisz). ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~492~~zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„MISTRZOWIE POLSKIEGO
KABARETU”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

215,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 277zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl d3dff01bee



WEJDŹ DO HISTORII!

MUZEUM HISTORII POLSKI

Już otwarte!

📍 Cytadela Warszawska



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego